

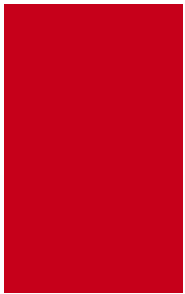
Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

Polskie śmieci na tle dziejów
• Czy meble mają pleć? • Kościół
idzie w rozsypkę • Zelenski
nauczy się rozmawiać?
• Najlepsze selfie kosmosu



WYSOKIE OBCASY
Marcin Prokop
Nudny celebryta
Maja Staśko
Nie jesteś sama



GAZETA
wyborcza
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl



Marian Banaś

Świadek koronny

ILLUSTRACJA: JACEK GAWŁOWSKI

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



Afera Dogrumowej
Ktoś chciał otruć
króla czy to on był
trucicielem?



Złoty wstyd Helwetów
W czasie wojny Szwajcarzy
kupili blisko cztery piąte złota
sprzedanego przez III Rzeszę

Marcin Matczak:
ktoś musi zakończyć
tę wojnę
► 19

Paweł
Smoleński



Patriotyzm à la Morawiecki

Dziś Ukraina widzi, że spadkobiercą Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i UPA jest »ruski mir« – oznajmił w rocznicę „krwawej niedzieli” pod pomnikiem Ofiar Zbrodni Wołyńskiej premier Mateusz Morawiecki, historyk z wykształcenia. Dał również wykład, czym jest nacjonalizm i co różni tę potworną chorobę od prawdziwego patriotyzmu. Słowa premiera to kolejny przykład jego głębokiej „wiedzy”, okraszanej niebanalnym poczuciem humoru.

Skrótowność wypowiedzi Morawieckiego aż się prosi o rozwinięcie, aby doszukać się sensu w bezsensie. Wszak „ruski mir”, którego wyznawcą jest Putin, to kiedyś i dziś idea ekspansji moskalskich wpływów i samodziśwania, zwłaszcza tam, gdzie kremlowskich dżeryzmordów nikt nie zaprasza. Tego dzisiaj doświadcza Ukraina i przeciw temu walczy, jak kiedyś UPA, co jest jasne dla każdego, kto zna historię.

Putin oczywiście jest czymś spadkobiercą, ale nie OUN i UPA – organizacji antyrosyjskich, antysowieckich i niepodległościowych (choć ich pomysł na walkę o wolną Ukrainę może się nie podobać), lecz moskiewskich agentów, którzy skrytobójczo zamordowali Jewhena Konowalca i Stepana Banderę (morderca Banderę dostał od Chruszczowa taki sam order,

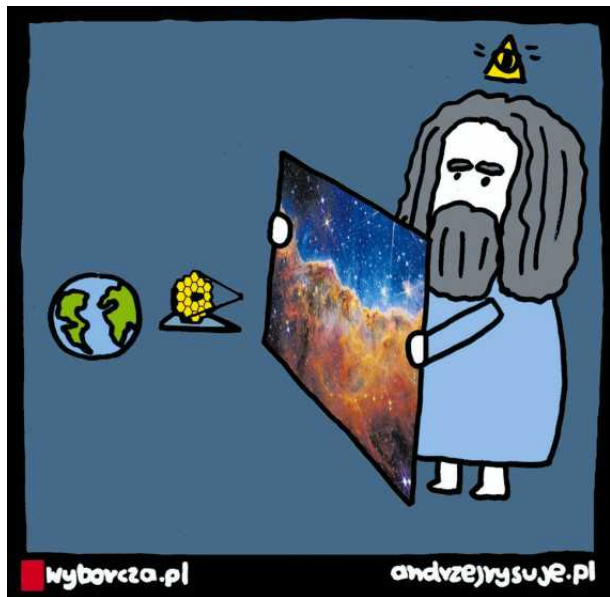
jaki zabójca Lwa Trockiego otrzymał od Stalina). To spadkobierca morderców ukraińskich niepodległościowców.

Pochylając się zaś nad wykładem Morawieckiego o nacjonalizmie i patriotyzmie, wypada przypomnieć mu, jak składał pokłony przed monachijskim pomnikiem nacjonalistów z Brygady Świętokrzyskiej, hitlerowskich kolaborantów, którzy więcej mieli wspólnego z niemieckim nazizmem niż polskim patriotyzmem.

Morawiecki nie zauważył też nacjonalizmu u ministra Czarnka, uczestnika manifestacji Obozu Narodowo-Radykalnego, o którym dziś, dzięki decyzji Sądu Najwyższego RP, można mówić, że jest skrajnie nacjonalistyczny i faszystowski. Do swojej kancelarii premier zaprosił Adama Andruszkiewicza, wcześniej funkcjonariusza Ruchu Narodowego i Młodzieży Wszechpolskiej. Nie mówiąc o sympatii do niejakiego Roberta Bąkiewicza, którego pomysły pasą się na rządowych dotacjach.

Również za granicą Morawiecki wybiera przyjaciół według podobnych kryteriów. Cały świat uważa Marine Le Pen, Viktora Orbána, Matea Salvini, Vincenza Sforę czy Marlene Svazek z Wolnościowej Partii Austrii za skrajnych nacjonalistów. Tylko garść polityków ma o nich dobre zdanie, np. Putin, lecz co się dziwi, skoro jego poglądy są w wielu miejscach zadziwiająco zgodne z poglądami Morawieckiego. ●

Andrzej rysuje



Sri Lanka Władza ludu



FOT. RAFO/WAPOOL/AP

Jeden z demonstrantów siedzi na krześle premiera po szturmie na siedzibę władz w Kolombo na Sri Lance. Nieco wcześniej z kraju uciekł prezydent Gotabaya Rajapaksa, bo bał się aresztowania, a premier Ranil Wickremesinghe po kilkudniowych zamieszkach ogłosił stan wyjątkowy. Licząca 22 mln mieszkańców Sri Lanka boryka się z największym kryzysem od czasu odzyskania niepodległości w 1948 roku. Inflacja sięga niemal 55 proc.

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Jarocin Dinozaury i młodzież

Już od lat 70. żył muzyką, gdy odbywały się tam regionalne spotkania muzyczne pod nazwą Wielkopolskie Rytmu Młodych. Festiwal w obecnej formie powstał w 1980 r. z inicjatywy Waltera Chelstowskiego. To tam pierwsze kroki stawiali muzycy, którzy zdobyli ogólnokrajową popularność. Dlatego najstarszy festiwal rockowy w Polsce będzie w tym roku miejscem wspólnego świętowania takich dinozaurów rocka, jak: Illusion, który obchodzi swoje 30-lecie, Pidżama Porno, Ira, Sztywny Pal Azji czy grupa Włochaty. Fani muzyki rockowej spotkają się na słynnym jarocińskim boisku przy ul.



FOT. TOMASZ KAMINSKI / AGENCIA WYBORCZA.PL

Maratońskiej od 14 do 17 lipca.

Jednak festiwal w Jarocinie to nie tylko wspominki. Impreza ma być też pomostem pomiędzy dawnymi edycjami a oczekiwaniami współczesnej publiczności. Na scenie zaprezentują się przedstawiciele młodszego pokolenia: Brodka, Ralph Kaminski, Czesław Mo-

zyl, Artur Rojek, Mery Spolsky, Kalush Orchestra z Ukrainy, a także Kaszel, grupa, która swoje utwory nagrywa w terenie telefonami komórkowymi.

Podsumowaniem przeglądu będzie wyjątkowy koncert z piosenkami zespołu Republika, który po raz pierwszy wystąpił w Jarocinie w 1982 r. ●

Marta Danielewicz

Czy alkohol jest ludzki?



Wygląda na to, że nasi przodkowie siali zboże nie dla chleba, ale by warzyć piwo.

• Jarek Gryz sięga do historii trunków
► 25

W poniedziałek w „Wyborczej”

Duży Format

Urodzę, ale nie tu

Jedna trzecia rodzących w szpitalu w Schwedt to Polki. Nie muszą znać niemieckiego, bo co trzeci lekarz, łącznie z ordynatorem, to Polak. Za prywatny poród trzeba zapłacić od 2 do 4 tysięcy euro.

Reportaż Joanny Strzałko



RYŚ. JOANNA RUSINEK

Top 3 wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Środa

Ciągle partyjna TVP

1 Sejm wybierze Radę Mediów Narodowych. To właśnie ona decyduje o być albo nie być Jacka Kurskiego, ale dopóki w radzie większość mają ludzie Kaczyńskiego, dopóty Kurski może być o fotel spokojny. Kandydaci to: Krzysztof Czabański (były poseł PiS), Joanna Lichocka (posłanka PiS), Robert Kwiatkowski (poseł PPS) oraz poseł PiS Piotr Babinetz, poseł KO Paweł Olszewski i poseł Lewicy Marek Rutka. To będzie druga kadencja RMN.



FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL, COURTESY OF JAKUB KIJOWSKI/FOCUS FEATURES, GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Czwartek

Ruszają Nowe Horyzonty

2 Podczas 22. edycji festiwalu filmów we Wrocławiu pokazanych zostanie 271 filmów. Gdybyśmy chcieli obejrzeć je jeden po drugim, zajęłoby to 17 dni. Wśród nich będą laureaci europejskich nagród, jak „Alcaràs” Carli Simón czy „W trójkącie” Rubena Östlunda. Będzie też „IO” Jerzego Skolimowskiego docenione przez canneńskie jury, a na koniec Agnieszki Smoczyńskiej „Silent Twins”.



Sobota

Święto sportu

3 W piątek ruszyły lekkoatletyczne mistrzostwa świata w USA. W sobotę, 16 lipca, ok. godz. 21 w finale o medal powalczyć mogą młociarze Paweł Fajdek i Wojciech Nowicki. W trwającym do 25 lipca sportowym festiwalu szanse na medale mają również nasze biegaczki: Klaudia Adamek, Marlena Gola, Martyna Kotwiła, Marika Popowicz-Drapała, Marlena Stefanowicz i Ewa Swoboda.



Cytat dnia

Tu nie chodzi o jakąkolwiek praworządność; chodzi o wywrócenie władzy, która ma w Polsce demokratyczny charakter



ZBIGNIEW ZIOBRO
minister sprawiedliwości, komentując zalecenia Komisji Europejskiej ws. praworządności w Polsce (wPolityce.pl)

Wybory 2023

Żagle dla ładnych haseł

W strategii Tuska nie chodzi o precyzyjny plan, lecz zagospodarowanie emocji ludzi wściekłych na nieudolność władzy

Wielowieyska



W kampanii w 2007 roku przewodniczący PO Donald Tusk przekonywał ludzi, że remedium na wszystkie problemy jest odsunięcie PiS-u od władzy, bo administracja i nominaci PiS-u zbyt drogo kosztują budżet. Każdy, kto ma nawet mgliste pojęcie o proporcjach związanych z wydatkami budżetu, doskonale wie, że sumy wydawane na kancelarię premiera są mało istotne z punktu widzenia deficytu budżetowego i tego typu oszczędności nie sprawią, że będzie można dać podwyżkę każdemu emerytowi. Ale wyborca specjalnie się w to nie zagłębia, bo chce pogonić rozpasanych rządzących wożących się limuzynami. Gdy Tusk był krytykowany przez gospodarczych ekspertów za to, że nie wprowadza wielu reform strukturalnych, to powtarzał, że niech sobie eksperci sami zaciskają pasa, bo ludzie to chcą żyć tu i teraz.

A zapomnieliście już o kastracji pedofiliów, co zmroziło liberalnych prawników? – Nie sądzę, żeby wobec takich kreatur jak te przypadki można zastosować termin człowiek. W związku z tym nie sądzę, żeby obrona praw człowieka dotyczyła tego rodzaju zdarzeń – powiedział w tym kontekście Tusk w czasie, gdy był szefem rządu.

Zanim przystąpimy do analizy najbardziej populistycznych haseł lidera Platformy, warto odnotować, na czym polega populizm Jarosława Kaczyńskiego: na podsycaniu lęków i szczu-

ciu na sędziów, na Niemcy i Unię Europejską. Prezes PiS-u atakuje uchodźców, osoby LGBT, osoby transpłciowe, a więc te grupy społeczne, które są dyskryminowane, często prześladowane. Wziął na celownik najsłabszych, bo są mniejszością i się nie „odwiną”. Populizm Kaczyńskiego opiera się też na autorytarnych praktykach, które mają ograniczyć kompetencje niezależnych instytucji na rzecz PiS-u.

Na czym polega populizm Tuska? Na mglistych często obietnicach i deklaracjach, że wyrzuci z urzędów nominatów PiS-u – to będzie remedium na wiele problemów gospodarczych. I trzeba sobie zadać pytanie, który populizm jest bardziej szkodliwy. Odpowiedź jest chyba oczywista. Nie zmienia to faktu, że eksperci i dziennikarze mają pełne prawo krytycznie analizować zapowiedzi Tuska, które w wielu punktach są oderwane od rzeczywistości.

Tusk zapowiada: „Gdy skończy się PiS, skończy się drożyzna”. Wierzyć? Bo ja nie. W przypadku zapowiedzi wyrzucenia Adama Głapińskiego z NBP Tusk spersonalizował problem drożyzny, bo wskazał głównego winnego, który jest wdzięcznym obiektem krytyki z wielu powodów. To dość klasyczny zabieg, stosowany też przez drugą stronę. Czy Głapiński zostanie naprawdę wyrzucony? Nie sądzę. Czy jak zostanie wyrzucony, to drożyzna zniknie? Nie. Ale nie o to chodzi w tej kampanii. Istotą jest rozliczenie ludzi, którzy są odpowiedzialni za kłopoty Polaków. A Głapiński jest rzeczywiście współwinnym obecnego stanu rzeczy.

Żeby było weselej – propozycje Platformy oznaczają napedzanie inflacji, bo taki efekt dałyby podwyżka

o 20 proc. dla sfery budżetowej, wakacje kredytowe, kontynuacja wszystkich programów socjalnych. Ale wilczym opozycyjnym prawem PO jest zgłaszanie i popieranie najbardziej populistycznych, pozornie atrakcyjnych propozycji dla wyborców. Pod tym względem nic się nie zmieniło. Pamiętam, jak Platforma poparła podwójne becikowe, które zgłaszał ówczesny lider LPR Roman Giertych. Wydatek złe adresowany, bo pieniądze dostawały także zamożne rodziny.

– Jednym z najpoważniejszych impulsów proinflacyjnych jest legion, tyśiąc, dziesięć tysięcy, pięćdziesiąt tysięcy



Tusk został okrzyknięty populistą. Uspokajam zmartwionych wyborców: nic się nie zmieniło, zawsze był populistą

cy działaczy pisowskich, aktywistów pisowskich, którzy zalegli się w spółkach skarbu państwa, w różnych urzędach i doją Polskę bez opamiętania, bez litości. I mówimy tu o miliardach złotych – mówił Tusk. Na zdrowy rozum to po prostu śmieszne. Wyrzucenie działaczy PiS-u ze spółek pod tym względem niewiele zmieni. Inflacja nie zniknie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. To wypisz wymaluj argumenty z kampanii 2007 roku: że jak rząd ograniczy wydatki na swoich urzędników, to starczy dla emerytów. Oczywiście nie. Ale znów: chodzi tu o spersonifikowanie przyczyn kłopotów Polaków, wskazanie ludzi, którzy pełnymi garściami bez specjalnego zażenowania biorą pu-

bliczne pieniądze. Cokolwiek by mówić o poprzednich ekipach, nepotyzm za czasów PiS-u osiągnął niewiarygodne wręcz rozmiary. Od lat stosowany chwyt populistyczny, od lat skuteczny: zabierzemy elitom, damy tobie, drogi obywatelu. Ale tu też trzeba Tuskowi oddać sprawiedliwość: gdy był premierem, wstrzemięźliwie rozdawał nagrody swoim, w przeciwieństwie do premier Beaty Szydło.

W strategii Tuska nie chodzi o precyzyjny plan, lecz zagospodarowanie emocji ludzi wściekłych na nieudolność władzy.

Podobnie jest z zapowiedzią szefa Platformy, że będzie przywracał praworządność środkami administracyjnymi. Owszem, w niektórych przypadkach jest to możliwe, np. gdy trzeba będzie usunąć nielegalnych dublerów z TK oraz pozbawić Julię Przyłębską stanowiska prezesa Trybunału. Inne kwestie są o wiele bardziej skomplikowane. Ale znów Tuskowi nie chodzi o to, by zaplanować w 100 proc. wykonanie tego planu, tylko zaspokoić oczekiwania wyborców tu i teraz.

Tusk mówi o prawie do mieszkania, o czterodniowym tygodniu pracy. Mówi młodym ludziom to, co chcą usłyszeć, zamiast tłumaczyć: „Stary, zmień pracę, weź kredyt”. A to już całkiem sporo. Bo polityka w większym stopniu opiera się na emocjach, a nie szczegółowych programach.

Nie wiem, czy uda mu się podciągnąć Platformę w sondażach, ale w przeszłości im bardziej był krytykowany przez ekspertów, tym bardziej rosło mu poparcie. Wiatr powiał PiS-owi w twarz, Tusk tylko nastawił żagle. A co robi, gdy zawinie do portu, to już osobna historia. ●

Dominika Wielowieyska

FOT. NASA, ESA, CSA, AND STSC/AP



Światłne duchy przeszłości

Piotr Cieśliński

N

Niemal 30 lat temu NASA pokazała słynne zdjęcie z teleskopu Hubble’a, na którym były „filary stworzenia” – majestatyczne słupy zimnego wodoru w Mgławicy Orła. Wzbudziły powszechny zachwyt, dopatrywano się w nich zarysu twarzy Chrystusa, choć niektórym kojarzył się z Burtem Reynoldsem, psem, drzewem, krową i Statuą Wolności.

Ciekawe, czego dopatrzymy się teraz na zdjęciu następcy Hubble’a?

Teleskop Webba skierowano na Mgławicę Carina w konstelacji Kila, która w północno-zachodniej części także ma gigantyczne obłoki zimnego wodoru. Patrzmy na ich postrzępioną i pofałdowaną górną krawędź.

Webb ogląda kosmos w podczerwieni, a w tym zakresie mgławica staje się częściowo przezroczysta. Fale podczerwone przenikają przez grubą zasłonę pyłu, widzimy prześwitujące gwiazdy w tle. Daje to złudzenie trójwymiarowości, jakbyśmy przyglądali się panoramie Tatr, mając przed sobą doliny i szczyty górskie, tyle że z ekstremalnie zimnego wodoru. Najwyższe z nich mają wysokość 7 lat świetlnych (dla porównania: Słońce dzieli od najbliższej gwiazdy ok. 4 lat świetlnych).

Przysiągłbym też, że to rześki poranek, gdy w pierwszych promieniach Słońca nad dolinami wznoszą się i rozwiewają opary mgły. Nie jest to dalekie od rzeczywistości, bo widoczne zamglenia nad mgławicą to w rzeczy samej sprawka promieniowania okolicznych gwiazd, obcych słońc, które silnym ultrafioletowym promieniowaniem podgrzewają i jonizują wodór, co powoduje „parowanie” chłodnych obłoków.

Wodorowe Tatry ulegają więc powolnej erozji, ale we wnętrzu ostańców – gazowych kolumn i szczytów – trwają też inne procesy, które mają charakter wybuchowy. W ultrazimnym wodorze ciśnienie gazu przegrywa z siłą ciężenia. Materia coraz bardziej gęstnieje, a kiedy zostaje przekroczona masa krytyczna, rozpalają się reakcje syntezy wodoru i co jakiś czas w jednym z wodorowych szczytów rozbłyśnie nowa gwiazda.

Im jest większa i gorętsza, tym mocniej świeci i odparowuje okoliczny wo-

dór. Błyskawicznie znika wodorowa góra, a w jej miejscu pojawia się nowe słońce. Tak sobie to wyobrażamy, ale nigdy jeszcze nie oglądaliśmy na żywo takich gorących narodzin.

Mgławica Carina z niejasnych powodów rodzi wielkie błękitne olbrzymy, które spalają się gwałtownie, świecą ostrym ultrafioletem, żyją krótko (ledwie 10 mln lat), po czym giną w fajerwerku wielkiej eksplozji (takie eksplozje już rejestrujemy – jako supernowe).

Jednym z takich nadolbrzymów jest Eta Carinae, należąca do najbardziej masywnych gwiazd, jakie znamy we Wszechświecie. Znajduje się tuż obok, ale już poza kadrem tego zdjęcia.

Silne promieniowanie masywnych i gorących gwiazd odgrywa dwie sprzeczne role: destrukcyjną, podgrzewając i rozpraszając zimne wodorowe obłoki, co utrudnia narodziny gwiazd, oraz konstruktywną, bo ich eksplozje zagęszczają obłoki i w ten sposób stają się zapalnikiem gwiazdnych narodzin. Są to więc ciągle zmagania narodzin ze śmiercią.

Nie wszystkie szczegóły i mechanizmy procesów gwiazdotwórczych są dla nas zrozumiałe, ale teleskop Webba może wiele wyjaśnić.

Zdradzę wam jedną tajemnicę: tych pięknych wodorowych Tatr widocznych na zdjęciu najpewniej już nie ma. Pod wpływem promieniowania nowych gwiazd rozwały się już kilka tysięcy lat temu, niczym przelotna mgła.

Na zdjęciu jest obraz sprzed 7,5 tys. lat, bo tyle czasu światło potrzebuje, aby dolecieć do Ziemi z Mgławicy Carina. Widzimy więc tylko światłne duchy z odległej przeszłości, mniej więcej z czasów pierwszej rewolucji rolniczej na Ziemi.

Czy warto było więc wydać na ten teleskop 10 mld dol.? Mamy wszak tyle innych bardziej naglących potrzeb. Nie mam cienia wątpliwości, że warto. Choćby dla tego jednego zdjęcia. Bezcenny jest zachwyt, zaduma nad ogromem kosmosu, uświadomienie sobie naszego miejsca i pozycji we Wszechświecie – ledwie pyłku, pozostawionego na łasce gigantycznych i chaotycznych sił. W każdej chwili możemy być zdmuchnięci przez bliską eksplozję supernowej.

Senatorka polskiego pochodzenia Barbara Mikulski (nazywano ją „matką chrzestną” Hubble’a, bo walczyła o jego finansowanie) mawiała, że Hubble jest najlepszym ambasadorem demokracji i USA. Prezydent Biden, pokazując w tym tygodniu pierwsze zdjęcie z teleskopu Webba, powiedział, że symbolizuje on nieograniczone możliwości, jakie Ameryka stwarza swoim obywatelom.

Do znudzenia będę przywoływać słowa jednego z amerykańskich noblistów, który zapytany na senackiej komisji, czy planowany akcelerator (także kosztujący miliardy) przyczyni się do poprawy obronności Ameryki, odpowiedział: „Nie, ani trochę, ale uczyni nasz kraj wartym obrony”. ●

Lustruje PiS i uderza w Ziobrę, a nadal rządzi w NIK. Tajemnica Mariana Banasia

Dominika Wielowieyska

Sejm nie zdołał uchylić immunitetu Marianowi Banasiowi, a w tym czasie raporty Najwyższej Izby Kontroli miażdżą rząd i NBP. Czy PiS podjął rokowania z prezesem NIK, czy też po prostu Jarosław Kaczyński nie jest pewny sejmowej większości?

Oficjalny życiorys sugerował, że dla PiS to idealny kandydat na prezesa NIK. Absolwent prawa UJ. Aplikacja sądowa zakończona w 1996 r. egzaminem sędziowskim oraz aplikacja NIK-owska. I do tego Podyplomowe Studia Audytu Wewnętrznego.

Działacz opozycji demokratycznej, siedział w więzieniu w latach 80. W 2015 r. prezydent Andrzej Duda odznaczył go Krzyżem Wolności i Solidarności. Religijny, konserwatyista. – Nosi różaniec w kieszeni – zauważa jeden z pracowników NIK.

W NIK pracował od 1992 r. Za pierwszych rządów PiS, a potem od 2015 r. był wiceministrem finansów. Kierował Krajową Administracją Skarbową i Służbą Celną. Pełnił funkcję generalnego inspektora informacji finansowej oraz pełnomocnika rządu – nazwa rzuca na kolana – do spraw zwalczania nieprawidłowości finansowych na szkodę Rzeczypospolitej Polskiej lub Unii Europejskiej. W 2019 r. awansował na ministra finansów. Jest trenerem karate. Ukończył kursy: szybowcowy oraz spadochronowy. Żonaty, ojciec czwórki dzieci. Czyż to nie idealny życiorys?

Według moich rozmówców ani minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, ani szef MSWiA Mariusz Kamiński nie byli promotorami tej kandydatury. Sam Banaś mówił, że Kamiński był sceptyczny. W „Dzienniku Gazecie Prawnej” opowiadał o spotkaniu w siedzibie PiS przy Nowogrodzkiej w Warszawie, w którym udział brał m.in. Jarosław Kaczyński: – Mariusz Kamiński powiedział wtedy: „Marian, wiesz, tak naprawdę to my nie wiemy, skąd ty się wzięłeś”. To było jak uderzenie sztyltem w serce, bo przecież prezes musiał wiedzieć, jaki jest mój życiorys.

To Kaczyński chciał, aby Banaś został szefem NIK, bo będzie lojalny tylko wobec samego prezesa PiS, co dawałoby bezpośrednią kontrolę Nowogrodzkiej nad tą instytucją. A jednocześnie Nowogrodzka miałaby na bieżąco oko na rządową administrację.

Prezes PiS nie zamierzał nikogo słuchać. Jeśli Kamiński sugerował, że mogą być kłopoty z powodu oświadczeń majątkowych Banasia, to Kaczyński uznał być może, że Banaś jest postrze-

gany jako konkurencja i zagrożenie dla innych czołowych polityków PiS, i to się mu podobało. Zasada Kaczyńskiego od dawna jest prosta: dziel i rządź, niech poszczególne frakcje na siebie donoszą, wtedy lider wie, co się dzieje w jego obozie. No i budzące wątpliwości oświadczenia to dobra okoliczność, bo można trzymać Banasia na krótkiej smyczy. Jak podskoczy, to się go postraszy po cichu prokuraturą. W ten sposób można manipulować pracą NIK.

Jest pewne, że Kamiński, służby i Kaczyński wiedzieli o problemach Banasia, bo już w grudniu 2018 r. posłanka PO Izabela Leszczyńska alarmowała, że oświadczenia majątkowe budzą wątpliwości. Pytała o to oficjalnie szefa CBA. Portalowi naTemat mówiła, że pracownicy skarbowki informowali o powiększających się działkach Banasia, o kamienicy w centrum Krakowa, za którą pobierał podejrzenie niski czynsz. Posłanka podawała publicznie wszystkie szczegóły dotyczące oświadczeń, te same, które zaczęto roztrząsać po wielu miesiącach.

Mimo to w sierpniu 2019 r. PiS przedstawił w Sejmie kandydaturę Banasia. Gdy reprezentujący PO Robert Kropiwnicki podnosił sprawę oświadczeń, marszałek Elżbieta Witek wyłączyła mu mikrofon. Posłowie opozycji zaczęli krzyczeć: „Skandal!”. W takiej atmosferze Banaś został wybrany.

Trzy tygodnie później magazyn śledczy „Superwizjer” TVN wyemitował reportaż Bertolda Kittela. Dziennikarz pojawił się w kamienicy w krakowskim Podgórzu, którą do oświadczeń wpisywał prezes NIK. Natknął się tam na przestępcę skazanego prawomocnym wyrokiem, który zarządzał hotelem na godziny. Mężczyzna w obecności reportera odbył rozmowę telefoniczną, twierdząc, że rozmawia z Banasiem. Kontekst był jednoznaczny: przestępca manifestuje zażyłość z wysokim urzędnikiem PiS i sugeruje, że w związku z tym nikt nic nie może mu zrobić. Po reportażu prezes NIK przyznał, że rzeczywiście odebrał ten telefon, i tłumaczył, że wynajął kamienicę synowi mężczyzny. Zaprzeczał, jakoby był to jego bliski znajomy.

Tłumaczył: – 2 września w mojej byłej kamienicy zjawił się Bertold Kittel z TVN, który ukrytą kamerą nagrał moją telefoniczną wymianę zdań z dzwoniącym do mnie ojczymem byłego już dzierżawcy. Nie miałem wpływu na to, komu dzierżawca kamienicy udostępnił numer mojego telefonu. Gdy zorientowałem się, że rozmawiałem z inną osobą niż dzierżawca, przerwałem natychmiast połączenie.

Zaraz po emisji reportażu politycy PiS bronili Banasia. – Jest człowiekiem kryształowym – mówił były marszałek Senatu Stanisław Karczewski w RMF FM. A mate-



FOT. DAVID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

riał TVN nazwał „insynuacjami, swoistego rodzaju zemstą i manipulacją”.

Ale już wkrótce „przekaz dnia” zmieni się o 180 stopni.

Media znów zajęły się majątkiem Banasia, który zadeklarował, że z wynajmu dwóch mieszkań i 400-metrowej kamienicy w 2018 r. zarobił trochę ponad 65 tys. złotych. To oznacza średni miesięczny dochód w wysokości 5,5 tys. zł. Za wynajem podobnej kamienicy w takiej krakowskiej lokalizacji, według lokalnych biur nieruchomości, mógłby uzyskać co najmniej trzy razy więcej – około 15 tys. miesięcznie. I płaciłby wyższe podatki. – Na pierwszy rzut oka wstępna kwalifikacja jest taka: unikanie opodatkowania. Prokurator generalny z urzędu powinien wszcząć postępowanie, a jeżeli nie prokuratura, to urząd skarbowy – oceniał anonimowo w TVN funkcjonariusz CBA.

Ale nic takiego przed emisją reportażu się nie wydarzyło. A po emisji szef NIK przyznał w telewizji państwowej, że czynsz był niższy, niż być powinien. – Ta niższa cena wzięła się stąd, że kamienica miała być kupiona na podstawie umowy przedwstępnej i w finale, później, już przy rozliczeniu, ta cena miała być wyrównana.

Lecz do transakcji nie doszło, bo w marcu 2018 r. dzierżawca kamienicy poinformował Banasia, „że będzie musiał zrezygnować z kupna, gdyż nie zdołał uzyskać kredytu”.

Ale nie liczby były kluczowe, lecz fakt, że Banaś ma takie relacje z przestępcami. To z jednym z braci K. – Wiesławem ps. „Simon” – rozmawiał Kittel w kamienicy przy Krasickiego 24. Widzowie zobaczyli kark i złote łańcuchy oraz biały dres. Skojarzenia nasuwają się same. I to ten obraz okazał się kluczowy dla dalszego biegu wydarzeń.

Razem z bratem Januszem ps. „Paolo” Wiesław K. zajmował się w Krakowie prowadzeniem agencji towarzyskich. „Simon” groził gwałtem dziewczynie, straszył ludzi piłą mechaniczną (został za to skazany przez sąd w Elblągu), a rodzina K. terroryzowała sąsiadów gazem.

W 2005 r. bracia K. brali udział w krwawych porachunkach między grupami suterów. Zostali prawomocnie skazani za to oraz za groźby karalne użyte przy próbie egzekucji długu. Natomiast umowę dzierżawy krakowskiej kamienicy Marian Banaś podpisał w 2014 r. z Dawidem O. Z ustaleń OKO.press wynika, że Janusz K. to ojczym dzierżawcy.

Kaczyński zobaczył wtedy, że Banaś staje się poważnym politycznym obciążeniem, bo o ile oświadczenia majątkowe nie przemawiały do wyobraźni wyborców, o tyle kadr z Wiesławem w białym dresie i ze złotym łańcuchem oraz bogatą kartoteką – owszem.

Na Nowogrodzkiej zarządzono więc odwrót. Cel? Zmusić Banasia do dymisji. Prezes NIK został zaproszony do Kaczyńskiego pod koniec listopada. Na tym spotkaniu w zasadzie zgodził się na dymisję pod pew-

nymi warunkami: miał być chroniony przed odpowiedzialnością. Ale też miał sam ogłosić decyzję, a spotkanie z Kaczyńskim miało pozostać tajemnicą. Tymczasem Anita Czerwińska zaraz potem napisała na Twitterze, że właśnie spotkanie się odbyło. I „zostało wyrażone oczekiwanie, aby szef NIK podał się do dymisji”. To Banasia rozsierdziło.

I tu na scenę wkracza syn prezesa NIK Jakub Banaś, który zarządza majątkiem rodziny.

Jeden z moich rozmówców tak to opisuje, a jego opis sytuacji współgra z innymi relacjami w tej sprawie: „Wizerunek Banasia jest inny niż on sam w rzeczywistości. To człowiek starej daty, prostej konstrukcji, niedostosowany do czasów nowoczesności i dzisiejszej gry. Banaś zmienił front pod presją Kuby. Kuba pracował w instytucji oświeconej przez zióbrystów, w Pekao SA. Tam zobaczył, jak wygląda polityka od kulis. Dość cyniczny, przenikliwy chłopak, dobrze czytający politykę. I on zakazał ojcu podawać się do dymisji. Wy tłumaczył tacie, że momentalnie zostanie zatrzymany, zostaną mu postawione zarzuty”. Bo PiS żadnych takich zobowiązań nie respektuje. To było możliwe, bo w takim układzie Banasia nie chroniłby już immunitet.

– PiS rozegrał to tragicznie. Uważał, że Banasia da się zastraszyć, uderzając w jego syna. A tymczasem ciągle atakowanie Jakuba tylko umacnia go w uporze. Na Nowogrodzkiej nie rozumieli, że on jednego syna stracił w 2004 r. Chłopak zginął podczas górskiej wyprawy w Pirenejach. I tym bardziej Banaś jest zdeterminowany, aby chronić Kubę – mówi kolejny mój rozmówca.

Sekwencja zdarzeń jest więc taka: 28 listopada 2019 r. prezes NIK został wezwany do rezygnacji na spotkaniu z Kaczyńskim i Kamińskim. Dzień później NIK poinformowała, że decyzja o dymisji nie została podjęta. Tego samego dnia Centralne Biuro Antykorupcyjne skierowało do prokuratu-

ry zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez Banasia.

4 grudnia Banaś wydał oświadczenie, w którym stwierdził, że „w poczuciu odpowiedzialności za NIK” będzie kontynuował powierzoną mu przez parlament misję. Zapewnił, że był gotów „złożyć rezygnację z urzędu”. – Z przykrością stwierdziłem jednak, że moja osoba stała się przedmiotem brutalnej gry politycznej. Powiedział też, że jest gotów „odpowiedzieć na każde pytanie śledczych”. Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego poinformowała o rozpoczęciu wobec Banasia „postępowania sprawdzającego”.

I rozpoczęła się regularna wojna podjazdowa. CBA wkroczyło do gabinetu szefa NIK, a wcześniej przeszukano jego mieszkanie. NIK odpowiedziała kontrolą w Prokuraturze Krajowej.

Wyniki kontroli CBA pozostają niejawne. „Dziennik Gazeta Prawna” napisał, że zastrzeżenia dotyczą gotówki w domu Banasia, przeszło 200 tys. złotych. Banaś oświadczył, że „powaga Najwyższej Izby Kontroli i jej prezesa” nie pozwala mu na „polemikę w mediach”.

– Zapoznałem się z raportem CBA, wnioski z tego raportu powinny skłonić pana Banasia do podania się do dymisji. Jeśli tak się nie stanie, mamy plan B – mówił premier Mateusz Morawiecki w listopadzie 2019 r. Do dzisiaj plan B nie został zrealizowany.

Początkowo Banaś junior był beneficjentem układu PiS-owskiego. Gdy ojciec zostaje wiceministrem finansów, Jakub niedługo potem zatrudnia się w zarządzie Przedsiębiorstwa Sprzętu Ochronnego „Maskpol”, które należy do państwowej Polskiej Grupy Zbrojeniowej. To producent sprzętu dla policji, Straży Granicznej i wojska. Banaś junior był najpierw członkiem zarządu, a później pełnił obowiązki prezesa.

Pracą Jakuba Banasia w Maskpolu zajęła się Izabela Leszczyna. Po rozmowach z pracownikami przesłała do premiera i do prezesa spółki interpelacje z pytaniami o wyso-

diałny

kie pensje nowych prezesów i dyrektorów, a także o współpracę z rodzinną firmą Jakuba w czasie, gdy ten pełnił funkcję prezesa. – Czy poszedł tam po to, żeby podpisać jakiś intratny kontrakt ze spółką swojej żony i zarobić na tym? – pytała posłanka PO.

Zdaniem opozycji Banaś zatrudnił trzech nowych dyrektorów, każdy z pensją około 30 tys. zł. Podobno ich zadania dublowały się z już zatrudnioną kadrą kierowniczą. Pracownicy pisali także o zatrudnianiu osób z PiS oraz spowinowacowanych z nowym kierownictwem. Angażowano podwykonawców, którzy nie radzili sobie z zadaniami, za to także mieli być związani z nowym kierownictwem.

Banaś publicznie zaprzeczał, że dostał posadę dzięki ojcu, powoływał się na wcześniejsze doświadczenia biznesowe.

Potem zatrudnił się w Pekao SA. Według Krajowego Rejestru Sądowego zasiadał również w radzie nadzorczej w Związku Pracodawców Przedsiębiorstw Przemysłu Obronnego i Lotniczego, zrzeszającym państwowe firmy.

Gdy wybuchła afera, Jakub pożegnał się z posadą w państwowym banku i został doradcą społecznym ojca. „Rzeczpospolita” napisała, że stworzył w NIK grupę wpływów, złożoną z ludzi ściągniętych z banku. Społeczni doradcy dostali niezwykle szerokie uprawnienia. Na przykład dyrektorzy zostali zobowiązani do udzielania doradcom „wszelkich informacji i przekazywania dokumentów”. Banaś junior nie dostawał wynagrodzenia, ale NIK pokrywała koszty jego delegacji. Mówiło się, że syn prezesa miał duży wpływ na decyzje kadrowe, próbował wydawać polecenia. – Czytałem te doniesienia, wydają mi się przesadzone – mówi mi osoba z NIK. – Praca w Izbie jest zaplanowana wedle ściśle ustalonych procedur, kontrolerzy są niezależni. Jeśli młody Banaś ma na kogoś wpływ, to przede wszystkim na ojca.

W kwietniu 2021 r. do domu Jakuba Banasia wkroczyło CBA. – Zakłócono spokój również mojej synowej, a sytuację tę szczególnie przeżyły moje wnuki – mówił prezes NIK. – To już kolejne przeszukanie. Syn od przeszło roku, podobnie jak ja, był stale inwigilowany, represjonowany wraz z rodziną. Dzieje się tak dlatego, by zmusić mnie do rezygnacji z pełnienia funkcji prezesa NIK i zmiany wyników zakończonych oraz prowadzonych kontroli.

Także do domu prezesa NIK w Krakowie weszła policja z powodu anonimowej informacji o rzekomych planach samobójczych Jakuba. Doniesienia pojawiły się w przeddzień zaplanowanej przez NIK konferencji w sprawie wyborów kopertowych. Falszwy mail od Jakuba zawierał taką treść: „Chcę popełnić samobójstwo. Wysadzę dom. Piszę tę wiadomość, aby nie było wątpliwości – bezpośrednio nikt nie przyczynił się do mojej śmierci. To wyłącznie moja decyzja. Chcę popełnić samobójstwo. Planowałem to od jakiegoś czasu. Moje życie, moja świetnie zapowiadająca się kariera zostały zrujnowane przez służby PiS”.

Prezes NIK nie miał wątpliwości, że mail to prowokacja służb. Na pewno jako osoba długo przebywająca w kręgu PiS znał metody stosowane przez ludzi tej partii. To samo mówił młody Banaś. – Gramy o bardzo wysoką stawkę. Byłem już czterokrotnie zatrzymywany. Był okres, gdy ciągle miałem ogon. Chodziło o to, żeby mnie wystraszyć. Ktoś próbował zagrać moim samobójstwem w dniu konferencji o wyborach kopertowych. Przypadki? Normalne działanie służb? Bez jaj, tak właśnie się robi w Polsce politykę – stwierdził w „Dzienniku Gazecie Prawnej”.

W lipcu 2021 r. Banaś junior, jego żona oraz dyrektor Izby Skarbowej w Krakowie Tadeusz G. zostali zatrzymani przez CBA. Początkowo chodziło o składanie fałszywych oświadczeń majątkowych przez prezesa NIK. Prokuratura postawiła im zarzuty wyłudzenia około 120 tys. zł na renowację kamienicy oraz

wyłudzenia podatku VAT – prawie 80 tys. zł. Tadeuszowi G. przedstawiono sześć zarzutów. Chodzi między innymi o to, że bezprawnie ujawnił prezesowi NIK informacje na temat kontroli podatkowej i działań CBA. Tadeusz G. się przyznał.

W „Dzienniku Gazecie Prawnej” Banaś junior mówił: „Zarzuty wobec ojca, mnie, innych osób z jego otoczenia, zatrzymanie w świetle kamer – to wszystko jest bardzo możliwe, aby zdyskredytować nas w oczach opinii publicznej”.

Potem sąd uznał, że zatrzymanie dla potrzeb śledztwa młodego Banasia i Tadeusza G. było zasadne, legalne i prawidłowe.

– Widzę partyjność i system sprawowania władzy jako coś skrajnie nieuczciwego, jako system mafijny, w którym wrogów się po prostu eliminuje w przestrzeni publicznej, na przykład wsadzając do aresztu, dyskredytując, organizując na nich tak zwane oeski, czyli operacje specjalne – ocenił Jakub Banaś. I dziękował Kittelowi. – Zrobił kawał dobrej roboty. Różnię się z nim co do merytoryki tego reportażu, ba, sądzę się z nim nawet. Ale koniec końców dziękuję za metamorfozę ojca. Okazał się narzędziem w rękach Opatrzności.

Koniec końców dziękuję reporterowi TVN za metamorfozę ojca. Okazał się narzędziem w rękach Opatrzności

JAKUB BANAŚ

– Marian Banaś złożył pozew przeciwko mnie. Rozprawa jest zaplanowana po wakacjach. Uważam, że nadal nie wyjaśniono podstawowych kwestii, a mianowicie kto krył Banasia, dlaczego wcześniej nikt nie miał zastrzeżeń do jego oświadczeń majątkowych, jaki układ doprowadził do tego, że stał się kandydatem na prezesa NIK, a następnie został wybrany mimo tylu zastrzeżeń – powiedział „Wyborczej” Bertold Kittel.

Mimo fałszywego alarmu w sprawie samobójstwa konferencja prasowa 15 maja się odbyła. Banaś nie zostawił suchej nitki na Morawieckim i jego ministrach.

– Przygotowanie wyborów na podstawie decyzji administracyjnej było pozbawione podstaw prawnych – oświadczył. Chodzi o wybory, które PiS organizował w maju 2020 r. Banaś podkreślał, że tylko Państwo wa Komisja Wyborcza jest uprawniona do organizowania wyborów na prezydenta RP. Według niego w błoto poszło 76 mln zł.

Izba wysłała zawiadomienia do prokuratury dotyczące zarządów Poczty Polskiej i Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych. A także w sprawie Morawieckiego, szefa kancelarii premiera Michała Dworczyka, ministra aktywów Jacka Sasina i szefa MSW Mariusza Kamińskiego.

Na razie wiemy tyle, że Sąd Okręgowy w Warszawie przyznał rację prokuraturze, która nie dopatrzyła się winy zarządu PWPW. Tym samym NIK prawomocnie przegrała tę sprawę z prokuraturą – informowała „Rzeczpospolita”. Chodzi o wydruk ponad 30 mln kart do głosowania. Prokuratura odpowiedzialnością Morawieckiego i jego ministrów nie chce się zająć. Ale raport NIK może jeszcze powrócić, gdy PiS przegra wybory.

Zanim przejdziemy do rozważań, czy Banaś walczy z PiS, czy nie, i czy używa do tego NIK, warto prześledzić procedury, które obowiązują w tej silnie zhierarchizowanej instytucji, rządzącej się swoimi prawami. Kluczową władzę mają w rękach kontrolerzy. To oni decydują o zawartości raportów. Ale faktem jest, że w ich treść może ingerować kolegium NIK. Ostatnio taka niewielka, łagodząca in-

gerencja dotyczyła Kancelarii Prezydenta. – Relacje między prezydentem a Banasiem są poprawne, nie ma tu wojny jak w przypadku PiS – słyszę od moich rozmówców.

W kolegium zasiada dziś dziewięć osób, m.in. prezesi i wiceprezesi NIK. Banaś jest uważany za osobę, która broni kontrolerów, wiceprezes Małgorzata Motylow głosuje różnie, a interesów PiS pilnuje były poseł tej partii wiceprezes Tadeusz Dziuba. Prezes NIK próbował odwołać Dziubę, ale decyzję podejmuje marszałek Sejmu, a Elżbieta Witek nie miała zamiaru dymisjonować wysłannika swojej partii.

Wojna podjazdowa między prezesem a wiceprezesami przybierała różne formy. Motylow i Dziuba zlecieli ABW szczegółowe sprawdzenie ich gabinetów. Wiceprezesi podejrzewali, że prezes ich podsłuchuje.

Obok kierownictwa NIK w kolegium zasiada siedem osób. Są tam eksperci i byli dyrektorzy Izby. Banaś nie ma jednoznacznej większości. Raz wygrywa, raz przegrywa głosowania. Kolegium jest dziś poważnie okrojone. W Sejmie prezes się skarżył, że marszałek Witek nie powołuje do kolegium zgłoszonych przez niego kandydatów. A przedstawił aż dwadzieścia siedem



wniosków. I sześć razy słał pisma do Witek w tej sprawie.

To sytuacja z gatunku „złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma”. Witek z Banasiem mogą się wzajemnie blokować. Kolejna odsłona batalii o kolegium ma nastąpić wkrótce, bo Banaś szykuje nowe kandydatury.

Onet poinformował kilka tygodni temu, że Banaś znów zaczął się układać z PiS. Dowodem miał być fakt, że NIK nie urządziła konferencji prasowej w sprawie słynnego już bloku energetycznego w elektrowni w Ostrołęce. Rzeczywiście powstał raport, który obnażał niekompetencje oraz marnotrawstwo publicznych pieniędzy na wielką skalę. A takiego wydarzenia medialnego jak z wyborami kopertowymi nie było.

Sprawa jest bulwersująca. Budowa bloku węglowego rozpoczęła się pod koniec 2018 r., jednak wiosną 2020 r. prace zostały zawieszono. Potem zmieniła się koncepcja i postawiono na gaz ziemny, więc blok węglowy zaczęto demontować. NIK nie miała wątpliwości: to niegospodarność, niekompetencja i astronomiczne straty rzędu 1 mld 350 mln. Kontrolerzy stwierdzili, że to efekt decyzji państwowych spółek i lokalnych polityków PiS. – To pomnik pazerności, chaosu, układów i kolesiostwa – mówiła Kamila Gasiuk-Pihowicz z PO.

Zapytaliśmy rzecznika NIK Łukasza Pawelskiego, dlaczego nie było konferencji prasowej. „Wyniki dwóch kontroli – »Wykonywanie zadań przez Energa SA i Enea SA w procesie inwestycji w blok energetyczny Ostrołęka C« oraz »Realizacja inwestycji w blok energetyczny Ostrołęka C przez spółkę Elektrownia Ostrołęka sp. z o.o.« – zgodnie z ustawowym obowiązkiem zostały opublikowane w Biuletynie Informacji Publicznej. Organizacja konferencji prasowej podczas publikacji wyników kontroli jest decyzją fakultatywną, która zależy od przyjętej strategii komunikacji NIK. Kontrola dot. inwestycji w blok węglowy w Ostrołęce budziła ogromne społeczne i polityczne zainteresowanie. Podobnie jak kontrole dot. organizacji wyborów korespondencyjnych czy Funduszu Sprawiedliwości. Niestety część komenta-

torów dyskredytowała nasze ustalenia, zarzucając zbytnią medialność podczas prezentowania wyników kontroli. Chcąc uniknąć sytuacji, w której to głównym tematem rozmów byłaby forma prezentacji wyników, zdecydowano na poziomie Wydziału Prasowego w porozumieniu z Prezesem NIK o braku organizacji konferencji” – odpowiedział Pawelski.

A dlaczego nie sformulowano wniosków do prokuratury?

– Ta kwestia nie została zamknięta. Nadal trwają prace nad projektami zawiadomień. Dla dobra przyszłego postępowania nie zdradzamy szczegółów – stwierdził rzecznik. Kilku polityków PiS musi się czuć niepewnie.

I tu dochodzimy do kluczowego punktu związanego z funkcjonowaniem Banasia w NIK. Bo Banaś się z PiS nie układa, on się układa z niektórymi osobami z obozu PiS, a to zupełnie coś innego. W rozmowach z politykami opozycji, do których co jakiś czas dochodzi, deklaruje, że wojna z Kaczyńskim się nie zakończyła.

Sprawa Ostrołęki pokazuje, że prezes NIK nie zamierza atakować dla samego atakowania. Wyjątkowo delikatnie potraktowano obecnego prezesa PKN Orlen Daniela Obajtka. – Obajtek, Beata Szydło i posłowie z Polski południowej bardzo sceptycznie podchodzą do wojny z Banasiem. Tu działa solidarność regionalna – twierdzi mój rozmówca. Obajtek obawiał się, że wyniki kontroli uderzą także w niego, bo był prezesem Energi. Prawda jest jednak taka, że Obajtek od początku tłumaczył Kaczyńskiemu, że pomysły ministra energii Krzysztofa Tchórzewskiego są kompletnie bez sensu. Kaczyński nie chciał słuchać, bo w PiS było silne lobby lokalne, które pchało tę inwestycję. W końcu jednak Nowogrodzka uznała argumenty Obajtka. Niemniej obecny prezes Orlenu był zamieszany w tę sprawę.

Inny bohater afery, minister energii Krzysztof Tchórzewski, oskarża go o sabotowanie projektu. Ale gdy okazało się, że NIK bada sprawę, Obajtek postarał się, aby to jego argumenty dotarły do odpowiednich osób.

Zapytaliśmy NIK, dlaczego w raporcie dotyczącym Ostrołęki nie ma mowy o roli Obajtka jako prezesa Energi.

Pawelski odpowiada, że kontrola dotyczyła okresu, w którym Obajtek nie był prezesem. Ale powtórzmy: na użytek raportu NIK Tchórzewski zeznał, że Enea i Energa sabotowały inwestycję i że niezrozumiałe było przerwanie budowy elektrowni węglowej na rzecz projektu gazowego. A to Obajtek przekreślił projekt bloku węglowego, bo z góry uzależnił przejęcie Energi od rezygnacji z budowy w Ostrołęce elektrowni na węgiel i postawienia tam elektrowni opalanej gazem.

To ultimatum miał zaakceptować wicepremier Jacek Sasin. – Obajtek doskonale musiał zdawać sobie sprawę ze strat, jakie poniesie Energa, wycofując się z umowy na budowę zakładu w Ostrołęce – pisał Onet. Obajtek broni się, że to on alarmował, że blok węglowy był od początku poronionym pomysłem, bo polityka Unii Europejskiej idzie w kompletnie inną stronę.

Piłka jest wciąż w grze, bo zawiadomienia do prokuratury są w trakcie pisania.

W lipcu 2021 r. prokurator generalny Zbigniew Ziobro przesłał do Sejmu wniosek o uchylenie immunitetu Banasiowi. W styczniu tego roku sejmowa komisja regulaminowa głosami PiS pozytywnie oceniła wniosek, w którym mowa jest o kilkunastu zarzutach, w tym o podaniu nieprawdziwych informacji w oświadczeniach majątkowych. Sejm na posiedzeniu plenarnym miał od razu zająć się sprawą. Nie zajął się, a od posiedzenia komisji minęło już pół roku.

Opozycja nie chce głosować z PiS mimo wcześniejszego krytycznego stosunku do Banasia, bo traktuje go – wedle słów Tuska – jak „świadka koronnego”. Uchylenie im-

munitetu mogłoby otworzyć furtkę do usunięcia Banasia z NIK i przejścia przez Nowogrodzką kontroli nad Izbą. A oznaczałoby spacyfikowanie NIK jako niezależnej od władzy instytucji.

W jaki sposób PiS mógłby zneutralizować Banasia? Tłumaczy to były szef NIK senator Krzysztof Kwiatkowski. Teoretycznie Banaś mógłby pełnić funkcję, nie mając immunitetu. Wyrzucić można go wtedy, gdy zapadnie prawomocny wyrok. Jednak istnieje przepis, który – po uchyleniu immunitetu – pozwala wydać postanowienie „o niewykonywaniu swoich obowiązków”. Czyli prezes nie mógłby pracować i ktoś za niego kierowałby NIK, np. wiceprezes Dziuba.

Ale senator zauważa w rozmowie z „Wyborczą”, że gdyby partia rządząca dokonała takiej operacji, to Komisja Europejska mogłaby zablokować pieniądze unijne. Bo „mechanizm pieniądze za praworządność” zakłada, że wypłata środków jest wstrzymana, jeśli w danym kraju nie ma warunków do nadzoru ich wydawania zgodnie z procedurami w demokratycznym państwie prawa. Dlatego Morawiecki nie jest entuzjastą tego planu.

Sprawa Ostrołęki pokazuje, dlaczego PiS nie zdołał odebrać immunitetu Banasiowi. Kaczyńskiemu po prostu brakuje większości w Sejmie. Nie chodzi tylko o frakcję Obajtka i Szydło. Banaś jest też poukładany z innymi posłami PiS. Dlaczego chcą chronić Banasia?

– To ludzie, którzy i tak są już na cenzurowanym u Kaczyńskiego, prawdopodobnie nie dostaną dobrych miejsc na listach, a Banaś im różne rzeczy obiecał, choć nie jestem pewien, co konkretnie, może pracę w Izbie – mówi mój rozmówca. Prezes NIK widuje tych posłów co jakiś czas, ale spotkania są trzymane w tajemnicy, bo Banaś nie chce im zaszkodzić. Wymienia się Krzysztofa Ardanowskiego, bo on akurat publicznie dystansował się od wojny z Banasiem. Poseł Kukiz'15 Jarosław Sachajko, który wspiera większość rządową, powiedział „Wyborczej”, że on także nie będzie głosował za uchyleniem immunitetu. Wydaje się więc jasne, że Kaczyński głosowanie by przegrał.

Tak więc pod rządami Banasia NIK piętnuje marnowanie pieniędzy podatników, nieudolność, korupcyjne praktyki i puste obietnice PiS. To Izba zwróciła uwagę, że do września 2021 r. Rada Polityki Pieniężnej bagatelizowała inflację. W analizie wykonania budżetu państwa i założeń polityki pieniężnej w 2021 r. czytamy, że „Rada Polityki Pieniężnej jako główną przyczynę inflacji wskazywała zewnętrzne negatywne czynniki podażowe o charakterze przejściowym”. A tymczasem jeśli inflacja bazowa jest większa niż górna granica odchylić od celu inflacyjnego, to oznacza, że są inne powody wzrostu cen i NBP mógł odpowiednio reagować. – A nie reagował – konkluduje NIK.

Inny przykład: w listopadzie 2016 r. została przyjęta ustawa „Za życiem”. Cel – wsparcie rodzin, które zdecydują się na urodzenie i wychowanie dziecka z niepełnosprawnością. NIK obnażył nędzę przedsięwzięcia, badając efekty do czerwca 2020 r. To szczególnie istotne w obliczu wyroku Trybunału Konstytucyjnego z października 2020 r., który ograniczył dostęp do legalnej aborcji. Konkluzja: program „Za życiem” nie spełnił większości zadań.

W zeszłym roku pojawił się inny bulwersujący raport, krytykujący działania ministra sprawiedliwości i jego fatalny nadzór nad przywiezionymi zakładami pracy. NIK pisała o korupcyjnym systemie stworzonym w resorcie. Przywiezione zakłady miały uprzywilejowaną pozycję w staraniu się o zamówienia publiczne – nie obowiązywały ich procedury, które są wymagane w przypadku innych firm. A to dlatego, że państwo chce aktywizować skazanych. Intencje były dobre, ale praktyka zupełnie inna. System nie wspierał zatrud-

niania więźniów, bo zakłady te same zadania zlecały podwykonawcom, zwykłym firmom. To bardzo dobry sposób omijania przepisów o zamówieniach publicznych. – Taka praktyka stwarzała warunki zakupu towarów i usług w niekonkurencyjnych cenach oraz faworyzowania wybranych podwykonawców. Tym samym mogło powstać ryzyko korupcji – stwierdziła NIK.

NIK skrytykowała też wydatek ponad 115 mln zł na przywiezione hale produkcyjne. Budowano je w ramach sztandarego programu byłego wiceministra sprawiedliwości Patryka Jakiego. Znaczną część zakwestionowanych przez NIK dotacji otrzymało przedsiębiorstwo kierowane przez Jihada Rezekę, człowieka Jakiego. NIK wyliczyła, że aż 27 dotacji na budowę hal – łącznie na kwotę ponad 115 mln zł – udzielono z naruszeniem prawa zamówień publicznych.

Nie ulega wątpliwości, że ekipa Ziobry bezwstydnie korzysta z publicznych pieniędzy, i ma na to przyzwolenie Kaczyńskiego. Poznaliśmy już kolejny raport NIK na temat Funduszu Sprawiedliwości. Izba stwierdziła, że resort stworzył korupcyjogenny system rozdawania pieniędzy wedle uznania ludzi Ziobry. Fundusz Sprawiedliwości gromadzi środki zasądzone od sprawców przestępstw. Jego dotacje mają być przeznaczone na wsparcie ofiar przestępstw. Ale Ziobro rozszerzył katalog zadań, na które można wydawać pieniądze.

Fundacja Ex Bono z Opola otrzymała z Funduszu około 10 mln złotych, z czego na koszty administracyjne ma przeznaczyć blisko 2 mln złotych. Podczas kontroli okazało się, że siedziba fundacji to prywatne mieszkanie w bloku, a osoby, które tam się znajdowały, nie miały pojęcia o jakiegokolwiek fundacji. Ex Bono kieruje Ryszard Markowski, krewny Małgorzaty Wilkos, radnej miejskiej Solidarnej Polski. Radna reprezentowała fundację, gdy odpowiadała na słowa posła KO Witolda Zembaczyńskiego o „opolskiej ośmiornicy Solidarnej Polski”. Zarząd fundacji oraz jej współpracownicy „konsekwentnie odmawiali udzielania wyjaśnień oraz zeznań w charakterze świadka, wskazując w szczególności na grożącą im odpowiedzialność karną i/lub majątkową” – czytamy w raporcie NIK.

Relacje z Dudą ma poprawne, rozmawia z opozycją, spotyka się z renegatami PiS, wspierają go Obajtek i Szydło

Fundusz jest skarbonką Solidarnej Polski. Pieniądze szły na rozmaite dary w okręgach, w których startowali kandydaci SP. Środki traktowano jak kielbasę wyborczą, czego duch przepisów ordynacji surowo zabrania. Nie można w ten sposób używać ani funduszy prywatnych, ani publicznych, ale w obozie PiS żadne zasady nie obowiązują.

Bulwersujących sprawach, które kontrolowała NIK i wysyłała zawiadomienia do prokuratury, nie dzieje się nic albo prawie nic. No chyba że wyrok na swoją wyda sam Kaczyński. Niemniej wnioski z raportów Izby – jeśli opozycja wygra wybory – będą na pewno obiektem śledztwa niezależnej prokuratury i Ministerstwo Sprawiedliwości będzie na celowniku obok premiera Morawieckiego i innych członków Rady Ministrów. ●

Born in the USA

Musimy wrzucić te książki do ognia

Opowieść o nieśmiałym koniku morskim, w której wyjaśnia się, jak koniki morskie przychodzą na świat, deprawuje amerykańskie dzieci



Maciej Jarkowiec

Co wy tam palicie – pytał major Walenda w kultowych „Psach”. Stopczyk palił radomskie, a Franz camele, choć tak naprawdę palili akta – „całą naszą pieprzoną przeszłość”.

W Stanach palą całą pieprzoną lewacką propagandę. W miasteczku Fredericksburg w Wirginii matka ucznia chodzi między regałami szkolnej biblioteki i wyszukuje książki o tematyce rasowej oraz LGBT. Gdy znajdzie coś podejrzanego, wpisuje na czarną listę. Listę wysyła do zarządu edukacji hrabstwa Spotsylvania. Zdominowany przez Republikanów zarząd poleca wszystkim bibliotekarzom i bibliotekarzom przeprowadzić remanent. Na listę zakazanych wpisanych zostaje kilkaset tytułów. W czasie transmitowanych w lokalnej telewizji obrad zarządu jeden z członków postuluje: – Zdjęcie z półek to za mało, nie chcę nawet oglądać tych książek, musimy je wrzucić do ognia.

W kolejce do spalenia czeka m.in. „33 Snowfish”, powieść Adama Rappa o ucieczce 10-latką z przemocowego domu rodziny zastępczej, która według Stowarzyszenia Bibliotek Amerykańskich została książką roku 2004. Okazuje się, że jest jedną z tych, które mówią o seksie – również w wydaniu nieheteronormatywnym – uwodzą i deprawują dzieci.

Według danych amerykańskiego PEN Clubu od lipca 2021 do kwietnia 2022 ze szkolnych bibliotek wycofano prawie 1,6 tys. tytułów. Niemal połowa zdjętych książek dotyczyła kwestii rasowych, a 33 proc. poruszało tematykę LGBT.

Decyzje o usunięciu najczęściej podejmują władze szkolnych okręgów. W USA edukacja publiczna jest zdecentralizowana. Ponad 90 proc. zakazów uchwalono w okręgach rządzonych przez Republikanów. Prawica twierdzi, że jedynie broni dzieci, bo w ostatnich latach szkolne biblioteki padły ofiarą cichej inwazji rasowej propagandy oraz homo- i transindoktrynacji. Jedną z grup rodzicielskich o nazwie Zakaz Skrętu w Lewo podzieliła niebezpieczne książki na trzy grupy: o stosunkach rasowych, antypolityczne i z zakresu edukacji seksualnej. W ostatniej grupie znalazła się opowieść o nieśmiałym koniku morskim, w której wyjaśnia się m.in., jak koniki morskie przychodzą na świat.

Sygnal do kontrataku dał konserwatysem Glenn Youngkin w ubiegłorocznych wyborach gubernatorskich w Wirginii. W jednym ze spotów pokazał historię matki, która walczyła o wycofanie z biblioteki w szkole swoich dzieci „Umiłowanej” noblistki Toni Morrison. Ta klasyczna już pozycja z 1987 r. opowiada o zbiegłej niewolnicy mieszkającej w nawiedzonym domu w Cincinnati w stanie Ohio. Matka twierdziła, że książka jest pełna przemocy, co jest zgodne z prawdą – opowiada o czasach niewolnictwa. Temat niestosow-

nych książek w szkolnych bibliotekach stał się jednym z najważniejszych w kampanii. Youngkin wygrał, choć nie był faworytem.

W następnych miesiącach prawicowe okręgi w całym kraju zdejmowały m.in. książkę „Ruby Bridges Goes to School” o dorastaniu czarnego chłopca w pierwszej zintegrowanej szkole w Nowym Orleanie, a także opowieści o Duke’u Ellingtonie czy Malali Yousafzai. Na czarną listę trafiała nawet biografia Rosy Parks z serii książek dla dzieci „Jak zwyczajni ludzie zmienili świat” pióra bestsellerowego autora Brada Meltzera.

Argumentowano, że czytając o rasi-stowskiej historii kraju, biali uczniowie mają poczucie winy. Być może tak jak esbecy, czytając akta? Całą pieprzoną przeszłość należy więc puścić z dymem. Ewentualnie pokazać dla niej alternatywę: w jednym z okręgów w Teksasie powiedziano bibliotekarzom, że książki o Holocauście mogą zostać, jeśli pojawią się tytuły pokazujące „inny punkt widzenia”.

Palenie i zakazywanie książek ma w ojczyźnie wolności długą tradycję. W pierwszej kolonii purytanów w Plymouth w Massachusetts palono pisma Williama Pynchona, gdyż twierdził, że kluczem do zbawienia jest posłuszeństwo, a nie cierpienie. W kolejnych stuleciach cenzorom nie podobały się choćby „Przemyślenia” Twaina, „O powstawaniu gatunków” Darwina, a w czasach nam bliższych seria o Harrym Potterze – najbardziej atakowane i najczęściej wycofywane z bibliotek książki w USA w XXI w. (ponoć promują satanizm).

Ostatni przykład jest dowodem na dwie prawdy. Po pierwsze, palenie książek jest kontrskuteczne – na całym świecie sprzedano już ponad pół miliarda egzemplarzy przygód Harry’ego. Po drugie, żąda palenia przekracza granice polityczne – oprócz radykalnych chrześcijan książki Rowling najchętniej palą członkowie środowiska trans zarzucający autorce transfobię.

Dzisiejsze cenzorskie wzmoczenie na prawicy jest powtórką z czasów Reagana, kiedy konserwatywni rodzice na potęgę zakładali antyksiążkowe komitety. Ich ofiarą padały historie, w których pojawiali się homoseksualiści, komuniści, aborcja albo szeroko rozumiany antyamerykanizm. Antyamerykańska była na przykład książka o tym, że pierwszy prezydent George Washington posiadał niewolników. Ach, ta pieprzona przeszłość...

Dziś prawicowe media mają z zakazami czytania pewien problem, bo jednym z najważniejszych tematów, jakim się zajmują, jest przecież chroniona pierwszą poprawką wolność słowa. Tucker Carlson, największy gwiazdor konserwatywnej publicystyki, w każdym programie mantruje o zamachu na tę wolność, jakiego dokonali w Stanach lewicowe media i politycy. We wstępie do swojej ostatniej książki o dławieniu wolności oskarżył własnego wydawcę. Jonathan Karp, szef wszechpotężnej oficyny Simon & Schuster, jest według Carlsona „śmiesznym korporacyjnym cenzorem”, bo nie chce wydawać pewnego autora, który popierał atak trumpistów na Kapitol. „To była biznesowa decyzja, Tucker” – odpowiedział Karp Carlsonowi. Nie ocenzurował jego wstępu.

O paleniu książek Tucker w swoim programie milczy. Wiadomo, że jego najnowsza nie zostanie spalona i w kraju, gdzie lewactwo zdusiło podobno wolność słowa, zarobi co najmniej kilkanaście milionów dolarów. ●

FOTEL W BUTACH

Chcemy zostać dziadkami
zgrzywusami. To jest nasz
życiowy cel. Nigdy tak
naprawdę nie dorosnąć

PARTNER STRATEGICZNY:



POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYK

JUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT



• **Meksykańskie małżeństwo Vivian i Armando Ernandezowie unieruchomieni w lockdownie zaprojektowali krzesło Walky, które ma nogi w butach, jak człowiek. „Marzy nam się, żeby ludzie nazywali nasze meble imionami, czuli się z nimi emocjonalnie związani”.**

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Agnieszka Jucewicz, Mediolan

Przekładane dwukrotnie z powodu pandemii słynne mediolańskie targi wzornictwa Salone del Mobile powróciły w innej atmosferze i stylu. Niemale znaczenie ma tu zmiana na szczycie. Na czele po raz pierwszy w sześćdziesięcioletniej historii targów stanęła kobieta, 39-letnia Maria Porro, dokonując wielu zmian, w tym dwóch symbolicznych. Po pierwsze, Salone pozbyły się ikonicznego czerwonego dywanu, który ciągnął się wzdłuż hal targowych. Po drugie, młodzi projektanci z ostatniego pawilonu przeniesieni zostali do frontowych hal – z otwartym dostępem dla wszystkich odwiedzających.

Temat przewodni tegorocznego Salone Satellite, czyli sekcji dla młodych, to „projektowanie dla naszej przyszłości”.

„Młodzi zawsze byli bardzo poważni” – zauważa Paola Antonelli, kuratorka z nowojorskiego muzeum sztuki nowoczesnej (MOMA), która od lat zasiada tu w jury. „Ale może właśnie tego świat potrzebuje dziś najbardziej?”.

Jak widzą swoją przyszłość młodzi? Co ich niepokoi? Na co chcą się przygotować?

KRZESŁO DLA ADRIANY I LENIWA ZUZANNA

Aż 90 procent młodych projektantów (badania przeprowadzone na zlecenie Salone del Mobile) uważa, że design powinien być inkluzywny. Meble mają uwzględniać różnice płci, wieku, rozmiarów, a także możliwości i ograniczenia użytkowników.

Adriana Schmitt z Wyższej Szkoły Nauk Stosowanych w Poczdamie: „Mamy 2022 rok, a nadal 80 procent projektantów to mężczyźni, którzy najczęściej projektują dla... innych mężczyzn. Większość mebli robi się z myślą o człowieku, który ma 186 cm. Ja mam 160 cm, jestem drobna, więc standardowe krzesła są dla mnie za wysokie, za szerokie, niewygodne. Przez to często w różnych przestrzeniach czuję się tak, jakbym tam nie pasowała. Jestem pewna, że nie tylko ja. Dlatego stworzyłam krzesło dla siebie. W siedzisku zrobiłam wgłębienie, które idealnie pasuje do kształtu moich pośladków. Symbolem niemieckiego designu jest bauhausowskie metalowe krzesło – proste i zimne. Przejęłam tę ikonę, nadając nogom krągłe kształty. Oddałam hold kobiecemu ciału”.

Stół **Camelot Marco Brenny** z Mediolanu jest wyższy od standardowych. „Okrągły, tak żeby łatwo było przy nim usiąść osobie na wózku. A zamiast czterech nóg ma metalową kokardkę, która wspiera go od spodu. Pośrodku blatu umieściłam Leniwą Zuzannę, czyli ruchomy okrągły podajnik, którym można wygodnie przekazać dokumenty czy szklankę wody. Przy tym stole wszyscy są sobie równi”.

Fotel **OTO** przypomina bezpieczny kokon. Francuzka **Alexia Audrain** pracowała nad nim osiem lat. „Stworzyłam go z myślą o osobach w spektrum autyzmu, ale jest dla wszystkich. Miękkie nadmuchiwane wnętrze przyjemnie uciska ciało, a siłą nacisku można regulować pilotem. Niektóre osoby w spektrum mają niedowrażliwość dotykową i taki ucisk dobrze im robi. Zmniejsza napięcie, sprawia, że łatwiej przyswajają informacje i wchodzą w interakcje społeczne. Współpracowałam z osobami ze spektrum oraz ze specjalistami. Na co dzień korzysta z niego Centrum Badań nad Autyzmem i Zaburzeniami Neurorozwojowymi w szpitalu akademickim w Tours we Francji. Pacjenci go uwielbiają. A moi medyczni partnerzy planują badania kliniczne, żeby mieć twarde, naukowe dowody na to, że ten fotel naprawdę działa! Bardzo mi też zależało, żeby OTO nie wyglądał jak mebel medyczny. Żeby był ładny, a nie stygmatyzujący”.

Lauma Reitere z łotewskiej Akademii Sztuk Pięknych odwiedziła kiedyś szpital onkologiczny dla dzieci. „Opowiadały mi, że boją się kroplówek, wenflonów, strzy-

kawek. Wpadłam wtedy na pomysł torebki, do której można schować sprzęt do wlewów dożylnych. W zestawie jest pluszowa myszka – Power Mouse – ale do torebki można przytroczyć własną ukochaną zabawkę. Projekt uzupełniłam o bajkę o supermyszce, która zamienia płynne lekarstwo w eliksir mocy dający siłę do zdrowienia. W Akademii uczymy się metody design thinking do rozwiązywania różnych problemów projektowych. Zastosowałam ją”.

PRZYSZŁOŚĆ? JEDNO, CO PEWNE, TO TO, ŻE BĘDIEMY STARZY

Wielu młodych poproszonych o refleksję nad własną przyszłością najpierw pomyślało o starości. **Francesco Feltrin** z przyjaciół z Royal College of Art w Londynie **Francisco Rojasem Mirandą** stworzyli krzesło, które starzeje się wraz z właścicielem.

Feltrin: „Przeprowadziliśmy sondę wśród osób powyżej 65. roku życia w czterech krajach. Narzekali, że nawet jeśli ich na to stać, nie mogą znaleźć mebli dla siebie. Na starość wiele osób się kurczy, łóżka i krzesła stają się dla nich niewygodne. Jeden z naszych rozmówców przysłał nam zdjęcie – siedzi na krześle, które kupił dawno temu. Nogi nie sięgały mu podłogi. W Stanach Zjednoczonych 25 procent populacji ma powyżej 65 lat i ta grupa stale się powiększa. Europa i Azja się starzeją. Musimy przestać skupiać się wyłącznie na projektowaniu dla młodych dynamicznych z dużych miast”.



• **Lauma Reitere** z Łotwy zaprojektowała torebkę dla dzieci ukrywającą sprzęt do wlewów dożylnych. W zestawie są pluszak i bajka o supermyszce, która zamienia lekarstwo w eliksir mocy
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Rojas Miranda: „Meble dla seniorów, jeśli są, przypominają sprzęt medyczny. Zdecydowaliśmy, że nasze będą wyglądały klasycznie, ale uwzględnia potrzeby wynikające z wieku. Zaczęliśmy od krzesła, bo je najtrudniej zaprojektować. Powstało z drewna i z materiałów z odzysku. Składa się z kilku ruchomych elementów – podłokietniki można dodać albo z nich zrezygnować, siedzisko można obniżyć tak, żeby krew w nogach lepiej krążyła, pochylić oparcie pod odpowiednim kątem. To użytkownik decyduje, na jakim krześle chce siedzieć”.

Lani Adeoye z Nigerii, zdobywczyni nagrody głównej na tegorocznym Salone Satellite, pokazała **RemX** – chodzik wykonany ręcznie z naturalnych, tradycyjnych materiałów, które od lat wykorzystywane są przez Jorubów, lud afrykański, z którego pochodzi. „Zainspirował mnie mój dziadek, który wstydził się swojego chodzika i lasek. Kiedy przychodzili do niego goście, chował je. Ten mój, kiedy się go nie używa, wygląda jak piękna rzeźba. Jest ozdobą każdego pomieszczenia”.

Miriam Pardeller z Wolnego Uniwersytetu w Bolzano wymyśliła dla swojego dziadka, który pracuje w górach przy oczyszczaniu rynien, specjalną laskę z łopatką do usuwania z nich kamieni. A jej kolega **Alessandro Mariotti** zaprojektował **Duo** – laskę dla dwójki, z którą mogą spacerować dwie starsze osoby albo starsza osoba z opiekunem.

Trójka projektantów z Wenecji: **Lorenzo Berti**, **Piergiorgio Callegheri** i **Cecilia Garuti**, opracowała z kolei laskę dla niewidzących i niedowidzących. **Lorenzo Berti**: „Studiując w Wenecji, zorientowaliśmy się, jak trudno jest poruszać się po niej osobom z niepełnosprawnościami, na wózkach. Nieskończona liczba mostów, schodów, kanałów. Wąskie uliczki, tłumy. Wiele podobnych projektów ma wbudowany GPS, który pozwala orientować się w przestrzeni. My zdecydowaliśmy się na dużo prostszy mechanizm oparty na technologii RFID, który wykorzystuje fale radiowe do przesyłania danych, ponieważ GPS w Wenecji często nie działa. Laskę wyposażoną w czujnik przykłada się do określonych punktów na trasie i odczytuje z nich informacje, które przesyłane są do użytkownika w formie audio albo poprzez drgania – na przykład: uwaga, schody prowadzą do kanału. W ten sposób można zmapować całe miasto”.

JEDNO ŁÓŻKO NA CAŁE ŻYCIE

Dla co czwartego młodego projektanta ważne są elastyczność i trwałość.

Łóżko Jakoba Glasnera z Austrii na podwyższeniu, dzięki specjalnej konstrukcji w kształcie litery A i wykorzystaniu siły grawitacji, staje się tym mocniejsze, im dłużej jest użytkowane. Jest w stanie udźwignąć osiem dorosłych osób.

Glasner: „Coraz więcej ludzi żyje w małych przestrzeniach, często się przeprowadzają. Pod moje łóżko można wstawić biurko, kanapę dla gości, mieć miejsce do ćwiczeń. Składa się i rozkłada w kilka minut, jest łatwe w transporcie. Adaptuje się do

kolejnych etapów życia. Można je przetrzebić na łóżko piętrowe dla dzieci albo zwykłe dwuosobowe bez antresoli – idealne dla dziadków”.

Ntania Charalampous z Cypru, kiedy spędzała kolejny pandemiczny wieczór w swojej kuchni w wynajętym mieszkaniu, ołśniło, że właściwie większość mebli: kanapy, stoły, biurka, ma dziś modułowe wersje, dzięki czemu łatwo je ustawiać w różnych konfiguracjach – poza kuchnią. Kuchnie są montowane na stałe, co jest problematyczne przy przeprowadzce albo kiedy chce się zmienić układ mieszkania.

Charalampous: „Zaprojektowałam kuchnię, która składa się z trzech niezależnych elementów – zlewozmywaka z szafką, kuchenki i blatu. Moduły można ustawić w jednej linii, w koło, albo zrobić z nich kuchenną wyspę, co komu pasuje. Są łatwe w montażu i w transporcie. Fronty szafek i blaty można wymienić, jeśli na przykład kolor nam się znudzi. Ma służyć użytkownikom na lata, niezależnie od metrażu i stylu mieszkania”.

Andres Lhima z Meksyku zaprojektował fotel idealny dla pokolenia nomadów. **Lhima**: „Nazwałam go **Fidencio**, po moim ukochanym psie. Jest wykonany z popularnych w moim kraju siatek na zakupy. Trafia do klienta złożony na płasko. Środek można wypełnić, czym się chce – plastikowymi butelkami, papierami, skarpetami, zmietnymi gazetami. Cieszy się popularno-

ścią wśród młodych, którzy muszą się często przeprowadzać”.

KATASTROFA KLIMATYCZNA JEST DZIŚ, NIE JUTRO

Zrównoważony rozwój, ograniczenia konsumpcji to dla tego pokolenia oczywistość. Ponad połowa z nich brała udział w projektach, które wykorzystywały recycling czy upcycling. Kolejne 30 procent chce to zrobić.

Studenci wydziału projektowania na lotewskiej Akademii Sztuk Pięknych przygotowywali instalację, która śledzi życie zrobionej na drutach skarpety – ceruje się ją, zamiast wyrzucać.

„Jeśli potrafimy coś naprawiać, to możemy z tego korzystać właściwie w nieskończoność” – **mówi Ilsa Dobeles, wykładowczyni**. „Robienie skarpet na drutach to nasza tradycja. Moja babcia, którą zesłano na Syberię, oczywiście zabrała ze sobą ciepłe wełniane skarpety. A kiedy wróciła po latach zsyłki, nadal je miała, wielokrotnie pocerowane. Nie chodzi o to, żeby teraz wszyscy nagle rzucili się wszystko naprawiać, tylko o to, żeby spojrzeć na przedmioty, które posiadamy, i zastanowić się, co jeszcze możemy z nimi zrobić, zanim kupimy nowe. Każdy kraj ma też swoje tradycje, rzemiosła, rzemieślników. Warto się tych umiejętności uczyć i je kultywować, bo mogą się nam bardzo przydać”.

Francuzka **Margaux de Penfentenyo** na niskim stoliku kawowym namalowała kilka zdań, m.in. „Życie jest zależne od zapylania”, „Zaprzestanie monokultury, szaleni ludzie!”, „Zastanawiam się, czy koniecznie muszę postawić ścięte kwiaty na tym stoliku?”. A kawalek jej dywanu Atlantis wchodzi na ścianę, żeby przypominać, jak podniósł się poziom wód na świecie.

De Penfentenyo: „Dla złagodzenia przekazu używam bardzo żywych kolorów, bawię się kształtami. Moje projekty nie mają być ciosem w twarz, a z drugiej strony chcę budzić refleksję. Trochę poczucia winy jest potrzebne, żebyśmy mogli działać”.

Lampy z kolekcji Insecta Lepidoptera **Farzin Adenwalli** z Bombaju kształtem nawiązują do himalajskich gatunków motyli zagrożonych wyginięciem.

POKOLENIE „CZUJĄC”

Aż 58 procent młodych projektantów zapytanych, na jakie potrzeby użytkowników zwracają największą uwagę, odpowiedziało: na emocjonalne.

Dorja Benussi z chorwackiego duetu **Tink Things** od kilku lat projektuje meble dla dzieci, opierając się na badaniach nad integracją sensoryczną. Tak powstał między innymi fotel kokon dla tych potrzebujących wyciszenia oraz krzesło huśtawka, które pozwala ruchliwemu dziecku rozładować napięcie.

Benussi: „Tym razem skupiliśmy się na budowaniu inteligencji emocjonalnej, zarówno u dzieci, jak i u dorosłych. Nasze nowe projekty to towarzyska gra w karty, która służy rozpoznawaniu uczuć i jest pretekstem do rozmowy o nich. W zestawie jest książka, której bohaterami są emocje, oraz zabawki je uosabiające. Smutek jest ciężki i chłodny, ale uciskany szybko się ociepla. Złość jest kolczasta i obraca się na wszystkie strony, tworząc chaos. Lęk jest ciężki i bardzo łatwo się przewraca. Radość z kolei jest jak piłka – miękka i skoczna.

Mam poczucie, że większość dorosłych, włącznie ze mną, nie wie, jak rozpoznać emocje ani jak sobie z nimi radzić. Nikt nas za bardzo tego nie uczył. Cierpimy z tego powodu, a potem cierpią nasze dzieci. Chcę to zmienić”.

Alicja Czop, Polka, która mieszka w Amsterdamie, zaprojektowała **Dare to**

Jeśli potrafimy coś naprawić, to możemy z tego korzystać właściwie w nieskończoność



• **Fotel idealny dla pokolenia nomadów zrobił Andres Lhima z Meksyku: nazwał go Fidencio, po ukochanym psie. Jest wykonany z popularnych w moim kraju siatek na zakupy. Środek można wypełnić plastikowymi butelkami, papierami, skarpetami, zmietnymi gazetami**

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Feel – kanapę, która ma być bezpieczną przestrzenią do intymnych rozmów.

Czop: „Projekt powstał na podstawie wywiadów, jakie przeprowadziłam z kilkunastoma milenialsami. Wyszło z nich, że bardzo wcześnie dostaliśmy dostęp do mediów społecznościowych, ale nie do końca pokazano nam, jak się z nimi dobrze obchodzić. Zamiast się rozwijać, odkrywać swoją tożsamość, skupiliśmy się na urzędzeniach. Na tym, czy dobrze wyglądamy na zdjęciach, a nie na tym, co jest między nami. Seksuolóżka, którą też zaprosiłam do rozmów, uświadomiła mi, że przez to, że milenialsi wcześniej mieli kontakt z pornografią, ich wyobrażenia na temat kontaktów seksualnych często mają się nijak do rzeczywistości, więc utrudniają budowanie relacji.

Stworzyłam intymne miejsce, w którym można być tu i teraz, bez telefonów, bez internetu. Skupić się na bliskim, fizycznym kontakcie. Niskopodłogową kanapę z zielonego aksamitu można złączyć, wtedy wygląda jak przytulna filiżanka, albo roz-

sunąć. Do kompletu jest lampa dająca ciepłe światło, w której można umieścić ceramiczny krążek emitujący relaksujące zapachy – letniego deszczu, drzewa...”

Paolo Conte, czyli ASH, z Włoch zrobił lampę z 50 sprasowanych maseczek chirurgicznych. „Chciałem zwrócić uwagę na koszmarną ilość odpadów, jakich się dorobiliśmy w pandemii – także jednorazowe rękawiczki, chusteczki do dezynfekcji itd. I przekuć ten negatywny symbol w coś optymistycznego, niosącego nadzieję. Dlatego lampa kształtem przypomina górę, zza której wychodzi słońce.

W pandemii mnóstwo ludzi na okrągło oglądało Netflix. Ja wróciłem do swojego ulubionego »Twin Peaks«. Z tamtego czerwonego pokoju – miejsca między światami, poza czasem – wzięła się moja komoda. Schowałem do niej relikwie z dzieciństwa – ulubionego gameboya, pluszaki, figurki z »Gwiezdnych wojen«, karty do gry. To taka skrzynia na wspomnienia, która pozwala przenieść się w inny wymiar i ukoić”.

Jutronauci 2022

• Pandemia koronawirusa i wojna w Ukrainie poważnie zmieniły naszą rzeczywistość i wywołują wiele obaw o przyszłość. W tej, szóstej już, edycji programu Jutronauci, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, duży nacisk położymy na przyszłość edukacji. Jak musi zmienić się szkoła, żeby przygotować dzieci na wyzwania przyszłości? Gdzie młodzi mają się uczyć wartości, skoro w posadach trzęsą się ich dotychczasowe gwaranty: Kościół i rodzina? Zastanowimy się też, jak pod wpływem migracji zmieni się nasze społeczeństwo.

• W tym roku ponownie spojrzymy poza horyzont aktualności i spróbujemy zrozumieć, jak może wyglądać nasza przyszłość w najrozmaitszych dziedzinach. Na Wyborcza.pl/jutronauci oraz na łamach „Wyborczej” czekają na Państwa eseje, analizy oraz podcasty. Zapraszamy Państwa też do oglądania debat z udziałem jutronautów oraz ekspertów.

PARTNER WSPIERAJĄCY:

FANUC

DOROSŁOŚĆ JEST PRZEREKŁAMOWANA

Wielu z nich ciężko myśli o dorosłości, zwłaszcza że tyle osób pokłada w nich nadzieję na uratowanie świata przed samozagładą. Mają między 20 a 35 lat. Część z nich przed apokaliptycznymi scenariuszami, o których wciąż słyszą, ucieka do dzieciństwa, w krainę wyobraźni. Widać, że są spragnieni bez troski.

Hideyuki Yamazawa z Japonii zaprojektował bajkowy komplet mebli z drewna i organzy – stolik, parawan, lampę i fotel, który przypomina beż. Nazwał go „Dziecko, które pragnie być morzem. Dziecko, które chce być kwiatem”.

Yamazawa: „Żyjemy w czasach różnorodności płciowej. Kobiety, które urodziły się w ciele mężczyzny, mogą poddać korekcie swoją płć. Mężczyźni, którzy urodzili się w ciele kobiet, mogą zrobić to samo. To wspaniale. Przywraca ludziom godność. Ale moje myśli pobiegły dalej – kim chciałbym być, gdybym miał nieograniczoną wolność? Dzieci mają wyobraźnię, która nie ma granic. Pragną być motylem, ptakiem, morską pianą i się nimi stają. Kiedy dorastamy, zapominamy o tych marzeniach. Chciałbym, żeby moje meble przypominały ten moment, kiedy mogliśmy być, kim tylko chcieliśmy”.

Meksykańskie małżeństwo Vivian i Armando Hernandezowie unieruchomieni w lockdownie zaprojektowali krzesło Walky, które ma nogi w butach, jak człowiek. „Marzy nam się, żeby nasi klienci nazywali nasze meble imionami, czuli się z nimi emocjonalnie związani”.

Karel Matejka z Czech, czwarte pokolenie rzemieślników, po pradziadku, który wytwarzał meble i narty, i po ojcu stolarzu, pokazał Restless – wariację na temat fotela bujanego – można się na nim też kręcić wokół własnej osi jak na karuzeli.

Matejka: Restless odzwierciedla moją osobowość. Latam na paralotni, pływam kajakiem, jeżdżę na nartach. Jestem w ciągłym ruchu. Chciałbym się już usatkwować, no, ale jakoś nie wychodzi”.

Ruchem zafascynowany jest też **Mathew Gilbert** z Londynu, właściciel marki **Animaro**(od łac. animare – pobudzać, tchnąć w coś życie).

Gilbert: „Wszystkie moje projekty są w jakiś sposób ożywione – lampy, zegary, poruszając się, zmieniają swoje kształty. Solistice to coś pomiędzy zegarem ściennym a dziełem sztuki. Nie można na nim polegać, kiedy chce się zdążyć na autobus. Przypomina raczej zegar słoneczny, ma jedną wskazówkę – godzinową. W ciągu dnia otwiera się i zamyka jak kwiat. Najbardziej otwarty jest w południe, a najbardziej zwinięty, kiedy słońce chyli się ku zachodowi. Dzisiaj większość z nas sprawdza godzinę na telefonie, a ja chciałem zrobić figlarny zegar, który sprawi, że upływ czasu będzie nas cieszył, a nie stresował. Tempo życia w Londynie jest wyczerpujące. A ja lubię być tu i teraz. Solistice temu sprzyja. Patrzenie na to, jak porusza się w hipnotyzującym tempie, jest kojące”.

Sekretarzka lampy **Elize Evara z Niemiec** wygląda jak wyjęty prosto z „Alicji w Krainie Czarów”.

Evar: „W pełni zasłonięty staje się po prostu dużą lampą na czterech nogach, bo ma wbudowane oświetlenie. Po skończonej pracy można na nim zostawić laptopa, służbowe papiery, cały ten bałagan, zasłonić zasłonkę i już! Ludzie mówią, że jest bajkowy. Mam wrażenie, że dzisiaj wszyscy potrzebujemy czegoś pozytywnego, co przeniesie nas w inny wymiar. Rzeczywistość zrobiła się za ciężka”.

Japoński duet Popcorn założył firmę Grandpa (dziadek).

„Bo chcemy zostać dziadkami zgrywuśkami. To jest nasz życiowy cel. Nigdy tak naprawdę nie dorosnąć”.

Twierdzą, że ich wazony z metalowych rurek są ekscytujące jak strzelający popcorn. ●

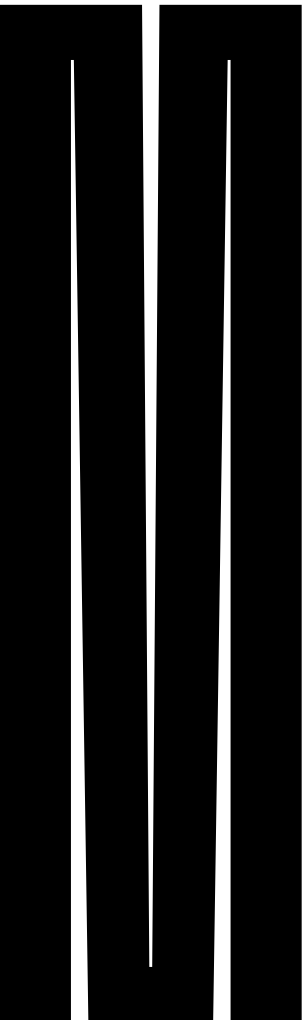


Stanowisko premiera Zjednoczonego Królestwa nie jest pierwszą pracą,
którą Boris Johnson stracił za kłamstwa

STANISŁAW SKARŻYŃSKI, LONDYN

Szkoła to kłamstwo. Więzienie – strata czasu. Dziewczyny są cudowne. Nachap się. Żaden mężczyzna nie leży w grobie, marząc, by kochać jedną kobietę mniej. Nie słuchaj nikogo i niczego poza własnym sercem. Kłam. Kantuj. Kradnij. Walcz do śmierci. Nie poddawaj się”

Jezz Butterworth, „Jerusalem”



„Mam nową, genialną strategię. Polega na strzelaniu tak wielu gaf, że nikt już nie wie, którą się zająć. Dzięki temu przestają być warte uwagi mediów, w zasadzie wyprowadzasz media w pole, doprowadzasz je do rozpacz. Jesteś jak helikopter rozrzucający sieczkę. Wtedy możesz zakraść się po cichu i przypuścić głęboką szarżę dokładnie tam, gdzie chcesz”.

Swoje polityczne credo Boris Johnson sformułował w 2006 r. Zaledwie 42-letni, był wówczas mało znanym parlamentarzystą Partii Konserwatywnej, zepchniętej od niemal dekady do głębokiej defensywy przez laburzystów pod przywództwem Tony’ego Blaira.

Może dlatego nikomu nie przyszło do głowy, żeby przejąć się jego słowami – „BBC Booktalk” wykopało tę wypowiedź dopiero w styczniu tego roku, gdy rząd Johnsona pogrążony był już w głębokim kryzysie. Przez chwilę ta archiwalna wypowiedź zdobyła uwagę, bo była jak klucz do tych wszystkich nieprawdopodobnych rzeczy, które wygadywał szef rządu. Dosłownie chwilę później przykryły ją w mediach kolejne gafy – Johnson twardo trzymał się swojej genialnej strategii.

POPULISTA W STANIE CZYSTYM

Z którejkolwiek strony by go podejść, nieodmienne okaże się, że Johnson jako polityk jest – czas przeszły byłby tu nie na miejscu, do czego jeszcze wróć – populistą nieskażonym domieszką żadnej tradycji myśli politycznej. To odróżnia go od Trumpa, Kaczyńskiego, Orbána czy Marine Le Pen, którzy populizm traktują jako wehikuł dla

nacjonalizmu. Johnson jest od tego wolny, to populistą w stanie czystym.

To nie znaczy, że w Zjednoczonym Królestwie nacjonalistyczna retoryka skazuje na margines. To też, czego przykładem Nigel Farage albo zupełnie nieistotne od brexitu ksenofobiczny UKIP i Britain First. Ale w przypadku Johnsona pierwszą przyczyną obecnego upadku jest to, że nie ma on i nie miał innego celu niż objęcie i utrzymanie władzy przez cyniczne mówienie tego, co dawać mu miało poparcie.

Dzięki temu mógł płynnie łączyć rzeczy niemożliwe do połączenia – jaskrawo ksenofobiczne, wrogie muzułmanom, rasistowskie i wymierzone w imigrantów wypowiedzi szły w parze z autentycznym entuzjazmem dla praw mniejszości seksualnych, wychwalaniem Obamy, zakładaniem wagi do transformacji energetycznej oraz poważnym traktowaniem praw kobiet. Jeden z ostatnich przykładów: pieniądze rosyjskich oligarchów nie były dla Johnsona najmniejszym problemem, dopóki Putin nie najechał Ukrainy. Wraz ze zmianą nastrojów społecznych Johnson z dnia na dzień przedzierzgnął się w lide-rę wsparcia dla Ukrainy, a jego rząd wziął się do wielkiego czyszczenia kraju z wpływów Putina.

Cynizm jest jego zasadą naczelną i był moment, w którym zdawało się, że da mu trwałą hegemonię – gdy przez kilkanaście miesięcy w czasie pandemii zdolność do sięgania po dowolne słowa i koncepcje pozwoliła mu postawić zasady rządzące brytyjską polityką na głowie i rzeczywistość odpowiedzieć na potrzeby Brytyjczyków. To Johnson i jego ówczesny minister zdrowia Matt Hancock podjęli decyzję o podpisaniu, właściwie w ciemno, opiewających na setki milionów da-

wek kontraktów na dostawy szczepionek. Zrobili to, zanim zdecydowało się na to jakiekolwiek inne państwo. Efektem było istniejące długie miesiące przekonanie, że Wielka Brytania zrobiła interes życia na wyjściu z Unii Europejskiej, w której wspólny program szczepień niemilosierdzie się ślimaczył.

To on i jego ówczesny kanclerz Rishi Sunak z dnia na dzień wyrzucili do kosza dekady tradycji polityki gospodarczej Partii Konserwatywnej i uruchomili gigantyczny program wsparcia dla zatrudnienia, który na półtora roku przekształcił Zjednoczone Królestwo w skandynawskie państwo opiekuńcze.

Nie ma wątpliwości, skąd zaczerpnął ten pomysł. W „The Churchill Factor”, wydanej w 2014 r. biografii Winstona Churchilla, Johnson pisał: „Bardzo wcześnie Churchill zdecydował się stworzyć pozycję w polu politycznym, która będzie w pewien sposób ponad podziałem na prawo i lewo, upostaciawiając wszystko, co najlepsze z obu stron, a zatem wyrażając wolę narodu. Myśli o sobie jako gigantycznym kamieniu zwieńczającym łuk, który w oczywisty sposób sprowadza wszystkie pomniejsze kamienie do roli swego wsparcia. Ma do tego niby-ideologię – lewicowy toryzm: imperialistyczny, romantyczny, ale stojący po stronie człowieka pracy”.

Przez ten krótki czas w trakcie pandemii to działało. Zwolennicy Johnsona mogli mówić: „Premierem jest człowiek, który nie cofnie się przez niczym, by stanąć na wysokości zadania”. Krytycy musieli trzymać język za zębami.

Problem polegał na tym, że choćby Johnson zjadł tysiąc kotletów, to ani nie jest Churchilllem, ani pandemia, ani wojna w Ukrainie nie są po-

równywalne do II wojny światowej. Bombastyczne słowa i rozwiązania – w przeciwieństwie do uporu Churchilla, by pójść na wojnę z Hitlerem – nie były owocami wyznawanych zasad moralnych lub racjonalnej kalkulacji, bo Johnson nigdy nie myślał dalej niż do jutra wieczorem. Dopóki sądził, że Brytyjczycy uznają COVID-19 za katar, ignorował wirusa całkowicie, czego skutkiem był dramatyczny rozwój pierwszej fali pandemii. Gdy był przekonany, że ludzie wolą umierać, niż odpuścić tradycyjne obiady bożonarodzeniowe w gronie rodzinnym, wywołał jeszcze gorszą drugą falę.

Nigdy nie przeszło mu przez myśl, że niezwykle drogie programy hibernacji gospodarki muszą się kiedyś skończyć, a gospodarka brutalnie zderzy się wtedy z rzeczywistością. Był przekonany, że zawsze może rzucić kogoś na pożarcie lwom, kłamstwem znaleźć drogę na skróty, lawirowaniem zapewnić poparcie jakiejś większości i tak zyskiwać dzień po dniu.

To przekonanie nie było bezpodstawne – tego nauczyło go ponad 55 lat życia, zanim objął urząd premiera.

ZŁOTY SYNEK PRZYWILEJU

Alexander Boris de Pfeffel Johnson urodził się w Nowym Jorku w czerwcu 1964 r., gdzie ojciec, 23-letni Stanley, studiował ekonomię na prestiżowej Columbii. Później pracować będzie dla Banku Światowego i Komisji Europejskiej, zostanie nieźle przyjętym pisarzem i politykiem znanym z okropnych wypowiedzi i niewyparzonego języka.

Matka, rok młodsza artystka Charlotte z domu Fawcett, żeby pojechać z mężem za ocean przerwała studiowanie literatury angielskiej na Oksfordzie – była pierwszą zamężną studentką w żeńskim college'u Lady Margaret Hall. Po rozwodzie w latach 70. oskarżyła Stanleya o bezustanne stosowanie przemocy.

W biografiach, zarówno krytycznych, jak i apologetycznych, miejsce opisu formacyjnych lat Borisa Johnsona zajmuje albo suche wyliczenie faktów, albo błędne koło próby ustalenia, co właściwie zbudowało w bardzo bystrym, ale dość dziwnym dziecku tę wścieklą ambicję i przekonanie, że musi wspinać się na szczyt, nie licząc się z nikim ani z niczym.

„Jest najbardziej bezwzględna, ambitna osobą, jaką kiedykolwiek spotkałam. Pod starannie zaaranżowanym płaszczykiem dezorganizacji skrywa się nie tyle żyłka aspiracji, co potok niemal budzących strach koncentracji i pędu ku górze” – powiedziała Sonia Purnell, niegdysiejsza współpracowniczka, która później napisała o nim książkę.

W istocie Johnson jest produktem sztywnej struktury angielskiego społeczeństwa. Ojciec i matka pochodzili z zamożnych rodzin o względnie wysokim statusie, dostali świetną edukację i przez całe życie cieszyli się dostatkiem. Ani jedni, ani drudzy nie mogli jednak pochwalić się osiągnięciami dającymi dziedziczny tytuł szlachecki lub bliskością z rodziną królewską. Sam fakt, że Boris podjął wyzwanie zmiany tego stanu rzeczy, nie może dziwić – jego rodzina od trzech co najmniej pokoleń walczyła, by przebić szklany sufit dzielący wyższą klasę średnią od arystokracji.

Biografowie z tendencją do psychologizowania kładą akcent na ciężką rękę ojca. Ci krytyczni wobec angielskiej struktury klasowej skłaniają się ku wnioskowi, że Johnson postanowił zostać arystokratą, kiedy dzięki stypendium dostał się do Eton, niezwykle prestiżowej szkoły średniej dla śmietanki towarzyskiej. Ci, którzy Johnsona podziwiają, korzeni jego ambicji upatrują w lekturach klasyków na Oksfordzie – oraz oczywiście w uwielbieniu dla Churchilla.

„Udało mu się z bycia bufonem z klas wyższych uczynić formę artystyczną” – stwierdziła Emily Thornberry, polityczka Partii Pracy, w wywiadzie dla „Guardiana”. Można zgadywać, że Johnson był tą wypowiedzią zachwycony – krytykując go, Thorn-

Nie wyrzucono go za pisanie o czarnych osobach jako „murzynkach” o „arbuzowych uśmiechach”, obrażanie gejów, notoryczne spóźnianie się z tekstami zmuszające pracowników do zostawiania po godzinach i tony mandatów, gdy recenzował nowe samochody dla magazynu „GQ”

FOT. ANDREW PARSONS/AP

berry jednocześnie uznawała jego najważniejsze kłamstwo.

PAN „DZIENNIKARZ”

Studia Johnson skończył bez wyróżnienia, za to z narzeczoną, koleżanką ze studiów i modelką z okładki „Tatlera”, Allegrą Mostyn-Owen. Ślub wzięli w 1987 r. i osiedli w zachodnim Londynie. Johnson po tygodniu zrezygnował z pierwszej pracy, ale dzięki koneksjom rodzinnym szybko znalazł drugą – został niskim rangą dziennikarzem w „The Times”.

Wyrzucono go w 1988 r. za sfabrykowanie cytatu – w jego artykule jego ojciec chrzestny, historyk Colin Lucas, z pierwszej strony „Timesa” opowiadał Brytyjczykom, że Edward II i jego kochanek Piers Gaveston spotkali się we właśnie odkrytym Pałacu Rózańym. Lucas powiedzieć tego nie mógł, bo jako historyk wiedział, że ów pałac zbudowano już po zamordowaniu Gavestona. Redaktor naczelny zwolnił Borisa z pracy. „Troszkę podpolerowałem coś, co ktoś powiedział, i tak, jest to bardzo zawstydzające i jest mi z tego powodu bardzo przykro” – ni by przeprosił Johnson 25 lat później.

Johnson wyciągnął jednak prawidłowy wniosek – dziennikarstwo nie jest dla niego, bo dziennikarzy rozlicza się z mówienia prawdy. Gdy chwilę później dołączył do redakcji „The Telegraph” – gazeta wkrótce wysłała go do Brukseli jako korespondenta – był już publicystą.

Z Brukseli słał kłamstwo po kłamstwie, zawsze opakowane jako anegdota: że Unia Europejska chce standaryzacji rozmiarów prezerwatyw, bo Włosi mają małe penisy. Że unijni biurokraci chcą uregulować prawem krzywiznę banana. Że banknoty euro powodują impotencję. Że Komisja Europejska chce kobietom nakazać zwracanie wibratorów, w ogóle zakazać sałatek z krewetkami, brytyjskich kiełbasek i chipsów, zatrudnia urzędników, którzy mają wężem badać, czy krowie lajno w całej Unii pachnie tak samo, oraz chce ograniczyć maksymalną moc odkurzaczy.

„Jako dziennikarz w Brukseli był jednym z największych nazwisk w kłamstwie dziennikarskim” – stwierdził w rozmowie z „The New Statesman” Chris Patten, związany przez wiele lat z Partią Konserwatywną ostatni gubernator Hongkongu, a później kanclerz Uniwersytetu Oksfordzkiego.

„The Telegraph” okazał się jego pierwszą katapultą. Wypisując antyunijne brednie, które dawały poklask, Johnson zrozumiał, że dziennikarstwo może być drogą do kariery politycznej opartej na romansie z angielską tęsknotą za imperialną dumą. „Jednym z powodów, dla których opuszczamy Unię, jest to kapanie antyunijnej propagandy z mediów przez ostatnie 25 lat, w które ludzie w końcu uwierzyli i któremu wspólnała ton” – stwierdził Charles Grant z Centre for European Reform.

WSZYSTKO UJDZIE NA SUCHO

Po powrocie do Londynu i drugim ślubie – tym razem z Mariną Wheeler – Johnson stał się publicystą politycznym z aspiracjami do czynnej polityki. Znakiem tych lat była kompletna bezkarność. Nie wyrzucono go za pisanie o czarnych osobach jako „murzynkach” o „arbuzowych uśmiechach”, obrażanie gejów, notoryczne spóźnianie się z oddawaniem tekstów zmuszające pracowników do zostawiania po godzinach i tony mandatów, gdy recenzował nowe samochody dla magazynu „GQ”.

Szczytem wszystkiego było jednak to, że na upomnienu skończyła się sprawa z 1995 r., gdy opinia publiczna poznała nagranie rozmowy telefonicznej Johnsona z niejakim Dariusem Guppym, który prosił o zdobycie adresu dziennikarza badającego przestępstwa Guppy'ego w celu organizacji pobicia: „podbitych oczu, pękniętego żebra, czegoś w tym rodzaju”. Johnson zgodził się, martwiło go tylko, czy nie zostanie powiązany z napadem. Później wyłgał się, mówiąc, że koniec końców adresu Guppy'emu nie dał.

Na przełomie wieków, na fali rozpoznawalności dzięki licznym występom telewizyjnym, Johnson został naczelnym prawicowego „The Spectator”. Rozszerzył jego bazę o osoby o lewicujących poglądach, dał więcej miejsca bigotom i rasistom. Sprzedaż skoczyła, magazyn zaczął przynosić dochód. Ale znów nakłamał – w 1999 r., obejmując



***Z Brukseli stał kłamstwo po kłamstwie,
zawsze opakowane
jako anegdota:***

***Że Unia chce standaryzacji rozmiarów
prezerwatyw, bo Włosi mają małe penisy.***

***Że unijni biurokraci chcą uregulować
prawem krzywiznę banana.***

***Że banknoty euro
powodują impotencję.***

***Że Komisja Europejska chce kobietom nakazać
zwracanie vibratorów, w ogóle zakazać sałatki
z krewetkami, brytyjskich kielbasek i czipsów,
zatrudnia urzędników, którzy mają węchem badać, czy
krowie tajno w całej Unii pachnie tak samo, oraz chce
ograniczyć maksymalną moc odkurzaczy***

ster „Spectatora”, obiecał porzucić ambicje wejścia do czynnej polityki. W 2001 r. wygrał wybory i został parlamentarzystą Partii Konserwatywnej z Oxfordshire. Znów uszło mu płazem – właściciel „Spectatora” Conrad Black nazwał go co prawda „niewiarygodnie dwulicowym”, ale Johnson nie stracił stanowiska. W końcu był parlamentarzystą, pisał dla „GQ” i „The Daily Telegraph”, występował w telewizji. Wszędzie narzekano, że nawala – w obu kadencjach w Izbie Gmin opuścił z grubsza połowę głosowań – ale nikt nie podejmował żadnych decyzji.

Strategia fałszowania na czterech frontach doprowadziła go do prawdziwego sukcesu – w 2008 r. pokonał stosunkiem głosów 53-47 laburzystę Kena Livingstone’a i został burmistrzem przygotowującego się do igrzysk olimpijskich Londynu. Po trzech tygodniach był na wakacjach w Turcji, a ponieważ 140 tys. funtów rocznie nie odpowiadało jego standardowi życia, zachował stanowisko komentatora w „The Telegraph” za 250 tys. funtów rocznie, które był łaskaw określić jako „okruchy”, choć było to dziesięć razy tyle, ile wynosiło przeciętne wynagrodzenie w brytyjskiej gospodarce.

Jako burmistrz Johnson powędrował nieco w lewo, był m.in. rzecznikiem amnestii dla nielegalnych imigrantów, zbudował pierwszy system wypożyczalni rowerów i przeniósł pod zarząd miasta sprywatyzowany transport autobusowy. Nie bez trudu, ale pokonał Livingstone’a w kolejnej rundzie w 2012 r. Wedle powszechnej opinii w drugiej kadencji spoczął na laurach.

Trudno powiedzieć, dlaczego nie skompromitował się jako burmistrz Londynu. Zaliczał straszne wpadki – podczas zamieszek w 2011 r. dopiero po trzech dniach wrócił z Kanady – ale nie pogrzał kariery. Sekretem mogło być to, że ta praca go w ogóle nie interesowała – on nie chciał zmieniać i udoskonalać Londynu, miasto liczyło się tylko jako wpis w CV.

„Stanowisko burmistrza to była dla Borisa rozmowa kwalifikacyjna na najwyższy urząd w państwie. Jego celem było ustanowienie siebie w roli premiera oczekującego, jedyne go poważnych przedstawicieli Partii Konserwatywnej gotowego rzucić wyzwanie Davidowi Cameronowi” – argumentuje autor jednej z biografii Johnsona Andrew Grimson.

DUET JOHNSON – CUMMINGS

Po zakończeniu drugiej kadencji Johnson znalazł się w politycznej próżni. Był szeregowym parlamentarzystą z sukcesem na koncie, wydał biografię Churchilla, jednak jego ambicje blokowało objawienie się gwiazdy i złotego dziecka Partii Konserwatywnej, sprawującego od 2010 r. urząd premiera Davida Camerona.

To wówczas Johnson jako publicysta polityczny i polityk wrócił do antyunijnej retoryki, którą jako burmistrz Londynu właściwie zostawił. Dyskretnie, z ostatniego rządu pompował balon referendum za wyjściem z Unii, na co zaszantażowany przez frakcję partyjnych brexitowców Cameron zgodził się przed wyborami w 2015 r. W samą kampanię na rzecz brexitu przyszły premier zaangażował się późno, bo dopiero w lutym 2016 r., i choć zwycięstwo było dla niego kluczowe, bo ustawiało go w roli lidera frakcji brexitowców, to prawdziwym skarbem dla Johnsona była współpraca z Dominikiem Cummingsiem – równie jak on cynicznym, ale w przeciwieństwie do niego pracowitym, systematycznym, myślącym analitycznie i pozbawionym śladu charyzmy.

Po wykonczeniu Camerona, który po przegranym referendum podał się do dymisji, Johnson i Cummings przez długie trzy lata czekali w drugim rzędzie. Pozwolili Theresie May wynegocjować umowę o wyjściu z Unii, a potem przystąpili do ataku – Boris w proteście przeciwko treści umowy odszedł z rządu May w 2018 r., a prowadzona przez niego rebelia w połowie 2019 r. doprowadziła May do rezygnacji.

Został premierem, a Cummings – jego głównym doradcą i de facto szefem kancelarii. Po pół roku zmagani, presji i upokorzeń Johnson dostał nieoczekiwany prezent od lidera Partii Pracy Jeremy’ego Corbyna, który przystał na wcześniejsze wybory i przegrał je z kretesem. W grudniu 2019 r. Johnson dostał od zmęczonych wyborców 80-mandatową większość, która ostatecznie przypieczętowała wyjście z Unii Europejskiej – z właściwie tą samą umową, którą wynegocjowała May.

TONĄCY WOJNY SIĘ CHWYTA

Końcem Johnsona nie były ani konsekwencje brexitu, ani pandemia, ani wojna w Ukrainie. Wobec każdego z tych wyzwań Johnson przyjmował tę samą strategię – mówił, co mu ślina na język przyniosła, z samozadowoleniem zasypywał media sieczką i roztaczał aurę nietykalności.

To w tę ostatnią bił Cummings, który został wyrzucony z rządu w listopadzie 2020 r., bo wdał się w otwarty konflikt z żoną Johnsona Carrie, która zasilala Downing Street swoimi ludźmi. Po rezygnacji stał się nieprzejeżdżanym wrogiem Johnsona. Sam przyznał się do kłamania w sprawie swojej wyprawy do Durham w czasie przeciwepidemicznych zamknięć i jest ogólnie uznawany za główne źródło wycieków kolejnych kompromitujących premiera informacji, przez które jeszcze niedawno rządzący i dzielący w brytyjskiej polityce Johnson w zaledwie kilka miesięcy stracił władzę.

Przez ostatnie pół roku Johnson trwał, bo kolejne skandale korupcyjne i obyczajowe udawało mu się przysłaniać zaangażowaniem na arenie międzynarodowej. Jakoś przetrwał sprawy remontu swojego mieszkania przy Downing Street oraz próby przepisywania zasad antykorupcyjnych, by ochronić torysa Owena Patersona, który lobbował na rzecz opłacających go firm.

Jesienią 2021 kolejne media zaczęły publikować dowody na organizowanie przez premiera i jego otoczenie zakrapianych imprez w tym samym czasie, w którym Brytyjczycy nie mogli być przy umierających w szpitalach na COVID bliskich. Łamanie przez ludzi władzy zasad, które sami ustanawiali, a którzy w walizkach woźili alkohol z supermarketów do miejsc pracy – to wywołało furję. Tym większą, że doniesienia płynęły taką rzeką jak trunki przy Downing Street. Policja wystawiła za to ponad 120 mandatów – Johnson tym samym stał się pierwszym urzędującym premierem skazanym za złamanie prawa.

„Partygate” kosztowałoby Johnsona stanowisko już w lutym, jednak atak Rosji na Ukrainę zepchnął skandal na drugi plan. Johnson cynicznie wykorzystał wojnę, by uciec przed kryzysem na zastępcę szefa klubu parlamentarnego. Gdy się wydało, twierdził, że zapomniał. Lecz partia powiedziała dość – w dwa dni z rządu odeszło blisko 60 osób. Johnson musiał zrezygnować z przewodniczenia Partii Konserwatywnej.

Jemu to odpowiadało – ważne było tylko, by przeżyć. Ostatnią kroplą goryczy okazał się jednak skandal, który sam w sobie nie kosztowałby go stanowiska – nie było przecież niespodzianką, że nakłamał, iż nie wiedział o zarzutach wobec oskarżonego o napastowanie seksualne mężczyzn Chrise Pinchera, którego sam awansował na zastępcę szefa klubu parlamentarnego. Gdy się wydało, twierdził, że zapomniał. Lecz partia powiedziała dość – w dwa dni z rządu odeszło blisko 60 osób. Johnson musiał zrezygnować z przewodniczenia Partii Konserwatywnej.

Nie powstrzymał się przed pełną bufonadą gafą również w ostatnim przemówieniu, stwierdzając, że przyczyną rezygnacji jest „stadna mentalność” jego partii. „Kiedy stado rusza, to rusza. W polityce, moi przyjaciele, nikt nie jest niezastąpiony”.

Johnson nie zostaje premierem do września dlatego, że mu się to należy. Partia najchętniej wyrzuciłaby go natychmiast. Chodzi o to, by w gnieździe na jego głowie złożyć jak największą część politycznych kosztów kryzysu rosnących kosztów życia i galopującej inflacji, z którym mierzy się społeczeństwo. ●

POCZET FASZYSTÓW ROSYJSKICH

Światopogląd dzisiejszego rosyjskiego
prawosławia: Rozum jest wymysłem
Szatana, a Zachód to rozum, więc...

Andrzej de Lazari

*Niestraszne nam ni kule, ni kartacze,
Wierzmy, że zwycięstwo jest tuż-tuż:
Na świecie jeden musi być Porządek
I wedle prawa Ruski musi być!*

(z hymnu Rosyjskiej Jedności Narodowej,
słowa Wadima Sazonowa, tłum. własne)

21 lat temu, gdy zastanawiałem się, „Czy Moskwa będzie Trzecim Rzymem?” (Katowice, 1995), pisałem, że nacjonalizm rosyjski ma wiele twarzy. Wydawało mi się, że najmniej groźny jest nacjonalizm kulturowy Aleksandra Sołżenicyna i tzw. pisarzy wiejskich, dla których symbolem zła była wielkomiejska cywilizacja zachodnia, lecz jednoznacznie odżegnywali się od stosowania przemocy dla zerwania z komunizmem i powrotu do „gleby rosyjskiej”. Uznałem, że naprawdę groźny jest nacjonalizm polityczny: narodowy bolszewizm, euroazjatyzm, faszyzm/nazizm oraz nacjonalizm szukający oparcia w naukach Cerkwi, swoisty prawosławny fundamentalizm. Wszystkie te odmiany łączy jednak specyficzna interpretacja historii, odnajdywanie w niej „dowodów” dla uzasadnienia tezy o szczególnym posłannictwie rosyjskiego My narodu, My państwa lub My narodu-religii w zbawieniu świata.

Putin zjednoczył wszystkich nacjonalistów, ubzdurał sobie, że Wielkorusini, Białorusini i Małorusini (Ukraińcy) są jednym narodem rosyjskim, że jedyną przeszkodą w ich zjednoczeniu są rządy ukraińskich „nazistów”. Postanowił więc „denazyfikować” Ukrainę.

Nazizm Putina ma oczywiście korzenie w rosyjskiej historii. Opozycyjny pisarz Dymitr Bykow dostrzegł te korzenie już w opriczninie Iwana Groźnego (oprichniki to uprzywilejowani poddani cara, tyranizujący resztę społeczeństwa).

Dla Bykowa faszyzm to nie ideologia, lecz swoista mentalność bez sumienia, dopuszczająca każde bestialstwo w imię podporządkowania reżimowi wszystkich poddanych. Twierdzi, że esencją rosyjskiego faszyzmu są trzy idee: narodowej wyjątkowości, nieustannego szukania (i znajdowania) wroga oraz specjuszbu działających poza prawem. Faszyzm, zdaniem Bykowa, jest wręcz wpisany w kulturę rosyjską. Społeczeństwo jest podzielone „na tych, którym wszystko wolno, i tych, wobec których wszystko wolno”.

SWASTYKA, STARY ROSYJSKI SYMBOL

Historycy doktryn politycznych pozostawiają rozważania o mentalności Rosjan pisarzom i psychologom, a przejawy ideologii faszystowskiej w Rosji śledzą od działalności utworzonego w 1905 r. Związku Narodu Rosyjskiego oraz jego bojówek „czarnej sotni”. Partia ta (mająca przedstawicieli w Dumie) winą za wszystkie problemy, z jakimi borykała się przedrewolucyjna Rosja, obarczała inteligencję i „obcych”, przede wszystkim Żydów. Jej idea przewodnia – „Rosja dla Rosjan!” – cieszyła się poparciem cara i większości duchowieństwa. Władimira Purizskiewicza (1870-1920), przywódcę Związku, określa się mianem pierwszego rosyjskiego faszysty/nazisty. Po przejściu władzy przez bolszewików organizacja działała na emigracji.



Pierwszy emigracyjny, oficjalnie faszystowski Oddział Rosyjski powstał za pieniądze NSDAP w Niemczech w 1924 r. Składał się z byłych „białych” żołnierzy i doskonalił umiejętności wraz z bojówkami SA. W 1933 r., kilka tygodni po objęciu urzędu kanclerza przez Hitlera, grupa emigrantów powołała Rosyjski Ruch Narodowosocjalistyczny. Przetrwał do sierpnia 1939 r. Z chwilą podpisania paktu Ribbentrop-Mołotow Niemcy przestały popierać rosyjskich emigrantów (general Własow i jego Rosyjska Armia Wyzwoleńcza to inne zagadnienie).

Lepiej wiodło się rosyjskim faszystom w Chinach. W 1925 r. grupa studentów powołała w mandżurskim Harbinie Rosyjską Organizację Faszystowską, przemianowaną w 1931 r. na Rosyjską Partię Faszystowską. Przewodził jej Konstantin Rodzajewski (1907-46). Partia postawiła sobie za cel walkę z „sowiecką żydokomuną” i sprowokowanie w ZSRR wybuchu rewolucji narodowej. Na sztandarach wypisała hasło „Bóg, Naród, Praca” i wymalowała swastykę, twierdząc, że jest to stary symbol rosyjski.

1 „Rozkwit” rosyjskiego faszyzmu w Chinach nastąpił z chwilą wkroczenia do Mandżurii wojsk japońskich. Z poparciem finansowym Japończyków RPF zaczęła wydawać czasopisma „Nacja” i „Nasz Put” („Nasza Droga”). Kilku wydań doczekał się „Alfabet faszyzmu” – rosyjska „Mein Kampf” – autorstwa Giennadija Taradanova i Władimira Kibardina. „Alfabet” głosił, że godłem RPF jest biały dwugłowy orzeł (symbolizujący naród rosyjski) nałożony na czarną swastykę (symbol „solidarności faszystów”) na żółtym tle. Pozdrawiano się faszystowskim wymachem ręki z okrzykiem „Chwała Rosji!”. Na miejsce komunistycznego „towarzysza” wprowadzono „współbojownika” (soratnika). Powołano wiele organizacji towarzyszących: Rosyjski Kobięcy Ruch Faszystowski, Związek Młodych Faszystek (dla dziewcząt 10-16-letnich), Związek Awangardy (dla chłopców) i Związek Faszystowskich Zuchów (dla dzieci 5-10-letnich). Za japońskie pieniądze działała szkoła partyjna. Wszystkie te organizacje dotrwały do lata 1943 r. Zostały rozwiązane, gdyż Japończykom zależało na neutralności Moskwy i postanowili nie prowokować jej.

Rodzajewski po zakończeniu wojny przeżył swoisty „kryzys światopoglądowy” i w liście do Stalina orzekł, że faszyzm rosyjski i sowiecki komunizm mają wspólne cele, że zbyt późno zrozumiał, iż prawdziwym wodzem faszystów rosyjskich jest Stalin. „Stalinizm jest właśnie fa-

szyzmem rosyjskim: to jest nasz rosyjski faszyzm oczyszczony ze skrajności, iluzji i błędów”. Skrucha na nic się zdała. Obietnicami przebaczenia zwabiono Rodzajewskiego do Moskwy i po pokazowym procesie rozstrzelano.

Rosyjski faszyzm miał też przedstawicieli w USA. Anastasij Wonsiacki (1898-1965), syn pułkownika warszawskiej carskiej żandarmerii, stworzył w 1933 r. Wszechrosyjską Organizację Faszystowską i zaczął wydawać gazetę „Faszysta”. Organizacja liczyła kilkuset członków. Wonsiacki próbował przyłączyć rosyjskich faszystów z Niemiec i Chin, jednak spory o władzę nie sprzyjały porozumieniu. Działalność w Ameryce zakończyła się w 1943 r. procesem o szpiegostwo na rzecz Niemiec i Japonii. Wonsiackiego skazano na pięć lat więzienia, zasądzono pięć tysięcy dolarów grzywny i pozbawiono go obywatelstwa amerykańskiego.

PEWNA SZCZEGÓLNA JEDNOŚĆ MISTYCZNA

Dzisiaj żadna z rosyjskich skrajnie nacjonalistycznych organizacji przymiotnika „faszystowska” nie używa, ale w czarnych koszulach maszerowali członkowie „odrodzonego” Związku Narodu Rosyjskiego, Narodowo-Patriotycznego Frontu „Pamięć” i Ruchu Rosyjska Jedność Narodowa.

2 Przewodniczący tej ostatniej organizacji – Aleksander Barkaszow – wydał „Alfabet nacjonalisty rosyjskiego”, w którym godłem partyjnym jest „rosyjska swastyka”, największym wrogiem Żyd (komunista, kapitalista, mason, Amerykanin – to wszystko Żydzi), pozdrowieniem – „Chwała Rosji!”, towarzyszył partyjny zaś to „soratnik”.

Zdaniem Barkaszowa historycznym obowiązkiem Rosjan jest „zaprowadzenie sprawiedliwego porządku w świecie”. „Nasze czarne koszule i wojskowe mundury – pisze Barkaszow – to akt narodowej woli! Dzisiaj, gdy podeptano wszystkie przysięgi, ci, którzy wkładają czarne koszule, przysięgają Ojczyźnie i Narodowi: Rosja albo śmierć! Rosja albo śmierć! – gdyż nie chcemy żyć ani w kolonii amerykańskiej, ani w europejskim domu, ani w żadnej WNP, lecz tylko w Narodowej Rosji, zbudowanej przez naszych przodków!”. Partia po kilku latach rozpadła się na mniejsze nacjonalistyczne organizacje, a Barkaszow został mnichem tzw. Cerkwi autonomicznej, nieuznawanej przez Cerkiew oficjalną. Poparł oczywiście aneksję Krymu, a jego zwolennicy walczą w Donbasie.

W 1993 r. pisarz skandalista Eduard Limonow po powrocie z USA powołał faszystującą Partię Narodowo-Bolszewicką. Nie udało mu się jej zarejestrować i w 2007 r. decyzją sądu partia została rozwiązana.

3 W początkowym okresie działalności narodowych bolszewików (do 1998 roku) ich ideologiem był Aleksander Dugin, który z czasem stał się najbardziej wpływowym w Rosji nazistowskim ideologiem. Pod koniec XX wieku związał się z euraszjatami (ruch głoszący, że Rosja jest samodzielnym konty-



nentem – Eurazją) i zaczął nawoływać do stworzenia ponadnarodowej wspólnoty słowiańsko-turkijskiej do walki ze światem anglosaskim i judaizmem. Uznał, że Rosjanie są „pewną szczególną jednością mistyczną”, „narodem bogonością”, jedynym narodem wybranym przez Boga do wypełnienia misji zbawienia świata. Początkowo traktowano go jako mawiedzonego myślicie-la, przykład, do jakich bredni może dopro-wadzić skrajny nacjonalizm człowieka oczy-tanego, władającego ponoć sześcioma języ-kami. W 1997 r. Dugin opublikował „Pod-stawy geopolityki”, w których zawarł wizję przyszłości Rosji i upadku Zachodu. Póź-niej się doktoryzował z filozofii, habilito-wał z politologii i został profesorem w Pań-stwowym Uniwersytecie Moskiewskim, wy-kładając studentom ideę konserwatywnej rewolucji oraz „czwartą teorię polityczną”, która ma zastąpić liberalizm, komunizm i faszyzm. W 2014 r. zwolniono go, podob-no za nawoływanie do mordowania Ukraiń-ców, którzy nie chcą stać się Rosjanami.

ROSYJSKI DMOWSKI

Poszukując „nastawników” Putina („na-stawnik” lepiej oddaje istotę problemu niż polski „nauczyciel”), politolodzy wymienia-ją zwykle nazwiska Iwana Iljina, Aleksan-dra Solżenicyna i Dugina.

Iwan Iljin (1883-1954) jest dla rosyjskie-go nacjonalizmu tym, czym dla polskie-go Roman Dmowski. Dla oburzonych ze-stawmy dwie wypowiedzi – Dmowskie-go: „Gdybyśmy byli podobni do dzisiej-szych Włoch, gdybyśmy mieli taką orga-nizację jak faszyzm, gdybyśmy wreszcie mieli Mussoliniego, największego niewąt-pliwie człowieka w dzisiejszej Europie, ni-czego więcej nie byłoby nam potrzeba” (1925); i Iljina: „We Włoszech faszyzm bu-dowano nie od dołu, a od góry, od Mus-soliniego i jego najbliższych, w pełni mu podporządkowanych współpracowników. Włochy uratował [przed komunizmem] niewielki rozmiar państwa i posiadanie jednego bezdyskusyjnego wodza, w któ-rym patriotyczna ideowość połączyła się ze wspaniałą polityczną intuicją, apodyk-tyczną wolą i umiejętnością doboru lu-dzi” (1928). Tekst Iljina nosi tytuł „O rosyj-skim faszyzmie” i nawołuje emigrację ro-syjską do zjednoczenia się w „białym ru-chu”, który ma być doskonalszy od faszy-zmu, gdyż zostanie uzupełniony o „naj-głębszy motyw religijny”.

Iljin jest najczęściej przywoływanym przez Putina rosyjskim filozofem. Myśli-ciel ten ceniony był też przez Solżenicyna, a mało już kto pamięta, że Putin, gdy zo-stał prezydentem w 2000 r., udał się do do-mu pisarza w Troice-Łukowie. Dziennika-ry nie zabrał, możemy więc tylko przy-puszczać, że to Solżenicyn zainteresował go pracami Iljina. Prezydent znalazł w nich m.in. taką myśl:

„Dyskutując z obcokrajowcami o Rosji, każdy wierny patriota rosyjski powinien im wyjaśniać, że Rosja nie jest przypadko-wym nagromadzeniem terytoriów i ple-mion, nie jest sztucznie pozlepianym »me-chanizmem okręgów«, lecz jest żywym, hi-storycznie dojrzałym i kulturowo spraw-dzonym organizmem, niepodlegającym ar-bitralnemu rozczłonkowaniu. Ten orga-nizm jest geograficzną jednością, jego czę-ści powiązane są gospodarczo wzajemnym wspieraniem się: ten organizm jest duchow-ą, językową i kulturalną całością, histo-rycznie wiążącą naród rosyjski z jego naro-dowo młodszymi braćmi duchowym wza-jemnym porozumieniem; on jest państw-ową i strategiczną jednością, udowadniającą światu swoją wolę oraz zdolność do samo-obrony; on jest istotną ostoją europejsko-a-zjatyckiego, a przez to i światowego pokoju i równowagi. Jego podział byłby niespotka-ną jeszcze w historii polityczną awanturą, której fatalne skutki ludzkość odczuwałaby bardzo długo”.

To fragment tekstu Iljina z 1950 r. „Co czeka świat po podziale Rosji”. Putin „po-twierdzi” słowa Iljina, gdy w 2005 r. orzek-nie: „Największą katastrofą geopolitycz-ną XX wieku był rozpad Związku Radziec-kiego”, i zacznie rozmyślać o przywróceniu Rosji „utraconych” terytoriów pod przy-krywką „obrony ludności rosyjskiej za gra-nicą”. Iljin zapewne poparłby Putina we

3



wszystkich jego wojnach – od czecheńskiej i gruzińskiej po aneksję Krymu i dzisiejszą w Ukrainie. Był przecież autorem rozpra-wy „O sprzeciwianiu się złu siłą” (1925), bę-dącej polemiką z pacyfizmem Lwa Tolsto-ja, a rozpad Rosji był dla niego, jak i dla Pu-tina, „złem”.

Czy wojny Putina poparłby Solżeni-cyn? Wszak jemu także marzył się „Zwią-zek Rosyjski”, jednak chciał go ograniczyć tylko do Wielkorusi, Białorusi, Małorusi oraz kawałka Kazachstanu, zamieszkane-go w większości przez Rusów („Jak odbu-dować Rosję”, 1990), później jednak drugą wojnę czecheńską poparł.

Dziś jedynym żyjącym „nastawnikiem” Putina w domysłach politologów jest Du-gin. Nie wiemy, czy kiedykolwiek się spo-tkali, ale faktem jest, że Dugin to najbar-dziej płodny rosyjski skrajnie nacionali-styczny mistyk, mający wielu zwolenników wśród elity politycznej. Był przecież do-radcą przewodniczących Dumy Państwo-wej Giennadija Sielezniowa i Siergieja Na-ryszkina. Choć polityczne poglądy Dugi-na i Putina są zgodne, zapewne oficjalnie prezydent nigdy nie potwierdzi, że czerpie pomysły z Duginowskich prac. Musiałby przyznać, że stał się faszystą. Dla jego wi-zerunku bezpieczniejsze jest odwoływanie się do dorobku Iljina i uzupełnianie ideolo-gii nacjonalizmu o „najgłębszy motyw reli-gijny”. Cerkiew mu w tym kibicuje.

ZACHÓD TO ROZUM, A ROZUM TO ANTYCHRYST

Prawosławni nacjonaści, wspierając woj-nę z Ukrainą, dostrzegli jeszcze jednego „nastawnika” Putina. Ich zdaniem jest nim metropolita petersburski Ioann (Iwan Sny-czew, 1929-95), a świadczyć ma o tym po-parcie prezydenta dla budowy pomnika metropolity w Samarze. W latach 90. post-radzieckich Rosjan Ioann nauczał, że prze-paść dzieląca cywilizację rosyjską od za-chodniej staje się coraz głębsza i od wie-ku XVI, gdy w Europie ostateczne zwycię-stwo odniosła kultura bogoburcza, usu-nąć już jej nie sposób: „Święta Ruś i Zachód stały się światami antypodami, światami antagonistami, wyznającymi diametral-nie różne, całkowicie przeciwstawne syste-my wartości”.

Rozum jest wymysłem Szatana, Zachód zaś, jako ucieleśnienie prawdy rozumu – jest zapowiadającym Antychrystem. Wiek XX jest dla Rosji czasem „diabelskich po-kus”. Trwa bitwa o serca pomiędzy ideała-

mi Świętej Rusi i diabelskimi ideami „cywi-lizacji” i „postępu”, których rezultatem ma być „wszechświatowe, kosmopolityczne królestwo z Antychrystem na czele”. Tak jak Chrystus został sprzedany przez Juda-sza na haniebną śmierć, tak Rosja została sprzedana na pastwę „zachodnich pseudo-nauk” przez „Judaszowych jedноплемień-ców”. W odróżnieniu od Rosji, w której światopoglądową podstawą życia społecz-nego i państwowego była nauka Cerkwi o Boskim Objawieniu, na Zachodzie zwy-ciężył rozum fałszywy – pseudologos, urze-czywistniający swoje „pełne pychy marze-nia w światopoglądzie humanizmu”. Na-uce o tym, iż to „Bóg kieruje wszechświa-tem, że On kieruje także życiem człowieka we wszystkich najdrobniejszych jego prze-jawach”, humanizm przeciwstawił staro-żytną, pogańską ideę – „Człowiek jest mia-rą wszystkich rzeczy” (Protagoras). Bogoburczy antropocentryzm pod przykryciem demagogicznych hasel („Wszystko w imię człowieka, wszystko dla dobra człowieka!”) doprowadził cywilizację zachodnią do ab-solutyzacji egoistycznego indywidualizmu, „bezlitośnie burząc jednościowe podsta-wy normalnej ludzkiej wspólnoty i odda-jąc pogański hold bożyszczu samouwiel-biającej się pychy – praprzyczynie wszel-kiego zła i źródłu wszystkich ludzkich nie-szczęść”.

I to jest światopogląd dzisiejszego ofi-cjalnego prawosławia. Nie dziwny się, że patriarcha Cyryl otwarcie poparł wojnę z Ukrainą.

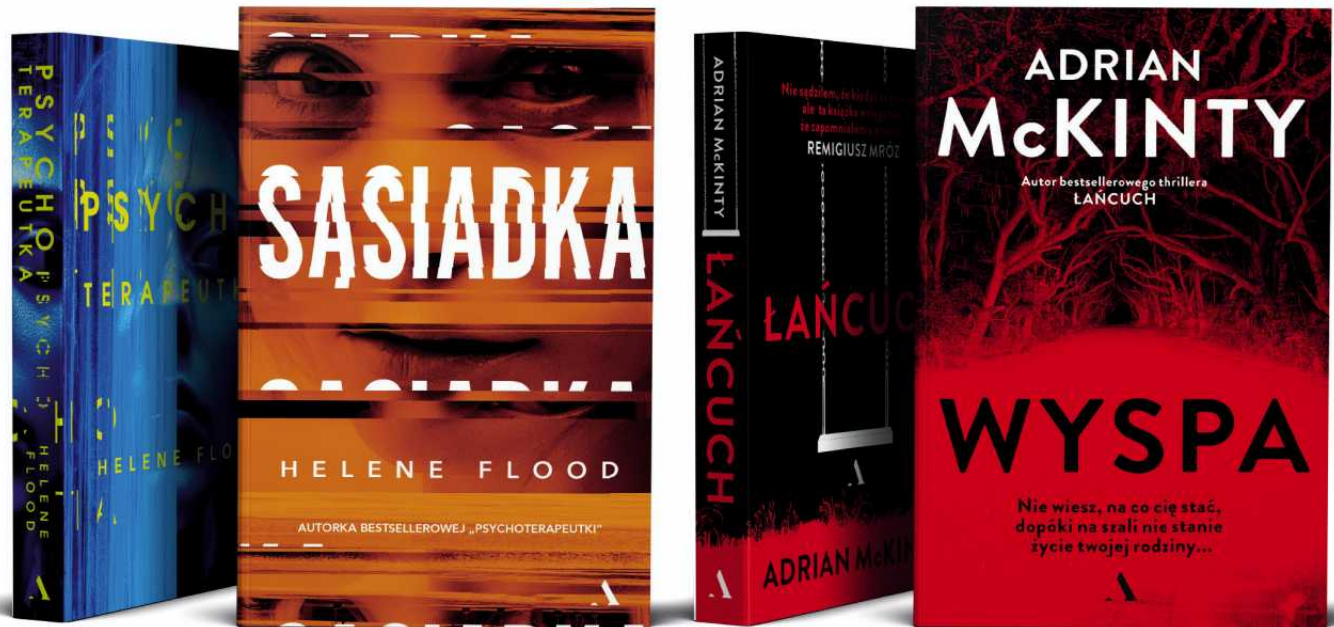
Jak do tej pory szczepionki na faszyzm nie wynaleziono i jego wykwyty pojawiają się wciąż na tkance społecznej najprzeróż-niejszych narodów: w węgierskim Jobbiku i w Gwardii Węgierskiej, w polskim ONR-ze, w ukraińskiej Swobodzie, w Alternaty-wie dla Niemiec, w Partii Prawdziwych Fi-nów, we francuskim Froncie Narodowym, w greckim Złotym Świecie, w Ludowej Na-szej Słowacji, w amerykańskim Ruchu Na-rodowo-Socjalistycznym itd. Choroba na-wraca. W Rosji zaraziła już prezydenta, je-go „opriczników” i poddanych. Czy jeśli Ro-sja przegra wojnę w Ukrainie, faszyzm po raz kolejny się skompromituje? Wątpię. ●

Andrzej de Lazari

• Historyk idei, rosjoznawca, autor wielu publikacji na temat historii Rosji i jej kultury oraz stosunków polsko-rosyjskich związany z Uniwersytetem Łódzkim

PRZECZYTAJ NOWE KRYMINAŁY AUTORÓW BESTSELLERÓW

„PSYCHOTERAPEUTKA”
I „ŁAŃCUCH”



KSIAŻKA, EBOOK I AUDIOBOOK JUŻ W SPZREDAŻY

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA

K KULTURALNY
SKLEP.PL

WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA

publio.pl



Wydawnictwo
Agora

UKRAINA WZMOCNI WSZYSTKICH

Gdy wejdzie do Unii, Polska na wschodzie kontynentu ma szansę stać się tym, **czym Francja na południu i Niemcy na zachodzie.**

Witalij Portnikow

Lanim Rosja napadła na Ukrainę, uzyskanie statusu kraju kandydującego do Unii Europejskiej dla tego kraju i sąsiedniej Republiki Mołdawii wydawało się sprawą odległej przyszłości. Dziś mamy szansę znaleźć się w centrum Europy. Na Wschodzie pozostanie tylko Rosja.

Fakt, że status został przyznany po raz pierwszy w historii Unii Europejskiej wraz z warunkami, które mogą go unieważnić w przypadku niezgodności, pokazuje, jaki mógł być rozwój wypadków w przedwojennej rzeczywistości. Sam jednak wątpię, aby nasz proces integracji europejskiej mógł posunąć się do przodu, dopóki nie zostanie zakończony inny proces – integracji krajów Bałkanów Zachodnich.

A to oczywiście nie napawa nadmiernym optymizmem! Od wieloletniej blokady – najpierw przez Grecję, a teraz przez Bułgarię – rozpoczęły się rozmowy akcesyjne z Macedonią Północną i Albanią. Brak postępów w szukaniu kompromisowego rozwiązania między Serbią a Kosowem. Próba zemsty prorosyjskich sił w Czarnogórze. Wreszcie wieczna niepewność rozwoju i nieefektywność państwa w Bośni i Hercegowinie, które nie zyskało nawet statusu kandydata do członkostwa.

NOWY KRAJ GRANICZNY ROSJI

Teraz Unia będzie musiała zajmować się jednocześnie Bałkanami Zachodnimi i przestrzenią postsowiecką, choć być może nie planowała tego. Stabilność kontynentu w przyszłości będzie zależeć zarówno od tego, jak zdadzą egzamin Bałkany, jak i Europa Wschodnia.

Głównym beneficjentem integracji Ukrainy z Unią nie będzie nawet sama Ukraina, ale Polska. Dla Ukrainy akces będzie oczywistym sukcesem cywilizacyjnym. Ale to, jak Rosja wygląda teraz – i jak prawdopodobnie będzie wyglądać w nadchodzących dziesięcioleciach – sprawi, że Ukraina stanie się krajem granicznym z Unią. Zacznie się kolejna cywilizacja, być może kolejny blok geopolityczny i gospodarczy. Oczywiście lepiej być na granicy demokracji niż w autorytarnym bloku. Ale granica to jednak granica.

POLSKA W CENTRUM EUROPY

Integracja europejska Ukrainy „wypchnie” Polskę z granic UE do jej samego centrum. Polska ma szansę stać się jednym z najbardziej wpływowych krajów Unii, może takim samym regionalnym li-

derem jak Francja na południu czy Niemcy na zachodzie kontynentu.

Zwłaszcza jeśli integracja polsko-ukraińska będzie postępowała pomyślnie, co na obecnym etapie można nazwać właściwie nawet dyfuzją. Już teraz obserwujemy powstawanie dużego wspólnego rynku pracy i kapitału. Co by było, gdyby ten wspólny rynek nie był podzielony granicami UE?

Ponadto Polska ma możliwość poszerzenia swoich wpływów regionalnych. Do niedawna najważniejszym przykładem takiej współpracy był konstrukt wyszehradzki. Ale integracja europejska Ukrainy i Republiki Mołdawii stwarza warunki do zbieżności interesów Warszawy i Bukaresztu. Przed II wojną światową Rumunia była sąsiadem Polski.

Gdy Ukraina i Mołdawia staną się członkami Unii, wieloletnie sąsiedztwo nabierze nowego wymiaru. Ukraina może zbliżyć do siebie Rumunię i Polskę. Już teraz oba kraje mają punkty zbieżne. Polska stara się promować integrację europejską Ukrainy, a jednocześnie ma dobre stosunki z Mołdawią i zainicjowała poparcie dla jej europejskich aspiracji. Rumunia jest oczywiście głównym motorem integracji Mołdawii, ale jej polityczne i gospodarcze relacje z Ukrainą zacieśniają się.

I to wzmocnienie relacji pozwoli na kreatywną współpracę regionów przygranicznych. Cała Bukowina, podzielona w przededniu II wojny światowej, ponownie znajdzie się we wspólnej przestrzeni cywilizacyjno-gospodarczej, co znacznie ułatwi życie Rumunom z regionu czerńowieckiego i Ukraińcom z prowincji rumuńskiej Mołdawii.

SŁOWACJA WKRACZA DO GRY, WĘGRY WSPIERAJĄ

O tym, że integracja Ukrainy jest szansą dla innych, widać po zainteresowaniu na Słowacji i w Czechach. Tempo zbliżenia między Kijowem a Bratysławą można nazwać bezprecedensowym – Słowacja jest dziś jednym z głównych dostawców broni do Ukrainy. Jednocześnie widzimy, jakie możliwości otwierają się dla szerszej współpracy regionalnej. Bratysława zaproponowała, aby zaopatrzyć Ukrainę w myśliwce pod warunkiem, że Polska i Czechy wezmą na siebie ochronę przestrzeni powietrznej kraju. Słowacy już teraz starają się dzielić z Polską rolę obrońcy idei integracji europejskiej Ukrainy – przejawiało się to w szczególności w podróży prezydentów Andrzeja Dudy i Zuzany Czaputowej na południe Europy w przededniu głosowania nad przyznaniem Ukrainie i Mołdawii statusu kandydata.

Wreszcie Węgry. Ten kraj ma chyba najtrudniejsze stosunki spośród sąsia-

dów z Ukrainą. A jednak Orbán poparł integrację Ukrainy, dzień przed szczytem UE rozmawiał z prezydentem Zeleńskim.

Oczywiście w podejściu Węgier mogą kryć się niuanse związane z nadziejami Budapesztu na utrzymanie relacji z Moskwą. A jednak integracja europejska Ukrainy obiecuje rozwiązanie problemów fundamentalnych dla węgierskiego społeczeństwa. Zakarpacie stanie się prawdziwym pomostem między Ukrainą a Węgrami, przedstawiciele węgierskiej mniejszości będą żyli w świecie, w którym nie będzie potrzeby wyboru między obecną ojczyzną a krajem ich przodków.

Jednym słowem, będą miały miejsce te same procesy, które widzieliśmy w innych krajach po integracji z UE. Oczywiście w samej Unii utrzymują się różne poglądy na temat roli i statusu mniejszości narodowych, a Węgry wielokrotnie demonstrowały specyficzne podejście. Niemniej, wraz z Ukrainą, wszyscy Węgrzy znajdą się w jednej Europie – być może ta okoliczność pozwoli już nowym pokoleniom Węgrów rzadziej pamiętać traumę okrajającego ich kraj o 2/3 układu w Trianon po I wojnie światowej.

Po przystąpieniu Ukrainy i Mołdawii Unia Europejska będzie wyglądać zupełnie inaczej. Ukrainy raczej nikt nie nazwie już „państwem wschodnioeuropejskim”, podobnie jak określenie to przestało obowiązywać wobec Polski, Słowacji, Czech i Węgier po 2004 roku. ●



Witalij Portnikow

- jeden z najbardziej znanych komentatorów i dziennikarzy politycznych w Ukrainie, członek ukraińskiego Pen Clubu oraz Future of Ukraine Fellow w programie Visegrad Insight, Fundacji Res Publica.

Artykuł powstał w ramach programu współpracy między głównymi tytułami prasowymi w Europie Środkowej prowadzonego przez Visegrad Insight w ramach Fundacji Res Publica. Opublikowany w Res Publice Nowej.

© Visegrad Insight © Fundacja Res Publica

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Ewa Lipska*

Po latach

W czasach

kiedy kochaliśmy się

na skrawkach sekretów

historia zaciągała

polityczny kredyt.

Papierki po cukierkach

udawały stada słów.

Leżeliśmy

w kremie morelowym

choć wszystko inne

wyglądało

jak policyjna syrena.

Po latach

spotkaliśmy się

w tej samej melodii

którą nucił twój zegarek

na nieobecnej ręce.



FOT. TOMASZ PIETRZYK / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Ewa Lipska** - ur. w 1945 r. w Krakowie, poetka. Autorka m.in. tomów: „Przechowalnia ciemności” (1985), „Strefa ograniczonego postępu” (1990), „Ludzie dla początkujących” (1997), „1999” (1999), „Sklepy zoologiczne” (2001), „Ja” (2003), „Pogłos” (2010) i „Pamięć operacyjna” (2017)



Wiersz z tomu
**„Pomarańcza
Newtona”**
(2007).

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNY: WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński

WYDAWCA Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



Ktoś musi zakończyć tę wojnę

„Wypierdalać” to słowo bumerang: wróci z tym większą energią, z im większą zostało wypowiedziane.

Marcin Matczak*



Wśród akademików panuje denerwująca moda, by zamiast „napisałem” mówić „popelnilem tekst”, tak jakby pisanie było przestępstwem. W przypadku Jarosława Wyrembaka, dublera zasiadającego w polskim TK, ta fraza ma sens: właśnie popelnił tekst, który opublikowany w mediach społecznościowych wszędzie zostałby potraktowany jako alkopost. U nas nie. U nas opublikowano go na oficjalnej stronie sądu konstytucyjnego i – mimo krytyki – ciągle tam wisi.

Autor zamierzał pewnie potępić ostatnie propozycje, by w kwestii praworządności nie było po PiS grubej kreski. Wskazując z nazwiska osoby żądające twardych rozliczeń, chciał skrytykować coś, co krytyki się domaga, a mianowicie leczenie dżumy cholera. Chciał, ale wyszło, co wyszło – jasny jak słońce dowód, że nasze instytucje publiczne zainfekowała choroba, której wyleczenie wymaga poważnej interwencji. Nie odkuwania, nie odpilowywania, nie wyprowadzania siłą – ale długotrwałego leczenia.

Dlaczego? Bo Wyrembak, który podpisuje się jako „sędzia”, udowadnia, że jest ideologicznym rycerzem. Zamiast spokojnie napisać, że nie ma sensu łamać prawa, aby usuwać bezprawie, bo to rozkręca spiralę bezprawia, pisze o „rynsztokowym okrzyku, który niedawno był czarnym sztandarem wściekłych na Trybunał miłośniczek przerywania ciąży”. Tu trzeba mu oddać, że zachował sędziowską wstrzeźliwość, mógł przecież wprost napisać, że chodzi o okrzyk „WYPIERDALAĆ!”. A on, choć tego słowa nie używa, wypierdalać nie zamierza.

Wyrembak mógł też napisać, że szukanie formalnych pretekstów, by kogoś odwołać, zemści się, bo przeciwnicy polityczni zrobią to samo. Przypomnijcie sobie Ziobrę, który chciał odwołać trzech sędziów TK, bo Sejm głosował na nich na jednej kartce zamiast na trzech osobnych. Zamiast tego w tekście czytamy o „rządach prawa sprawowanych za pomocą sierpa i młota”. W tym miejscu autor zaczyna się rozkręcać, bo dochodzi do myśli godnej Patryka Jakiego: nie tylko rządy prawa, ale i „zonglerkę sierpem i młotem, przez wystrójonych w europejskie krawaty wojowników” zarzuca swoim przeciwnikom.

„Wielki deficyt racji rozumowych” i „brak szacunku dla drugiego człowieka” – chciałoby się powiedzieć, choć to frazy, których w zakończeniu używa sam Wyrembak, z przytupem zamykając swój tekst niemal Mickiewiczowskim: „zanim zwiążą nam ręce i zakleją usta – może znowu odwołując się do wiary w nagle odnalezione Boga”. Nie ma jednak co się pastwić nad człowiekiem, który chciał zostać sędzią, by móc zostać żołnierzem, i najwyraźniej czuje, że jest na wojnie i że niestety przegrywa. Tylko niepoważni ludzie gadają o innych ludziach. Poważni rozmawiają o ideach,

wzniesmy się więc ponad ten ludzki przypadek do rzeczy ogólniejszych.

Otóż stajemy się społeczeństwem Wyrembaków: z normalnych ludzi wszyscy zamieniamy się w ideologicznych wojowników. Przestrzeń wspólna zamienia się w pole bitwy, a celem naszych interakcji jest wycięcie w pień przeciwnika. Albo my, albo oni. Polaryzacja i eskalacja, jak dwie upiorne bliźniaczki z „Lśnienia”, zamieszkały u nas na stałe. Nie tłumaczę w ten sposób nikogo, bo wiem, kto jest agresorem w tej wojnie. Chcę tylko zwrócić uwagę, że ona do niczego dobrego nie prowadzi i ktoś musi ją zakończyć.

I tu pozwólcie na wolnę. Skoro wykształcony, niegłupi przecież Wyrembak, ma w głowie takie rzeczy, pomyślcie, co musi mieć w niej zwyczajny, głoszący na PiS obywatel? Te „sierpy i młoty”, te „miłośniczki przerywania ciąży” – powiecie, że to symbole, które wtłoczyła im do głowy propaganda. Oczywiście. Ale to także symbole ich obaw, niepokoju związanego z nadjeściem świata, którego nie rozumiem i który niszczy ich kruche poczucie ładu. Oburzamy się na ten „sierp i młot”. Ale to obraźliwy i nieudolny sposób nazwania jakiejś rzeczywistości, w której ci ludzie nie widzą miejsca dla żadnego porządku normalnego, dla ważnej dla nich tradycji czy religii. Można by powiedzieć, że skoro „wypierdalać” było uzasadnionym okolicznościami wyrazem sprzeciwu wobec władzy, może „sierp i młot” też jest?

Nie, nie jest. I „wypierdalać” też nie. Walczący z PiS zdają się nie widzieć, że po drugiej stronie mają 30 proc. społeczeństwa, które boi się różnorodności, nie akceptuje tezy o niczym nieskrępowanej ludzkiej wolności, ceni tradycję i religię, i ma prawo to robić. Nawet jak odkucie sędziów i urzędników, ci ludzie tu pozostaną i nadal będą Polakami. Będą obserwowani zmieniający się świat, często go nie rozumiejąc, często się go bojąc, i z tego strachu będą robić głupie rzeczy – na przykład znowu głosując na populistów.

W historii zdarzały się ludobójstwa dokonane w rzekomej samoobronie. Myślicie, że nie da się jeszcze bardziej zaostriżyć prawa aborcyjnego w rzekomej samoobronie przed zalewającym moralnym chaosem? Argument, że permissywnym zagraża zdrowemu moralnie społeczeństwu i że trzeba się przed nim bronić, służy między innymi putinowskiej propagandzie w wojnie z Ukrainą. Myślicie, że nie posłuży u nas jako propagandowe narzędzie, by liberalnej i lewicowej stronie jeszcze bardziej narzucić konserwatywny porządek?

Możemy śmiać się z Wyrembaka i jemu podobnych. Ale może lepiej pomyśleć, że zamiast wojny potrzebujemy balansu. Że w zróżnicowanym społeczeństwie bezwarunkowa pochwała każdego przejawu ludzkiej wolności jest nieosiągalna – sukcesem jest już pełna rezerwy tolerancja. Że na zmuszanie, by pokochali coś, czego nie akceptują, ludzie nie odpowiadają miłością, nie odpowiadają nawet tolerancją, ale podburzeni w odpowiedni sposób reagują przemocą prawną. I zamiast miłości oferują brutalny zakaz.

Że wulgarnie okrzyki na wiecach, grafitti na kościołach, przerywanie mszy i wyzywanie do rozwiązań siłowych tylko potwierdzają ich obawy, że to jest wojna. A „wypierdalać”, które z pewnością pojawi się także w komentarzach do tego tekstu, to słowo bumerang: wróci z tym większą energią, z im większą zostało wypowiedziane.

Dlatego właśnie, żeby nie stać się Wyrembakiem i nie mieć więcej Wyrembaków w TK, trzeba zrozumieć Wyrembaka – choć to niełatwe zadanie. ●

*Marcin Matczak – ur. w 1976 r., specjalista od teorii i filozofii prawa, profesor UW

CZUŁE SŁÓWKA

Rechot

Posel Brudziński pozazdrościł prezesowi rechotu, jaki wywołują jego obrzydliwe żarty. I powiedział: „He, he. To posłuchajcie tego! Jeszcze obrzydliwsze!”.



W szkole podstawowej miałem kolegę, który lubował się w opowiadaniu dowcipów o Żydach i Holokauście. Z początku sprawiało mu perwersyjną radość, że wywołuje nimi zdumienie, zażenowanie czy oburzenie kolegów i koleżanek. Wiedział, że robić tego nie powinien, ale miały one dla niego zapewne smak owocu zakazanego. Miały też jednak konsekwencje towarzyskie: zamiast budować wspólnotę, o co zwykle w opowiadaniu dowcipów chodzi, wykluczały go z niej: był traktowany jak troglodyta, którego lepiej nie zapraszać na urodziny, bo znowu coś palnie i zrobi się niezręczność. Nie istniało wówczas jeszcze pojęcie „cancellingu”, ale stosowaliśmy wobec niego rodzaj ostracyzmu, który zawsze się stosowało wobec kogoś, kto nie umie się zachować w towarzystwie. My – to znaczy zwykli uczniowie, z różnych rodzin, nie tylko inteligenckich; dzieci o jakiejś elementarnej wrażliwości. Pamiętam, że nasz cancelling odniósł skutek: kolega opowiadanie niestosownych dowcipów zarzucił – bodajże w piątej klasie.

Przypomniał mi się ów kolega, kiedy przeczytałem, co powiedział w TVP Info poseł Prawa i Sprawiedliwości Joachim Brudziński. Dodajmy, że nie poseł szeregowy, ale jeden z czołowych działaczy tej partii, należący do kręgu najbardziej zaufanych ludzi Jarosława Kaczyńskiego: „Jeden z moich znajomych opublikował bardzo, że tak powiem, ostry i poruszający wpis: dzisiaj Niemcy próbują od Polski wymusić dzielenie się z nimi gazem, bo oni dzielili się z nami swoim gazem podczas II wojny światowej”. Podobne żarty opowiadał mój kolega jeszcze w czwartej klasie. Dodam, że nawet on wiedział, że nie należy opowiadać ich publicznie. Poseł Brudziński też miał świadomość lub podświadomie czuł, że nie powinien mówić tego, co powiedział, więc zastosował kilka retorycznych zabiegów. Po pierwsze, wprowadził ów dowcip jako cytata: to nie jego słowa, lecz kolegi, o którym wiemy jedynie, że posługuje się mediami społecznościowymi, więc również dobrze może być postacią fikcyjną, tzw. fictio personae. Owszem, obniża to nieco poziom skandaliczności wypowiedzi pana posła, ale tylko na chwilę, bo przecież skoro Brudziński słowa znajomego cytował, to znaczy, że uważa je za ważne, trafne, może też i zabawne – i że się z nimi zgadza. Swoją drogą, tego typu sytuacje powinny nam wszystkim przypomnieć, że nie z każdym musimy się kolegować i że od czasu do czasu listę znajomych

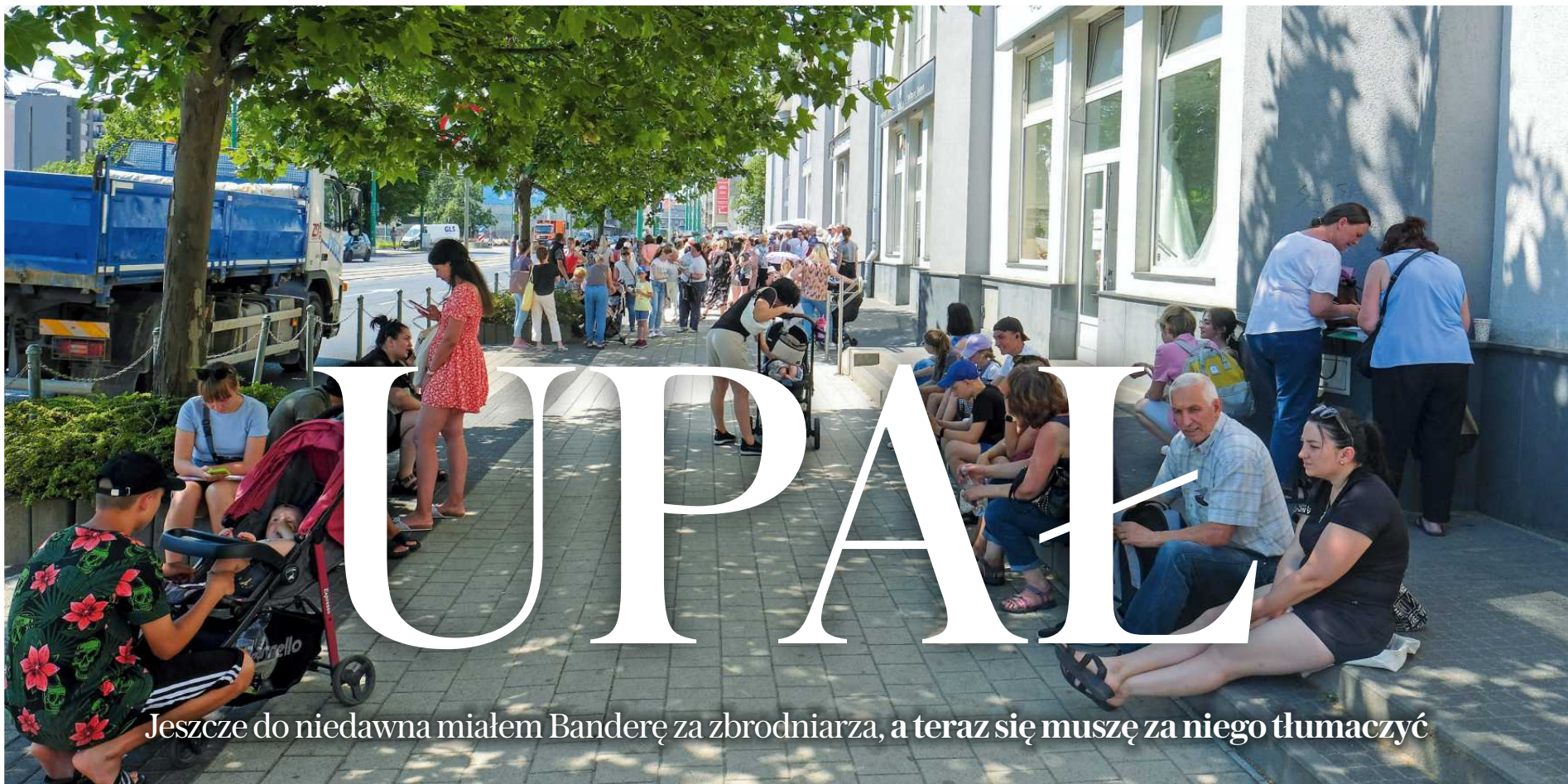
należy weryfikować. Oraz że zdanie nie zyskuje na wartości dzięki temu, że wypowiedział je ktoś, kto jest naszym kolegą.

Po drugie, Joachim Brudziński przytoczony przez siebie dowcip poprzedził wstępem, chcąc jakoś przygotować odbiorców na szok. Powiedział mianowicie, że wpis znajomego jest „bardzo, że tak powiem, ostry”, co było rodzajem ostrzeżenia; ale też dzięki wtrąceniu („że tak powiem”) Brudziński złagodził ostrość przymiotnika „ostry”, nie poczulismy się więc ostrzeżeni jakoś drastycznie. Dodał też, że wpis ów jest „poruszający”, czym nas dodatkowo zmylił, bo zwykle nie mówi się tak o dowcipach, nawet głupich i chamskich, lecz na przykład o szczyrych wyznaniach. Przymiotnik „poruszający” znaczy: „wzbudzający silne emocje”. Zwykle jednak chodzi o takie, które objawiają się łzami w oczach, a nie zażenowaniem, obrzydzeniem i oburzeniem.

Po trzecie, poseł Brudziński wyraźnie liczył na inną reakcję odbiorców, napisał więc na Twitterze: „Wiele mówi się o rosyjskiej agiturze i jej skuteczności w manipulowaniu i szerzeniu dezinformacji. Ale równie skuteczni są ci, którzy nad Wisłą pilnują niemieckich interesów. Wystarczy krytycznie wypowiedzieć się i zapomnieć niemieckie zbrodnie, a natychmiast słychać wycie”. Odbiorcy z pewnością dostrzegli cel, który mu przyświecał, bo też słuchając polityków PiS-u, trudno nie zauważyć od lat sączącej się antyniemieckiej retoryki. Formy przyjmuje ona różne, ta jednak była wyjątkowo skandaliczna, bo nie tylko utożsamiał pan poseł Niemców z hitlerowcami (co jest zabiegiem dobrze już nam znanym), ale i zażartował z Holokaustu. Określenie krytycznych reakcji na wypowiedź pana posła mianem „wycia” jest natomiast elementem strategii dehumanizującej krytyków partii i rządu, także dobrze nam znanej. Natomiast nazwanie dowcipu o gazie „krytyczną wypowiedzią” jest sporym eufemizmem. I naprawdę nie trzeba być „niemieckim agentem” lub kimś, kto „pilnuje niemieckich interesów”, żeby to dostrzec. Wystarczy mieć elementarną wrażliwość, żeby zauważyć, że – jak pisał w „Wyborczej” Roman Imielski – „Brudziński swoim haniebnym żartem obraził miliony ofiar Holocaustu, którymi byli głównie obywatele Polski zamordowani przez nazistowskie Niemcy w czasie II wojny światowej”.

Wrócę jeszcze do mojego kolegi, bo muszę przyznać, że nie powiedziałem o nim wszystkiego; jego historia nie skończyła się happy endem. Owszem, w szkole przestał opowiadać dowcipy o Żydach, Oświęcimiu i gazie, ale na osiedlu, na którym mieszkał, znalazł sobie kolegów, którzy cenili jego humor, a w każdym razie zależało im na znajomości z nim, więc reagowali na opowiadane przez niego żarty pożądanym rechotem. Mam podejrzenie, że poseł Brudziński pozazdrościł prezesowi Jarosławowi Kaczyńskiemu rechotu, jaki wywołują wśród partyjnych i koalicyjnych kolegów i koleżanek jego obrzydliwe żarty. I powiedział: „He, he. To posłuchajcie tego! Jeszcze obrzydliwsze!”.

*Michał Rusinek – wykłada (literaturoznawstwo na UW), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, dziś prowadzi fundację jej imienia. Feminista



FOT. PIOTR SKORNIKI / AGENCIA WYBORCZA.PL

Ziemowit Szczerek

Asfalt się lepi, a upał ścina białko w oczach. Ludzie czekający w rozpalonych samochodach w kolejkach do ukraińskiej granicy wyglądają, jakby potrzebowali reanimacji. A czekać trzeba długo, bo Ukraina wprowadziła akurat okienko celne i przez jakiś czas można było sprowadzać do kraju auta bez cła. I okienko się zamyka. Pomiędzy Ukraińcami krążą omdlewający od słońca wolontariusze z całego świata. Francuzi, Portugalczycy, Włosi, Hiszpanie, Brytyjczycy. No i Polacy.

Przy przejściu granicznym dla pieszych jest trochę lepiej. Wolontariusze pod białymi plachtami namiotów dającymi trochę cienia rozdają wodę i darmowe wegetariańskie jedzenie ludziom przechodzącym przez granicę.

Ruch graniczny wraca do przedwojennej normy, nie ma apokalipsy z lutego czy marca. Rosyjski najazd na Ukrainę zwolnił i stał się raczej punktowy, więc fala uchodźców opadła. No a samochodu, cóż, pieszym przejściem nie przeniesiesz. Zresztą kto miał wyjechać – ten wyjechał.

Co nie znaczy, że uchodźców w ogóle nie ma. Są. Razem z ludźmi żyjącymi z granicy stanowią okazały tłum. I ten tłum, szczególnie po ukraińskiej stronie, czeka po parę godzin w palącym słońcu. Starsze kobiety zakładają sobie na głowy jakieś gazety, papierowe torby.

Z jakiegoś głośnika w namiocie z pomocą humanitarną leci „Summer Wine” Nancy Sinatry. Do klimatu. W cieniu niedziałającego bankomatu siedzi trzech lokalnych facetów i to wszystko podziwia. Próbowalem wypłacić z niego pieniądze, zapominając, że już pół godziny temu to robiłem i że już wiedziałem, że nie działa. Ale i teraz rozsunęli się uprzejmie. Małe miasteczko handlowe za nimi, przypominające westernowy fort zamieszany głównie przez właścicieli kantorów i sklepów mięsnych, wyglądało na wyschnięte na wiór.

– Kurwa, nie? – powiedział do mnie jeden z tych spod bankomatu, gdy odszedłem i mógł wrócić do cienia.

– Mhm – odpowiedziałem.

Pot nam ściekał z czół.

– Wszyscy zdechniemy w tym upale – powiedział drugi.

– Mhm – odpowiedział pierwszy.

PRZEMYŚL

W barze specjalizującym się w plackach ziemniaczanych przy dworcu jest polsko-ukraińsko. Ukraińcy siedzą tu, wrzuceni w obcokrajową tymczasowość, na walizkach. Czekają na pociąg w głąb Polski. A potem – być może – i dalej: do Niemiec, Holandii, Czech.

Odremonowany, pohabsburski dworzec kipi zmęczonymi ludźmi. A w barze jest całkiem chłodno. Nawet zimno. Klimat na ful. Ale przy stolikach na zewnątrz – tak jakby ktoś gorącą, mokłą szmatą człowieka owinął.

Jakaś rodzina z Ukrainy oznajmia przy barze, że nie chce placków ziemniaczanych będących specjalnością zakładu, bo je zna ze swojego kraju. I że chce żurek. Bo żurek jest polski, a oni chcą poznawać polską kulturę. Dostali i pocą się nad talerzami z kwaśnymi minami. Potem biorą drugie: jednak placki. Wysyłają młodszego syna po polskie piwo, „może będzie lepsze od tego żurku” – mruczą

**Kupuję bilet kobiecie
z Kijowa, starszej, ledwo
chodzi. Od upału ścięło mi
mózg – kupilem na górnej
kuszetce**

między sobą. Młody idzie. Pyta, które piwo lepsze. Przy barze debata: ogólnopolskie czy regionalne. Wygrywa lokalne, bo, jak ogłasza któryś z polskich gości, „godniej trzepie oraz ma walory smakowe, a poza tym jest nasze”. Towarzystwa trochę zaczynają ze sobą rozmawiać. Ukraińcy pokazują Polakom zdjęcia rosyjskich rakiet, które upadły na Wołyń i nie wybuchły. Ale Wołyń to Wołyń.

Polacy, kilku facetów w średnim wieku, pyta o Banderę. Ukraińcy, którzy byli gdzieś ze środkowej Ukrainy, ogłaszają wszem wobec, że mają Banderę gdzieś, a poza tym mają inne problemy. Polacy po namyśle mówią, że „mhm”, ale Ukraińcy zdążyli się trochę wystraszyć: dopijają piwo i wychodzą w upał. Wychodzę za nimi. Pytam, jakoś bełkotliwie, bo słońce mnie od razu ścięło jak brzytwą, czy się przejęli bardzo tym Banderą.

– Ja, błądź, jeszcze do niedawna miałem Banderę za zbrodniarza, a teraz się muszę za niego tłumaczyć – mówi po rosyjsku mężczyzna wyglądający na ojca rodziny.

– Chodźmy już stąd – dodaje jego żona.

Ruszają w kierunku dworca.

– A żurek? – pytam głupawo, ale co zrobić.

– Paskudny. Ale placki dobre. I piwo dobre.

RZESZÓW

Kupuję bilet dla jednej pani z Kijowa. Pani jest starsza i ledwo chodzi, ale z tego upału ścięło mi mózg i kupuję jej miejsce na górnej kuszetce. Orientuję się, gdy odchodzę z kolejki. Wizja starowinki wdrapującej się po drabince jest dość straszna, ale upał stępnia mi również duszę. A kolejka okropna. I coraz większa. Bilety na pociąg do Ukrainy można kupić tylko na dworcach, więc Ukraińcy stoją masą. „Wymieni sobie” – myślę więc z tą stępnioną duszą.

Jakieś panie rozmawiają o „ażurowych sandałach”, w których noga się mniej poci. Ludzie brodzą w rozgrzanym powietrzu jak w ciepłej galarecie. Chcę kupić sobie wodę, ale zniosło mnie do monopolowego. Jakie życie, taki rap. Ochroniarz z pustą, ale wyrobioną kaburą po pistolecie przy pasku kupuje drogą wódkę na prezent.

– Taka, żeby była w szkle, które wygląda jak taka kra z Antarktydy, wie pan – mówi.

– Wiem, oj, wiem – odpowiada rozmazony sprzedawca. Uśmiechają się do siebie błogo, a sprzedawca wygina się pod strumień powietrza płynący z wentylatora czy klimatyzacji. Wszyscy w kolejce się wyginają. Ten ochroniarz bez pistoletu też się wygina. Ja też się wyginam. I tak się wyginamy.

Podkarpacie ledwo zipie pod upalnym niebem i nie ma siły na nic. W jednym z ogródków w starym pogalicyjskim rynku siedzi kilku typków w nacjonalistycznych podkoszulkach.

– Ukraińcy – sapie największy, łysawy, wskazując leniwie podbródkiem w stronę sąsiedniego stolika, przy którym, faktycznie, rozmawia się po ukraińsku.

– Mhm – dobiega znad ciepłego piwa pitego przez pozostałych.

– Ta... – odpowiada ten łysy. – Ukraińcy...

– Mhm.

Wygląda na to, że nikt w Polsce tak naprawdę nie potrzebuje sobie niczego mówić. Bo wszystko przecież zostało powiedziane i wszystko wiemy. Więc po co się męczyć z gadaniem. W tym upale wzmagającym małą stabilizację IV RP.

WARSZAWA

W Młodszej Siostrze, do której chodzi młodzież raczej lewicowa i postępową, aż bucha od rozgrzanego asfaltu wielkiego parkingu, przy którym stoi knajpa. W kolejce do toalety rozmawia się o katastrofie klimatycznej i że to wszystko wina koncertów, bogatych i w ogóle mięsojadów.

– Mhm – odpowiadają ci, którzy słuchają tych, którzy mówią.

W Amatorskiej, gdzie poglądy panują raczej różnorakie, mówi się przy barze o tym, że, owszem, jest gorąco, ale zawsze tak było, i że wcale nie jest bardziej gorąco niż dawniej. A nawet jeśli jest, to nic nie znaczy.

– Mhm – mówią bez przekonania ci, którzy słuchają.

Wracam do domu. Kierowca ubiera z Bangladeszu, Mohamed, śmieje się, że w Bangladeszu tak gorąco jest cały czas, a Polacy narzekają. Etycznie przyznają mu rację, z której jednak niewiele dla mnie wynika pociechy, bo jestem spocony jak pies. Ale przyznaję mu rację, bo przecież ma, kurwa, rację. I choć staram się z całych sił tę moją uprzywilejowaną pozycję docenić, to nie mogę. Po pierwsze – dlatego że moja internetowa bańka uczy mnie, i słusznie, że bym się czuł raczej źle z powodu własnego uprzywilejowania niż dobrze. A po drugie – dlatego że naprawdę jest gorąco. Najpierw odpowiadam pełnymi zdaniami. Ale w miarę, jak się rozkręca, mówię:

– Mhm. Mhm. Mhm.

Ale przez cały czas, aż do końca, wytrwale, przyznaję mu rację. Bo ma rację. A poza tym to on w moim mieście jeździ na uberze, a nie ja jeździłem w Dhace. Więc przyznaję mu rację. Ale się nie cieszę.

DĄBROWA GÓRNICZA

Piątek. Na wsiach udających przedmieścia (i powoli się w nie faktycznie przeistaczających) – grille. I ludzie na rowerach. Ubrani w obcisłe, bo warto mieć styl. Rowerzyści w fachowych ciuchach, na fachowym sprzęcie, spoceni, z bidonami. Wspinają się na pagórki z zaciśniętymi zębami i zastanawiam się, czy im głowy w tym upale zaraz nie pękną.

Kierowcy objeżdżają ich szerokimi łukami, zjeżdżając na lewy pas. Migają poprawnie kierunkowskazami. I jadą kulturalnie, według przepisów. No, prawie. Nowe taryfikatory. Zaraz po tym, jak je wprowadzili, to w ogóle było tak grzecznie w Polsce, że o rany. Teraz trochę przyspieszyli, ale już nie tak. Dokonuje się postęp w ukulturalnianiu ru-

chu kołowego. I wcale nie żartuję. Wszyscy grzecznie stają przed przejściami dla pieszych. Ja razem z nimi.

Mam uchylone okna i klimatyzację. Wiem, że tak się nie powinno, dlatego nie otwarte na oścież. Ale uchylone, bo jednak jakiś wiaterek inny niż ten sztuczny chłodek z klimatyzacji. No i czuję grille. I słyszę kosiarki. Kosiarki grają, aż miło. Przedmieszcia się gentryfikują. I nie, nie będę udawał, że mnie to nie cieszy. Forma, forma przychodzi. W naszym klimacie, w którym, jak słusznie wspomniał Mohammed z Dhaki, upały trwają, co prawda, kilka miesięcy, przez większość czasu panuje jednak stonowana paleta kolorów, która sprawia, że rozwłóczenie nie wygląda tak atrakcyjnie, jak – jak to mówią – w tropikalnym słońcu, to rzecz ważna. Zrozumieli to Niemcy, już dawno temu, dlatego wybudowali sobie miasta jak z gotyckiego horroru. I nam trochę też przy okazji. To ma sens, bo to pasuje do jesieni i zimy. Ale teraz jest upał i nawet Dąbrowa dobrze wygląda.

Ale Dąbrowa nabiera formy. Wygląda w sumie nadal jak z horroru trochę, być może niekoniecznie gotyckiego, ale podoba mi się coraz bardziej. Kiedyś wyglądała jak skumulowana polskość przełomu XX i XXI wieku, taka, która zgęściła się w czarną dziurę, a potem rozwłóczyła się po całej tej dąbrowieckiej przestrzeni, po całym mieście, i to też było swoiście piękne, ale jednak było to mocno perwersyjne piękno. We wszystkim można znaleźć piękno. Perwersyjne czy nie. Amerykanie tak zmitologizowali swoją nijką przestrzeń, że teraz każdemu wydaje się piękna, tak mocno osadzona jest w popkulturze i amerykańskim stylu życia.

No ale Dąbrowa wygląda coraz porządniej. Nie, że nie ma chaosu, sztyldozy i kolorozy: jest, ale coraz mniej. I jakoś tak ogólnie jest zacniej. Na podwórzach i na chodnikach. I kto wie, czy to uładzanie nie przekroczyło już linii krytycznej. Ludzie leżą na

kocach i na leżakach. Coś tam pichcą przy grillach. Czuć podmiejską sielankę. Jestem jakoś dziwnie optymistyczny w tym upale. Ale może to przez klimatyzację. I przez uchylone okno. Ale nawet łabądk i oporny pomalowanej na białe, które sterczały przed jednym z domów w Błędowie, ktoś usunął. W sumie szkoda. Tak. Szkoda.

W sklepie przy głównej drodze niekończących się przedmiesieć ujarane towarzystwo kupuje lekkie piwa smakowe. Jeden to nawet zero alko. O proszę. Przetawieni z najełki na zjarkę. Starsze chłopaki za nimi idą jednak bardziej w wódkę. Kręcę się po sklepie, szukam wody średniogazowanej. Woda średniogazowana to cud nad cudami. Wchodzi kilka osób: dwóch panów w świeżych koszulkach wetkniętych w odprasowane dżinsy, pani w całym fajnej koszuli, wszyscy późna czterdziestka/wczesna pięćdziesiątka. Jeden kupuje rum.

Zachód słońca nad centrum handlowym Pogoria. Ślicznie. Zachodzi nad Obi. Grzbiety samochodów błyszczą, klientom równym krokiem wychodzącym z centrum handlowego do aut na parkingu płonie wzrok. Niosą torby i pakunki. Ale nadal duszno i klimat taki, że niebo się zaraz rozewrze i lunie na nas całym morzem. A przy okazji też gadem i piorunami. Tak pisali dzisiaj w raporcie RCB.

Ściszonym i zmęczonym głosem ze swoimi dziećmi rozmawiają Ukraińcy. Dzieci nie rozumieją wdrukowanych ze starego doświadczenia i lekkiej paranoi obaw rodziców i krzyczą głośno, że chcą to czy to.

– Mhm – mówią pocący się rodzice. Potem wchodzi do klimatyzowanego centrum i odżywają. Nowe centra miast. Klimatyzowane mikrokosmosy. Nie ma już „wasze kamienice, nasze ulice”. Wasze biurowce, wasze centra handlowe, ale centra handlowe też trochę nasze. A ulice – cóż. Zło konieczne, zresztą jest coraz lepiej. Jakoś to będzie.

Przy lodach w kawiarni utkniętej między butikami siedzą dwie panie.

– Ten PiS to już w ogóle nie ma wstydu – mówi jedna znudzonym głosem i tak, jakby odprawiała jakiś znany do usrania i żmudny rytuał.

– Mhm – mówi równie znudzonym głosem druga.

WIEŚ W MAŁOPOLSCE

Dwa domy, obok impreza. U sąsiada, co pracuje w mieście. Kto teraz zresztą nie pracuje w mieście. Dwadzieścia lat temu tu były krowy, świni i kury. I błoto, i przetarta trawa na podwórzu zasnana przez kury, psa i koty. Teraz sady i trawa. U sąsiadów też. Sąsiad poszedł w gastronomię w mieście obok i nieźle sobie radzi. I nawet spoko muzyka. Najpierw ogólnoswiatowe hity, typu Radio Pogoda, ale trochę nastawione na disco z ejtisów i lekki rock/pop. Potem trochę disco polo, ale takiego nieco już z tradycją: „hej, z kamienia na kamień, hej, przeskakuje srocka”. Ludzie się ożywiają. Śmiechy, głosy.

Popadało wczoraj, ale dziś znów duszno. Piękne niebo nad lasem widać z okna na strychu. Słońce już zaszło, ale luna jeszcze wylazi nad drzewa i pnie się, jak dym, do góry. Ładnie się komponuje ze skajlajnem Huty Katowice.

Przed południem następnego dnia ludzie idą w upale szosą do kościoła. Już nie tyłu, co dawniej. Nie tyłu. Samochody przy ulicy już nie stoją: ksiądz zrobił dwa parkingi. Jeden pod kościołem, drugi na kościelnej łące naprzeciwko. Z rozpędu postawił kamień poświęcony Popieluszcze. Radiomaryjne hasło wisi nad bramą. Przed kościołem stoją ludzie. Trochę uczestniczą, trochę gadają. Im dalej od kościoła – tym mniej uczestniczą. Jak było na początku, teraz i zawsze, ale teraz jakoś jednak mniej ich tu wszystkich, przed kościołem. I nie dlatego ich mniej

przed kościołem, bo są w środku kościoła. Nie, nie weszli do kościoła, bo w kościele chłodniej. Nie. Może i chłodniej, ale i nudniej. A poza tym lokalny ksiądz raczej uchodzi za nawiedzonego. Po prostu ich mniej. Więc może i było na początku i jeszcze jakoś jest teraz, ale czy zawsze i czy na wieki wieków, amen – to się zobaczy.

W poniedziałek ludzie czekają w upale na autobus albo busik. Spoceni, zgrzani i zmęczeni na śmierć jeszcze przed pracą kryją się przed słońcem pod wiatą przystanku, ale ta – jak przystało na porządną wiatę w Polsce powiatowej – sama jest nagrzana i parzy. Więc stoją, topią się jak serki Hochland i czekają na jeden z łaskawie pozostawionych przez transformację środków transportu publicznego. Do wsi zajeżdżają od strony Olkusa wojskowe ciężarówki. Nie tylko polskie. Natowskie. Niedaleko jest poligon. Wychodzą w ten upał żołnierze. Z różnych krajów, i niejedno już wieś widziała. Amerykanie, Belgowie, kogo tylko chcesz.

– Dziś jacy przyjechali? – pyta starsza już pani (ale jeszcze w wieku przedemerytalnym) omdlewająca pod rozgrzaną wiatą.

– Nasi? Amerykanie?

– Mhm – odpowiada jej inna pani.

DROGA KRAJOWA 94

Podjeżdżam. Facet z obsługi w stacyjnym wdzianku odrywa się od dystrybutora stojącego w cieniu, o którego był wygodnie oparty.

– Dziewięćdziesiątka piątka? Czy to diesel? Do pełna?

– Do pełna to teraz luksus – śmieję się.

– Sam ogarnę, dziękuję bardzo – mówię. Wraca pod dystrybutor.

Patrzę na migające cyferki. Klnę.

– Mhm – mruczy facet od dystrybutora.

– I nie myśl se, pan, że będzie lepiej. ●



POLSKIE CODZIENNE ZBÓJNICTWO

Krów w moim końcu wsi jest zaledwie kilka, a profesorów zwyczajnych – trzech.

FOT. MARCIN KUCEWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Z **PROF. ROCHEM SULIMĄ***, AUTOREM KSIĄŻKI „POWIDOKI CODZIENNOŚCI. OBYCZAJOWOŚĆ POLAKÓW NA PROGU XXI WIEKU”, ROZMAWIAŁA **VIOLETTA SZOSTAK**

ROCH SULIMA: Przy tym oknie miałem stanowisko, z którego obserwowałem lokalne libacje alkoholowe.

To jest to słynne okno? Mogę spojrzeć?

– Tam za drzewami był pawilon, a tam jest skrzyżowanie, stałe punkty, wokół których krążyli uczestnicy.

„Godz. 10.50 trzech powracają do bloku. Jeden się ociąga. Około godz. 11 ponowne wyjście. Przekraczają ulicę, zatrzymują się przed wejściem do sklepu. Stoją pod zadaszoną ścianą sklepu, przez szybę penetrują stoisko z alkoholem”. Fascynująca jest dokładność, z jaką pan prowadził swoje obserwacje.

– Bo fascynująca była regularność tego żywiołu inspirowanego procentami alkoholowymi. Codziennie, prawie o stałych porach, z wyjątkiem niedziel i świąt.

A wie pani, że moja „Semantyka libacji alkoholowej” weszła do kanonu tekstów polskiego kulturoznawstwa? (uśmiech).

W alkoholowym spotkaniu pod sklepem na Saskiej Kępie zobaczył pan „wymiar obrzędowy i rytualny”, „komunię składkowego wina”, enklawę wolności w świecie poddanym terrorowi reklamy i porządku. Czy nie mitologizował pan alkoholizmu?

– W tym alkoholizmie, który jest niewątpliwie potężną w polskiej tradycji subkulturą, tkwimy mentalnie jak w jakimś obłąkańczym tańcu. Jest to nasz wielki narodowy performance. Słowa i obrazy kierują działaniami. Alkohol, o którym tak często mówimy, tak często go widzimy, choćby w reklamie, ostatecznie zostaje wypity. Dziś na Polaka przypada średnio blisko 10 litrów czystego spirytusu rocznie.

Nikt chyba nie odważy się ułożyć rankingu najsławniejszych pijaków, jak to uczynił w połowie XVIII w. pleban rzezycki ks. Jędrzej Kitowicz w „Opisie obyczajów za panowania Augusta III”. Zapewne nie podjąłby się tego dziś nawet żaden arcybiskup, a nie tylko proboszcz. Pozwolę sobie w skrócie zacytować, zachowując język Kitowicza: „Z między wszystkich pijaków, w których poczet można było rachować każdego pana i szlachcica w różnej stopniów pijackich doskonałości, celowali w tym kunszcie osobliwszymi przymiotami trzej w Koronie i jeden na Litwie. Najpierwszy był Janusz książę Sanguszko, ordynat ostro-gski”. „Drugi, Borejko, kasztelan zawichostski”, który założył „klasztor pijacki” i porywał do niego ludzi z gościńca. „Trzeci Adam Małachowski, krajczy koronny, tego można nazwać zabójcą ludzkiego zdrowia”. „Czwarty pijak, z natury mało się różniący od szalonego, a po pijanu wcale szalony – Karol książę Radzi-



will, wojewoda wileński”. Tak m.in. wyglądała niegdyś polska kultura próżnowania „na pokaz”.

Alkohol traci rolę wykładnika różnic społecznych, nad czym boleją dziś ludzie potransformacyjnego sukcesu. Zdemonkratyzowało się plebejskie niegdyś piwo.

A czy tamte pana obserwacje były tylko z okna, czy też uczestniczące?

„Kładłem się za skarpą i podśluchiwałem dźwięków alkoholowej libacji”

– Miałem dobry dostęp, bo znałem nauczyciela, który stoczył się do tych „napowietrznych grup alkoholowych”. Wprowadzał mnie, więc byłem swój.

W mojej profesji jednak bardzo łatwo byłoby podpaść, stracić wiarygodność. Gdy robiłem badania kultury robotników, spawacz z Huty Warszawa miał mi zorganizować brygadę ze stalowni. Zjawiamy się z nim w hucie, idziemy w zacienione miejsce, a tam stoją trzy słoje ogórków i kratówka wódki. Poprosiłem o inną brygadę, ale tej już nie dało się skompletować.

W biogramie w nowej książce „Powidoki codzienności. Obyczajowość Polaków na progu XXI wieku” przedstawia się pan: „Lubi dalekie podróże i smak domowej nalewki”.

– Nalewka to materialne dziedzictwo polskiego domu, obrosło mitologiami i rytuałami, stało się także dziedzictwem niematerialnym. Z dalekiej podróży wraca się nie tylko do domu realnego.

Parę osób stwierdziło, że jeszcze nie czytało notki biograficznej, w której ktoś tak się zadeklarował. Ale gdy na moim jubileuszu w Instytucie Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego koledyz wygłaszali oracje, to jeden z laudatorów stwierdził z wyrzutem: „Nie chodził z nami po knajpach”. Mój ojciec wypił trzy kieliszki wódki w życiu, po jednym na trzech weselach swoich synów. Natomiast prapradziadkowie... wypili być może za przeszłe i przyszłe pokolenia. Jeden z nich ponoć złotymi rublami rzucał w karczmie, ale ileż to razy wieść gminna głosiła o takich incydentach. Ten wątek „gorzałczany” mieści się w kręgu „niskich” stylów kultury, o których w „Powidokach” często napomykam.

W nowej książce przypomina pan, że za wydaną w 2000 roku „Antropologię codzienności” – do której włączył pan m.in. ów legendarny już dziś tekst o libacji – spotkało pana najpierw coś w rodzaj hejtu.

– Niektórzy zacierali ręce, że wreszcie mu dopieprzyli w internecie. Po niedługim czasie jednak okazało się, że „piszę jak Janion”, „jak Bauman”, a w końcu „jak Platon”, co było horrendalnym medialnym nadużyciem!

A ten hejt na początku był z jakiego powodu? Że pan profesor wchodzi w tak niskie sfery?

– Coś takiego właśnie. Że to nie przystoi badaczowi, że to jest do niczego niepodobne.

Nie tylko pijący pod sklepem pana zainteresowali, ale też śmieci, napisy na murach, ogródki działkowe, samochód marki Syrena. Był pan w tym badaniu

codzienności „partyzantem” w polskiej nauce – jak sam pan to ujmuje. Skąd panu się to właściwie wzięło?

– Sam się zdziwiłem, jak to stało się, że zająłem się codziennością. W gruncie rzeczy to wina moich studentów, jeszcze wtedy z Katedry Kultury Polskiej na UW. Była druga połowa lat 70. Nie cierpiałem za jeść w sali, a studenci mocno optowali za wychodzeniem na ulice. Najbardziej eks-

cytujące były eksploracje Powiśla i Pragi, znacznie mniej – spacerów badawcze po Krakowskim Przedmieściu, a i te się przydały, gdyż studenci z wyższych lat studentów zauważyli dopiero wtedy, że na bramie uniwersyteckiej jest napis „Uniwersytet”.

Zawsze chodziliśmy bliżej śmietników niż pomników.

Co w śmietnikach ciekawego?

– Śmietnik jest czymś w rodzaju „zaświatów”. Na śmietnik wędrują rzeczy, które były nasze, z którymi się żyliśmy. To okruchy naszej biografii, które spotykają się tam z pokruszonymi biografiami innych ludzi. To rezerwuuar znaków ludzkiej pamięci, krzywe zwierciadło kultury.

Śmiecie wtargnęły do kultury. Zadziewiające, jak wiele metafor do nich się dziś odwołuje. Ale budzą też apokaliptyczne lęki. Śmietniska narastają gdzieś tam na peryferiach i możemy spodziewać się z ich strony jakiegoś podstępного ataku, podobnie jak – jeszcze chwilowo odłożonego – ataku sztucznej inteligencji.

W tamtych naszych wędrownkach ze studentami chodziliśmy ulicą Wileńską na warszawskiej Pradze, wchodziiliśmy w te fantastyczne bramy. Studenci to skrupulatnie dokumentowali. Często mieszkańcy rzucali w nas bombami wodnymi, czyli napełnionymi wodą torbami foliowymi, mokrymi gąbkami, jajami. Raz kobieta nas zwyzywała: „A wypierdalać, co wy chcecie swoje kamienice nam odebrać?!”. Innym razem, chyba na ulicy Kijowskiej, wchodzimy w bramę, stoi trzech osiłków z piwem w ręku: „Czego tu?”. Więc ja, dla dobra sprawy: „Prowadzę wieczekę z poprawczaka”. „A to my wam tu wszystko pokażemy!”. Nawiązaliśmy dobre kontakty.

Jeszcze innym razem widzę na Powiślu kobietę w oknie, która między dwiema paprotkami siedzi, a zapewne nie siedzi, tylko musiała sobie postawić stoleczek i klęczy na nim, pewnie jeszcze sobie poduszeczkę podłożyła, żeby było miękko. Patrzy. Dyskretnie wskazałem na tę kobietę.

A co w niej takiego ciekawego?

– Uświadomiłem studentom, że my sami nie jesteśmy niewinnymi przechodniami, że nawet maskujących się obserwatorów też ktoś może obserwować.

I gdy tak sobie wędrowaliśmy po warszawskich ulicach i podwórkach, uświadomiłem sobie, że coś takiego jak codzienność istnieje. I że ona – jako pewien sposób życia – wyłania się niekoniecznie jako przeciwieństwo święta.

Codziennność, czyli co?

– A właśnie! Bardzo trudne pytanie. Jak jeszcze uczyłem się w szkole i przyjeżdżałem na wakacje do domu na wieś,

przychodził sąsiad i pytał: „Ty tam jesteś w tych szkołach, to powiedz, co to jest ten prund”.

W jakich szkołach pan był wtedy?

– W technikum w Radomiu, a na wakacje wracałem do Chwałowic pod Ilżą. I teraz odpowiedz człowiekowi, który ma trzy klasy, że prąd to jest różnica potencjałów. Podobnie jest z pytaniem o codzienność.

Ale niech pan spróbuje.

– Codzienność dostrzegłem dopiero w mieście. Na prowincji codzienności nie było widać. Znakomicie oddaje to tytuł najnowszej książki Tomasza S. Markiewski „Nic się nie działo. Historia życia mojej babki”. Tam się po prostu „było”. Codzienność to był, prawie ciągle ten sam, zestaw koniecznych zadań do wykonania, a nie coś do namysłu. W języku polskim „codzienność” długo w ogóle nie istniała. Nie używało się tego słowa. W słowniku Lindego – wydanym na początku XIX wieku – słowo „codzienny” miało znaczenie analogiczne do „caloroczny”, „cotygodniowy”, nie wpisywała się w nie żadna treść egzystencjalna. Słowo „codzienność” pojawiło na dobre dopiero w latach 70. XX wieku i była to codzienność zazwyczaj szara. W potocznych rozmowach ta szara codzienność była potrzebna co najwyżej do narzekania na nią.

Polska mentalność ma zresztą bardzo ugruntowane pasmo sprawczości językowej, którą jest narzekanie. To rodzaj ucieczki od bezradności. Strategia obronna. Istnieje coś, co nami kieruje, jakaś najwyższa instancja, i to właśnie za jej sprawą nie zostałem dyrektorem czy też ostatni bilet ktoś przede mną wykupił. Narzekając, chronię się w to, co jest niedefiniowalne, na co nie mam wpływu. Dziś znacznie mniej narzekamy na wyroki losu, a coraz częściej na polityków. Z imienia i nazwiska! Narzekanie to jest też rodzaj oporu, jaki polska mentalność stawia procesom modernizacyjnym.

Pan mówi teraz o codzienności w czasie przeszłym „była”. Co się z nią stało?

– Pokażę pani.

(Prof. Roch Sulima idzie do kuchni, wraca z reklamówką.)

– Przychodzi moja żona z Biedronki i przynosi torbę z napisem: „Więcej świeżości w codzienności”. Ludzie słyszą w radiu i widzą w telewizji, że „kręci nas codzienność”. Zapanowała moda na codzienność. Fala popkulturowa przyniosła tę modę: zobaczyć coś pożądanego

Ale ludzie tak mówią. Słucham ich uważnie. Błędy językowe są społeczną przypadłością, interesują antropologa. Dlatego krzątam się na granicy błędów i normy poprawnej polszczyzny. Jestem członkiem Rady Języka Polskiego przy PAN i pewnie kiedyś mnie wyrzucą, bo głosząc takie herezje.

Codziennność znika – pisze pan teraz.

Co to znaczy?

– Znika pewien typ codzienności. Ta forma, która nie była poddana impulsom kultury konsumpcyjnej, nie była przez nią zaprogramowana.

Codziennność znika, ponieważ wszystkie codzienne rzeczy i czynności mają stać się niecodzienne. Na każdym kroku pojawiają się rynkowe impulsy i techniczne wsporniki niecodziennej egzystencji.

Niektórzy moi koledzy pisali poradniki „jak żyć”, bardzo mnie to ambarasowało. Nie czytałem ich i nie wiem, czy było tam coś np. o wydalaniu, jakie są ponowoczesne scenariusze tej podstawowej czynności. Ale weźmy spanie. Ile jest scenariuszy na dobry sen! Nie mówiąc już o całej medycznej sferze, bo nastąpiła medykalizacja snu. Albo kuchnia – w mieście stała się dziś salonem.

Kiedyś nie wpuszczało się tam gości.

– Ale wpuszczano tych z nami najbardziej żytych. Teraz to miejsce celebracji. Przygotowywanie posiłków stało się celebrą. Studenci piszą prace o wyglądzie posiłków, bo taka jest waga zjawiska. A te wszystkie reżimy dietetyczne, higieniczne? Jak to nas wyrzuciło z dawnej codzienności! Mój syn ma cały program, który liczy dla niego kalorie.

Kiedyś po prostu spaliśmy, jedliśmy? Albo po prostu chodziliśmy, a teraz liczymy kroki?

– Parametryzacja wszystkiego. Nawet ja sobie to zainstalowałem, a właściwie zainstalowała mi żona, która otrzymuje nawet głosowe pochwały, że „osiągnęła cel”.

Znam to. Nie tak łatwo jest w życiu osiągnąć cel, a z krokomierzem mamy tę możliwość codziennie.

– Tym właśnie się żywi „niecodzienna codzienność” – to sformułowanie biorę od Baumana.

W wielu sferach zaczynają dziś znikać elementarne dawniej obowiązki, odwieczne powinności, które decydowa-

„Śmietniska budzą w nas strach, spodziewamy się podstępного ataku, podobnie jak ataku sztucznej inteligencji”

w tym, w czym musimy być, co jest normalne i konieczne.

Codziennie zakupy w dyskoncie jako barwna przygoda?

– Dzień codzienny posypyany karnawałowymi konfetti. „Dzień codzienny” – językozawczy słusznie powiedzą, że to karygodny błąd logiczny, niepoprawne wyrażenie.

ly o tym, jak wyglądał najbardziej podstawowy poziom życia. Wiele żmudnych czynności, składających się wcześniej na codzienność, możemy sobie dziś kontraktować, wykorzystać ich sztuczne „zamienniki”, a tych oferta jest ogromna.

Na przykład sprzątanie – kiedyś było czymś codziennym, żmudnym, a sprzątanie generalne, np. świą-



teczne, było rytualnym odnowieniem świata, włączało nas w kosmiczne rytmy.

Już nie jest czymś żmudnym?

– Teraz sprowadzam ekipę, która mi posprząta.

Jak kogoś stać, to sprowadza. Większość chyba ciągle sprząta sama. Choć faktycznie w reklamie te wszystkie środki do czyszczenia obiecują magiczne doznania przy czyszczeniu toalety.

– Już nie jesteśmy zanurzeni w codzienności, coraz częściej unosimy się nad nią. Język, opowieść o codzienności, jaką nam się sprzedaje, na to pozwala, choć rzeczy ciągle stawiają opór. Wtedy właśnie ją dostrzegamy.

Codziennność jest nową religią – pisze pan. I mówi o „powrocie człowieka religijnego”. Proszę wytłumaczyć.

– Dochodzi do ponownego zaczarowania świata. Świat ma być piękny, pełen dobrych emocji, satysfakcjonujących projektów jutra – „jutro już dzisiaj!”. Nawet poczucie niepewności nie jest ubrane w czarne barwy. To kreacja światów baśniowych za pomocą wyrafinowanych praktyk kapitalistycznego porządku. Te wszystkie atrakcje skalkulowane są przez kapitalizm. To jest wszystko do kupienia. Figury kapitalistycznego świata bywają ubrane w kostiumy baśniowe.

Kiedyś wszystko zależało od bogów, od Boga, losu. Na Słowiańszczyźnie, w światopoglądach potocznych, w folklorze, mocno ważyła koncepcja „Doli-Łosu”. Ten spersonifikowany los w zasadzie rozstrzygał o naszej egzystencji. Dołą/Niedolę można było spotkać na gościńcu.

W społeczeństwach nowoczesnych doszło do odczarowania świata. A teraz ponownie jakbyśmy bali się samostanowienia o sobie. Media, które wtopiły nas w swoje systemy, walnie nam w tym pomagają.

To forma azylu, ucieczki. Ukrycie się przed wyzwaniem życia „podług wartości”. Nazywam to „upadkiem w codzienność”, upadkiem pośród pięknych dekoracji, które ustawia nam każdego dnia popkultura.

Mamy wojnę tuż obok. Ona nie zmieniła naszego podejścia do codzienności?

– W Polsce wojna bezpośrednio nas jeszcze nie dotyka, wprawdzie mamy ludzi z Ukrainy i znamy bagaż ich doświadczeń, ale to jeszcze jest jakby za ścianą. Zmieniły się jednak nasze codzienne strategie. Teraz piwnica, lodówka i skład na opał mają większe niż dawniej znaczenie. Dostępność towarów w sklepie jest czymś, o czym myślimy, że może to być tylko oferta sezonowa. Istnieją lęki wojenne, które nie wyrażają się może wprost w deklaracjach, ale na poziomie praktykowania codzienności – są widoczne, nawet jako echo tego, co dzieje się w Ukrainie.

Wojna naruszyła jednoznaczność „codzienności niecodziennej”. Pokazała, że to tylko pewna kreacja, która może być zniweczona. Że te nasze zabawy w piękne życie wśród reklam i ofert mogą być tylko zabawami właśnie. Że należy docenić elementarny wymiar świata.

W pandemii to też było bardzo widoczne. Codziennność pandemiczna zepchnęła nas do elementarnych sposobów życia. Ważne było, żeby cokolwiek mieć w lodówce, ale już niekoniecznie w ładnych opakowaniach.

Czy rzeczywiście tak dużo się zmieniło? Na początku wojny był szok, jednak nawet wtedy reklamy leciały jak przedtem, a w mediach społecznościowych obrazy tego, jak ładnie żyjemy, też szybko wróciły do obiegu.

– Muszę powiedzieć, że byłem zdumiony, bo kiedy wojna wybuchła, to akurat

wychodziła moja książka i przygotowałem się na to, że ona przepadnie. Myślałem: „Jak z taką książką w takim czasie się pokazywać?!”. Przez tydzień po wybuchu wojny obserwowałem, że nie pojawiały się zapowiedzi żadnych nowości książkowych. Tydzień! A potem zaczynało wszystko wracać do normy i teraz mamy festiwale i targi książki.

I jak pan to odbiera?

– Istota polega na tym, że musimy nieustannie praktykować „solidarność z ży-

„Jestem członkiem Rady Języka Polskiego i pewnie kiedyś mnie wyrzucą, bo głoszę takie herezje”

ciem” – to termin Znanięckiego – i ogłaszać tę solidarność z życiem jako ideę na przyszłość.

A złudzenia, utopie to też potężne mechanizmy rozwoju, wcale nie mniej ważne niż tzw. fakty, bo te są zawsze czyjeś, nawet niewzruszone zdawałoby się dąty bitew. Nie zdajemy sobie sprawy, jakimi złudzeniami się ludzkość kierowała, żeby dojść do tego, do czego doszła – tu mam na myśli pozytywne osiągnięcia. Chętnie napisałbym pracę o potrzebie złudzeń, o potrzebie marzeń. Złudzenia pokazują świat możliwości, a nie świat konieczności.

Na plaży po staremu wylegamy tłumnie. Pan plażowiczów też podglądał. Skojarzyli się panu z pielgrzymami w Fatimie. Dlaczego?

– Zajeżdżamy z żoną do Fatimy: kramy, kicze, kramy, kicze. Ale już chyba przy piątym kramie zaczęły nam się te kicze podobać, przywieźliśmy nawet jakieś figurki. A potem doświadczyliśmy tego samego w Ustce, kiedy między kramami szliśmy w stronę morza. I pojawiło mi się to skojarzenie, które wydaje się trafne także w innych wymiarach. Bo przecież plaża to nie robota, to rodzaj innego czasu, w który się zanurzamy i do którego trzeba się przygotować, nastawić się na inne nastroje. Tak jak do wejścia do sanktuarium. Są pewne powtarzalne zachowania, rytuały celebracji. Na plaży celebруемy bożka pięknej pogody.

Wakacje nad morzem to było kiedyś świętokradztwo?

– Dla ludzi ze wsi. Sam tego w rozmowach doświadczałem. „O, na wczasy gdzie, jakby tu roboty nie było, co to za syn”. Latem jechało się na żniwa, „a ten nad morze se pojechał”. Ale dla ludzi „z interioru” to było odkrycie morza, wręcz innej „strony świata”. Oni nigdy morza nie widzieli. Dla ludzi ze wsi wyjazd nad morze to było coś takiego jak dokonywanie odkryć geograficznych.

Pan tłumaczy też, dlaczego na plaży budujemy grajdół, otaczamy się parawanami, że to pozostałość pierwotnej ludzkiej potrzeby zamieszkiwania, osławiania przestrzeni.

– Gdy nie ma trwałej organizacji przestrzeni, próbujemy sami zbudować enklawę osobności. Ale grajdół to szara codzienność plaży, która już znika. Pla-

ża staje się dziś technologią, pełną udogodnień i urządzeń do konsumpcji wypoczynku.

(Z mieszkania piętro wyżej dochodzi dźwięk wiertarki.)

O! Sobota w bloku... To jest jeszcze do opisanie, bardzo ważna rzecz: dźwiękowość codzienności.

Ale w ostatniej książce pan deklaruje, że już żegna się z codziennością, domyka za nią drzwi, nie będzie jej więcej tropił.

– Bo wszędzie już jest ta codzienność, wszyscy się nią zajmują. Nie idę tam, gdzie idą wszyscy, bo wtedy dochodzi się tam, gdzie wszyscy.

To gdzie się pan teraz wybiera?

– Chciałbym jeszcze napisać o tym kolejnym zainteresowaniu się „ludem”, wsią. Zaczyna to być modne. Znaleźliśmy sobie chłopca, trochę tak jak kiedyś „dobrego dzikusa”. „Obcość” pod swoją strzechą. Zachodzi tu istotna zmiana, widać to szczególnie w książce Kacpra Poblöckiego „Chamstwo”, ale w wymiarze historycznym bywa to powtórzeniem starego gestu kulturowego.

Okazuje się, że jako zadeklarowany prowincjusz jestem teraz na fali. Jestem nadal członkiem Rady Naukowej Instytutu Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN, skąd mam wiarygodne dane o sytuacji wsi czy, szerzej, prowincji. Zdecydowana większość Polaków chciałaby się wynieść na wieś. Ostatni spis powszechny pokazuje, że z miast ubyło ponad 600 tys. ludzi, natomiast na wsi przybyło 180 tys. To ruch w drugą stronę, bo wcześniej się ze wsi uciekało. Ja chciałem jak najszybciej uciec. A dziś prowincja jawi się jako kraina szczęścia. Utopijna kraina możliwości, a nie konieczności. Ludzie grubo się mylą. Na wsi można mieć sąsiada, za sprawą którego lepiej się już kierować w stronę cmentarza niż do jego furtki.

Rozmawiamy teraz w pana dawnym mieszkaniu w bloku na Saskiej Kępie – tu jednak bywa pan już tylko od święta.

– Wróciłem w okolice mojej rodzinnej wsi już 16 lat temu. Bo nie mogłem wydzierżyć w warszawskiej bańce. Jestem z tego zadowolony. Ale zastanawiam się, czy i ja również nie wpisałem się w modę.

Codziennność na pana wsi jaka teraz jest?

– Ostatnie konie wybyły stąd w 2010 roku. Pamiętam, bo przyjechał fotoreporter z „Polityki”, żeby zrobić mi zdjęcie w polu, i szukał zwierzęcia, żeby mnie przy nim sfotografować. Znalazł jeszcze konie, ale wkrótce już ich nie było. Krów w moim końcu wsi jest zaledwie kilka, a profesorów zwyczajnych – trzech. Mleko trzeba kupić w sklepie, w którym chleb bywa na zapisy. Chleba na wsi nie piecze się od dziesięcioleci, chyba że gdzieś na fali nowej mody.

Chleb to teraz pieką miastowi.

– Ktoś ostatnio tak zażartował: „Co, był pan w Warszawie po chleb chłopski?”. Właśnie dziś żona kupiła taki w sklepie na Saskiej Kępie, zabierzemy go na wieś.

Chleba nie pieczemy, ale robimy inne rzeczy. Mamy piwnicę wielką, chciałem ją zawalić, gdy przerabiałem stare wiejskie obejście, całe szczęście, że tego nie zrobiłem!

A co pan ma w tej piwnicy?

– Zaraz kierowniczkę poproszę, ona opowie... Jola!

(Dołącza żona Rocha Sulimy.)

R.: – Pani pyta, co mamy w piwnicy?

J.: – Wszystko. Bo uprawiamy pomidory, ogórki, cukinię, marchew, fasolkę, rzodkiewkę, ze trzy odmiany sałaty, koper, buraki, dynie, czasem kalarepę... Robimy przeciery pomidorowe, marchewkę w kostkach, buraki ćwikłowe, sok z porzeczki, sok z malin, nalewkę z aronii, z winogrona.

R.: – Zięć przyjechał, zobaczyl: „O, wy to macie zaopatrzenie na parę kadencji PiS-u”.

Pani też chciała na wieś czy mąż namówił?

R.: – Moja żona to mieszcza.

J.: – Sytuacja była taka, że mieliśmy domek na Mazurach.

R.: – Własnoręcznie zresztą zbudowany.

J.: – Ale zrobiło się tam wkoło ciasno, głośno, balangowo. Libacje alkoholowe często się tam odbywały, myśmy nie sprościli temu. Po godzinie było: „Roch gdzieś zginął”.

R.: – Tam była taka skarpa, polegiwałem za nią, słuchałem dźwięków tej libacji.

J.: – Nasz znajomy powiedział, że w Małomierzycach blisko 11ty jest gospodarstwo rolne do kupienia. Zajechalismy, stara chałupa, noga mi wpadła w podłogę, pokrzywy takie, że nic nie widać. Przedarłam się, wyszłam na pole, i to było moje miejsce...

R.: – Gdy przyjeżdżamy teraz do Warszawy, to najchętniej zaraz uciekamy.

A jak pan przyjeżdża, to obserwuje pan jeszcze tu napowietrzne libacje alkoholowe?

– Ja tu ich już nie widzę.

Za elegancka się pewnie zrobiła Saska Kępa. A na wsi?

– Na wsi samogon jest w cenie. Przed weselami, świętami jest produkcja.

J.: – I pije się w pobliżu sklepu. Kiedyś przejeżdżaliśmy i nie było tam żadnej grupy napowietrznej, to się zdziwiliśmy.

R.: – Okazało się, że zmienił się właściciel sklepu i przez jakiś czas nie było alkoholu.

Zaproponował pan, by na listę UNESCO polskiego dziedzictwa kulturowego wpisać bimbrownictwo i zbójnictwo – wspomina pan o tym w książce. Naprawdę wyrzucili pana za to z ministerialnej komisji?

– Głosiłem to ostentacyjnie w kuluarach i już mnie drugi raz nie zaprosili. Wyrzucano mnie z różnych gremiów. Klęska dla mnie jest czymś mobilizującym, a szczególnie zobowiązuje formuła: „sam na sam z klęską”. Żadna już mnie nie zaskoczy. ●

Prof. Roch Sulima

• ur. w 1942 r. we wsi Lipa-Miklas. Polonista, kulturoznawca, antropolog, historyk kultury, folklorysta. Jego najnowsza książka „Powidoki codzienności. Obyczajowość Polaków na progu XXI wieku” ukazała się w wydawnictwie Iskry. Mieszka w Małomierzycach pod 11zą. Lubi dalekie podróże i smak domowej nalewki

HOMO OCHILEWUS

Ewolucja przymyka oko na nasze przyjemności, o ile płodzimy na boku dzieci i nie przesadzamy z obżarstwem

Jarek Gryz*

Lubimy tłuste pączki, masturbację i alkohol (niekoniecznie w tej kolejności). Lubimy to, bo wykiwaaliśmy naturę. Ewolucja wynagradza nas przyjemnością za to, że realizujemy jej cele, czyli przedłużamy gatunek (seks) albo utrzymujemy się przy życiu (pożywienie), ale potrafilismy zatrzymać przyjemności, ignorując cele. Ewolucja przymyka na to oko, o ile płodzimy na boku dzieci i nie przesadzamy z obżarstwem. Ale z alkoholem jest kłopot. Jest toksyczny i nasz organizm musi sporo się napracować, by go wydalic. Niszczy wątrobę, komórki mózgowe, prowadzi do społecznie szkodliwych zachowań, takich jak wyznania dożgonnej miłości czy chóralne śpiewy na głosy. Nie mówiąc o kacu. Z ewolucyjnego punktu widzenia picie alkoholu nie ma sensu.

A mimo to ludzie poświęcają ogromnie dużo czasu i wysiłku, żeby znaleźć sposób na to, jak się upić – od kilku tysięcy lat w każdej znanej nam społeczności na Ziemi (tam, gdzie alkoholu nie odkryto, używa się innych środków odurzających). Bodaj najstarszy dokument literacki, „Gilgamesz”, opisuje historię dzikiego Enkidu, który stał się człowiekiem dopiero po wypiciu siedmiu kufli piwa (i tygodniu seksu). W prekolonialnym Meksyku tamtejsze plemiona przemierzały ogromne odległości, żeby pędzić alkohol z kwiatów krótko kwitnącego kaktusa. W starożytnej Mezopotamii prawie połowa zbieranego zboża zużywana była do produkcji piwa.

Biorąc pod uwagę niezaprzeczalne koszty pijaństwa, ewolucja już dawno powinna wyeliminować nasze zamilowanie do alkoholu. Głupia nie jest i działa szybciej, niż nam się wydaje. Jeśli po 12 tysiącach lat (bo z tego okresu pochodzą pierwsze kadzie na piwo) alkohol jest nadal ważnym elementem ludzkiej egzystencji, to jego bilans dla naszego gatunku musi być dodatni. I tak właśnie jest, twierdzi autor omawianej książki. Picie rozwiązuje wiele specyficznie ludzkich problemów: redukuje stres, zwiększa inwencję twórczą, buduje zaufanie między



FOT. PIOTR SKORNICKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

nieznajomymi, sprzyja kooperacji, a to niezbędne do rozwoju cywilizacji. Każdy z tych argumentów wygląda znajomo, bo stosujemy je na co dzień, żeby usprawiedliwić wypicie jeszcze jednego. Tyle tylko, że autor książki, profesor filozofii na UBC w Kanadzie, sięga do rzetelnych eksperymentów i wyników naukowych, by potwierdzić nasze intuicje. Cytowane świadectwa obejmują fenomenalnie szeroki zakres dziedzin nauki: archeologię, historię, neurologię, farmakologię, psychologię społeczną czy genetykę.

Zacznijmy od zakwestionowania dwóch powszechnie przyjętych teorii na temat historii alkoholu. Bardzo popularna jest teoria, jakoby alkohol „wymyślono” po to, by dezynfekować wodę pitną. Prawdą jest, że w większości otwartych zbiorników wodnych nie jest ona, i nie była, zdatna do picia. Ale jeśli teoria ta jest prawdziwa, dlaczego w Polsce nadal pijemy alkohol? Przecież nikt nie dolewa już wina do wody z kranu. Wartość tej teorii podważa też historia Chin, kraju, gdzie najprawdopodobniej wymyślono dezynfekcję wody przez jej gotowanie. Otóż wodę gotowano tam od zamierzchłych czasów, ale nie przeszkadzało to Chińczykom zacząć wyrabiać wino jakieś 7 tysięcy lat p.n.e. Co więcej, wiele jest jeszcze prymitywnych plemion na świecie, które odkryły alkohol, a mimo to piją brudną wodę.

Druga teoria dotyczy początków rolnictwa, a więc początków cywilizacji. Przyjęło się mówić, że w pewnym momencie plemiona zbieracko-łowieckie miały już dość chodzenia po pustych polach i postanowiły je obsiać zbożem, z którego piekły chleb. Ale skąd wiemy, że o chleb im chodziło, mówią krytycy? Kilkadziesiąt lat temu w Göbekli Tepe (teren dzisiejszej Turcji) odkryto najstarsze miejsce kultu stworzone przez człowieka. Okazało się, że od 10. do 8. tysiąclecia p.n.e. spotykały się tam grupy ludzi, żeby

odbywać jakiegoś rodzaju rytuały. Zapewne coś pili, bo badania 488 społeczności, na których temat istnieją dane antropologiczne, pokazały, że 89 procent z nich łączyło rytuały z odurzeniem chemicznym: alkoholem, środkami psychodelicznymi, marihuaną. I rzeczywiście archeolodzy znaleźli na miejscu kadzie na piwo i resztki naczyń do jego picia, ale żadnych zbiorników na zboże. Wygląda na to, że nasi przodkowie zaczęli życie osiadłe nie dlatego, że chcieli piec chleb, ale po to, by warzyć piwo.

Niezliczone rzesze pisarzy, poetów, artystów i muzyków korzystały w swej twórczości z płynnej inspiracji. Fizjologicznie rzecz biorąc, nieszkodliwiali alkoholem płat czołowy mózgu. Odpowiada za umiejętność skupienia, opóźnienia gratyfikacji i podporządkowania emocji i pragnień abstrakcyjnemu rozumowi. Wydaje się, że to same zalety, ale coś przez to tracimy. Skupienie i efektywność myślenia jest przeciwieństwem tzw. myślenia lateralnego, czyli kreatywnego, gdzie pozwalamy naszym myślom płynąć pozornie bezładnie. Słynna psycholożka dziecięca Alison Gopnik pokazała w prostym eksperymencie, że dzieci biją nas w tym myśleniu na głowę. Badani dostali kilka przedmiotów i pudełko, które miało wykrywać ich tajemniczą własność. Kiedy położyło się na pudełku przedmiot, który miał tę własność, zapalała się lampka. Tylko 30 procent dorosłych rozwiązało to zadanie wobec 90 procent czterolatek! Dlaczego? Bo należało położyć na pudełku dwa przedmioty naraz i większość dorosłych na to nie wpadła. Płat czołowy dojrzewa z wiekiem i dlatego tę dziecięcą kreatywność tracimy. Żeby przywrócić choćby częściowo te utracone atuty, wystarczy płat czołowy „uśpić”.

Intuicje artystów okazały się więc słuszne i potwierdzają je eksperymenty psychologiczne. I tak na przykład Andrew Jarosz

pokazał w 2012 roku, że przy poziomie alkoholu 0,7-0,8 promila badani rozwiązywali testy myślenia kreatywnego (RAT) zdecydowanie szybciej niż trzeźwi. Amerykańska prohibicja w latach 20. spowodowała spadek liczby patentów w tym kraju o 15 procent. Google wydaje się brać te dane bardzo poważnie, bo otworzył w swej głównej siedzibie klub z bezpłatnym alkoholem, gdzie pracownicy przychodzą w godzinach pracy po „inwencję”.

Eksperymenty na dużą skalę, jakie przeprowadził Michael Sayette w 2012, a potem Edward Orehek w 2020, pokazały, że „alkohol zwiększa odczuwane poczucie więzi z grupą (...), może obniżyć poziom społecznego napięcia, metodycznie zwiększa zachowania ekstrawertyczne. Poza tym badania zademonstrowały, że alkohol może zwiększyć poczucie zadowolenia i towarzyskości (...) i obniżyć negatywne reakcje emocjonalne na napięcia międzyludzkie”. Te wyniki nie są dla nikogo rewelacją, ale zawsze dobrze wiedzieć, że w laboratorium dzieje się to samo, co w rzeczywistym świecie.

W starożytnej Grecji trzeźwość była podejrzana, a przysięga złożona po pijanemu zyskiwała na wadze

I wreszcie, co może najważniejsze z punktu widzenia postępu cywilizacyjnego, alkohol sprzyja kooperacji między ludźmi. W relacjach społecznych potrzebne jest wzajemne zaufanie. Dlatego też jedną z pierwszych rzeczy, jaką oceniamy – zupełnie nieświadomie – przy spotkaniu nowej osoby jest jej wiarygodność. Ocenę tej dokonujemy w okamgnieniu i rzadko zmienia się z upływem czasu. Ale kłamstwo oczywiście popłaca i wielu potrafi wyprowadzić w pole nawet najbardziej nieufnych rodaków. Jest to szczególnie niebezpieczne, kiedy mamy do czynienia z oponentem nieznanym albo takim, który nam zagraża. A najprostszą metodą rozbrojenia potencjalnego krętacza jest napojenie go alkoholem. W starożytnej Grecji niestosowna trzeźwość była bardzo podejrzana, a przysięga złożona po pijanemu zyskiwała na wadze. Chyba wszystkie prowadzone w historii negocjacje handlowe czy poli-

tyczne były suto zakrapiane. Henry Kissinger powiedział podczas rozmów z chińskim przywódcą Deng Xiaopingiem: „Myślę, że jak się napijemy, to rozwiążemy każdy problem”. In vino veritas.

Zwolennicy abstynencji wskazują na spustoszenie, jakie przynosi społeczeństwom alkohol. Tomasz Masaryk, przerażony ilością piwa wypijanego przez Czechów, ostrzegał: „Przyszłość narodu zależy od tego, czy porzuci picie alkoholu”. Czesi nie posłuchali Masaryka (piją najwięcej piwa na świecie), ale jako naród nieźle sobie radzą.

Masaryk się na historii nie znał. W 921 roku islamski podróżnik Ahmad ibn Fadlan napotkał nad Wołgą wikingów. O ile wielkie wrażenie zrobił na nim ich wzrost i siła, o tyle ich nieustanne pijaństwo było dla niego odrażające. Poważając to inne dane historyczne, według których bardzo wielu bohaterów i władców tego plemienia zginęło z powodu opilstwa, począwszy od utonięcia w kadzi z piwem aż po śmierć z rąk trzeźwszych kamratów. Wikingowie wierzyli, że ich naczelny bóg Odyn, którego imię tłumaczone jest czasem jako „pijany”, potrafił przeżyć na samym winie. Jak pisał jeden z badaczy wikingów: „Alkohol był dla nich autorytetem, rodziną, mądrością i poezją”. A mimo to – a może dzięki temu – ta horda opojów sterroryzowała na długi czas znaczną część Europy, skolonizowała Islandię i Grenlandię, dotarła do Ameryki Północnej i założyła Ruś Kijowską.

Lekarze ostrzegają nas, że nie ma bezpiecznej ilości alkoholu, jaką można wypić, i że jedynym wyjściem jest abstynencja. Ale czy samo życie jest bezpieczne? ●

Korzystałem z książki Edwarda Slingerlanda „Drunk: How We Sipped, Danced, and Stumbled Our Way to Civilization”.

Jarek Gryz

• Profesor informatyki i filozofii na York University w Toronto, a wcześniej w College of William and Mary w USA. Ukończył filozofię na UW, obronił doktorat na wydziale informatyki Uniwersytetu Maryland w College Park. Naukowo zajmuje się analizą i przetwarzaniem danych oraz sztuczną inteligencją. Po polsku publikował artykuły popularnonaukowe w „Tygodniku Powszechnym”, „Krytyce Politycznej” i „Kulturze Liberalnej”

NASZA EUROPA

Uchodźcy klimatyczni

130 MILIONÓW LUDZI
RUSZY NA PÓŁNOC

– Zbliża się fala, przy której dotychczasowe kryzysy migracyjne wydadzą się igraszką. A zamożny Zachód ma jedną odpowiedź: buduje mury na swoich granicach. One nie powstrzymają desperatów

Matteo Marini

la Repubblica

Lachód wciąż odrzuca to, co odmienne, a przyjmuje to, co podobne. Odbywa się to kosztem najbiedniejszych narodów. Ale do fal migrantów ekonomicznych dołączają na coraz większą skalę zastępy uchodźców klimatycznych uciekających z terenów dotkniętych permanentną suszą lub zdewastowanych przez inne kataklizmy spowodowane zmianami klimatycznymi. A przecież za te zmiany odpowiada właśnie ten bogaty świat, skupiony na zabezpieczeniu swoich granic.

Savo Heleta, 43-letni bośniacki analityk i wykładowca edukacji międzynarodowej na Uniwersytecie w Durbanie w RPA, porównuje skutki zmian klimatu do efektów wojny. Sam doświadczył przesiedlenia w czasie konfliktu w byłej Jugosławii. Jego badania koncentrują się na nierównościach w krajach Południa i po wojennych rekonstrukcjach codziennego życia w tych krajach.

...

Mówi pan o wpływie zmian klimatycznych na migrację i o potrzebie „nowego obywatelstwa globalnego”. Co ono oznacza?

– Jest to termin, który coraz częściej słyszemy na uniwersytetach, mówi o tym także UNESCO. Wszyscy, którzy nie tylko dostrzegają, że świat jest miejscem bardzo skomplikowanym i zorganizowanym głęboko niesprawiedliwie, ale też próbują to poprawić. Idea globalnego obywatelstwa wywodzi się z idei kosmopolityzmu, która jest bardzo euroamerykańska: aby zostać uznanym za obywatela świata, człowiek musi być w stanie go doświadczać. A setki milionów ludzi, zwłaszcza z krajów Południa – Afryki, Bliskiego Wschodu, Azji Południowo-Wschodniej i wielu części Ameryki Łacińskiej – nie mogą tego robić.

Nazywamy to przywilejem paszportowym: ci, którzy mają paszporty europejskie lub amerykańskie, podróżują bez problemów. Z kolei osoby pochodzące z krajów Południa najczęściej muszą planować podróż z wielomiesięcznym wyprzedzeniem, starać się o wizy, a wielu z nich ich nie otrzymuje.

Nawet niektórzy uczeni nie mogą otrzymać wizy, aby pojechać i przemawiać w Australii czy USA, czyli wykonywać swoją pracę, ważną dla świata. Dla większości ludzi świat nie jest otwarty.

To samo dotyczy kwestii przyjmowania migrantów.

– Zawsze gdy wybucha kryzys uchodźczy, dotykający ludzi o białej skórze, chrześcijan, granice otwierają się natychmiast. Tak

jak teraz w Ukrainie. Wojna np. w Jemenie nie budzi takiej solidarności.

Przeżyłem wojnę w Bośni. Byłem wewnętrznym przesiedleńcem, nie uciekinierem za granicę. Mieszkalem w Gorażde, miasto było obleżone. Straciliśmy wszystko i nigdy nie wróciliśmy do miejsca, w którym mieszkaliśmy. Wiem, o czym mówię, kiedy mówię o uchodźcach. W tym samym czasie, gdy świat nam pomagał, pozwalał na ludobójstwo w Rwandzie: od 600 tys. do miliona ludzi zabitych w ciągu ledwie trzech miesięcy. Dlaczego pomagano nam, a nie im? A co z innymi, którzy też mają pecha i nie są biali? Rasizm jest oficjalnie potępiany, ale nadal nie wszyscy ludzie są jako tacy traktowani. Nigdy nie przestanę mówić o tej mentalności i walczyć z nią.

Co to wszystko ma wspólnego ze zmianami klimatu?

– To mianowicie, że zmiany klimatu będą szybko wypychać ludzi z terenów, które przestają nadawać się do życia. Raport Międzyrządowego Zespołu do Zmian Klimatu (IPCC) jasno wskazuje, kto to spowodował. Człowiek, oczywiście, ale są tu różnice: największy negatywny wkład w globalne ocieplenie mają Stany Zjednoczone – ok. 23 proc., Europa – 16 proc., Afryka – ok. 7 proc.

A zatem: bogaty świat najbardziej przyczynił się do globalnego ocieplenia i zniszczenia planety, a najbardziej cierpią narody najbiedniejsze.

Nowe obywatelstwo światowe nie może funkcjonować w oderwaniu od prób ogra-

niczenia zmian klimatu. I ktoś musi za to zapłacić. Nie chodzi tu o dobroczynność, trzeba zrekompensować coś, co się samemu zepsuło. Tylko wtedy będziemy mogli na serio mówić o sobie jako o „równych obywatelach świata”.

Zajmuje się pan tymi sprawami i wyklada w kraju, który wymyślił apartheid. Czy dostrzega pan podobieństwa tego systemu segregacji do tego, co dzieje się obecnie?

– Owszem, uważam, że mamy do czynienia de facto z globalnym apartheidem. Zdumiewające jest to, że większość istniejących murów na granicach została zbudowana w północnej części świata. Europa to dziś niemal twierdza, podobny proces obserwujemy na granicy Meksyku i USA.

Ale jakie zapory powstrzymują nowe migracje ludzi uciekających przed suszą i ekstremalnymi warunkami pogodowymi? Tego procesu nie da się zatrzymać.

Istnieją małe państwa wyspiarskie, które wkrótce po prostu znikną na skutek podnoszenia się poziomu oceanów. W Somalii susza w ostatnich miesiącach była tak dotkliwa, że około miliona Somalijców stało się wewnętrznymi przesiedleńcami. Wielu próbuje przedostać się do Libii, by z niej dostać się dalej do Europy. I większość z nich zostaje odepchnięta.

Bank Światowy szacuje, że do 2050 r. ponad 130 mln ludzi będzie musiało opuścić domy z powodu samych tylko zmian klimatu. 28 lat to pozornie szmat czasu, w rzeczywistości to tylko mgnienie oka. Ale dla jednych granice są otwarte, a dla

innych nie. Czekają nas dramatyczne, straszne kryzysy.

Nadal nazywa się tych ludzi migrantami ekonomicznymi, a może uczciwiej byłoby uznać ich za osoby ubiegające się o azyl, jak uchodźców wojennych?

– Poziom cierpienia jest taki sam, powódź zabiera ci dom, tracisz wszystko, efekt jest ten sam jak po wybuchu bomby. Jednak stara konwencja o uchodźcach i osobach ubiegających się o azyl tworzona była przede wszystkim z myślą o uchodźcach przed wojną, konfliktami i prześladowaniami politycznymi. Nie istnieje legalny sposób, który pozwalałby na udzielenie azylu uchodźcom czy migrantom klimatycznym. Ale świat dzisiaj jest już inny.

Zmiany w ekosystemach przyspieszają tak bardzo, że zachodzą już na dystansie życia jednego pokolenia. Instytucje światowe muszą zdać sobie z tego sprawę i się do tego przygotować.

Właśnie teraz musimy zacząć poważnie myśleć o tym, jak chronić uchodźców klimatycznych – czyli jak ich przyjmować albo jak wspierać na miejscu. Nie rozumiem, dlaczego z tym zwlekamy.

Jak to zrobić, skoro przyjmowanie imigrantów i sama imigracja są wykorzystywane przez prawicę do podsycania nastrojów ksenofobicznych?

– Polityka obniża swoją jakość na całym świecie, nie jest to tylko problem Europy czy Stanów Zjednoczonych. Przeprowadziłem wiele badań, zwłaszcza na temat roli polityki w podsycaniu ksenofobii i retory-



Somalijczycy, którzy uciekli z terenów nękanych przez najgorszą suszę od dekad, w obozie dla przesiedleńców wewnętrznych w Mogadiszu, 30 czerwca

FOT. FARAH ABDI WARSAMEH / AP PHOTO

NASZA EUROPA

ce antyimigranckiej w celu przykrycia własnych niepowodzeń. Nowe elity polityczne w RPA nie zdołały poprawić życia większości obywateli, a najłatwiejszym kozłem ofiarnym są imigranci. Nie głosują i nie mają prawa narzekać. Politycy w RPA lubią rozprawiać o jedności Afryki, ale zarazem twierdzą, że imigranci z Zimbabwe są przyczyną ubóstwa, co jest kłamstwem. Albo mówią, że imigrantów jest pięć razy więcej niż w rzeczywistości. Często mówimy, że Europa i USA mają problem z ksenofobią – owszem, tak jest. Ale wydaje się, że wszyscy rządzący dziś światem uczyli się z tego samego podręcznika.

Modnym hasłem w Europie jest „pomóżmy im w ich domu”.

– Duża część moich badań koncentruje się na kontynencie afrykańskim i na skutkach europejskiego kolonializmu. Zresztą Walter Rodney napisał już lata temu książkę „How Europe Underdeveloped Africa” (Jak Europa cofnęła w rozwoju Afrykę), jej wniosek: do dziś mocarstwa kolonialne nie zapłaciły ceny za swoje czyny: niewolnictwo, podbój i eksploatację zasobów.

W Afryce do dziś cała sieć infrastruktury odzwierciedla kolonialne priorytety: tu każda droga prowadziła od kopalni prosto do morza. Kolonializm formalnie się skończył, ale teraz mamy do czynienia z kolonialnością: afrykańskie elity polityczne u władzy to ludzie, w których zainwestowali sami kolonialiści. Strukturę stworzoną w celu wyzyskiwania Afryki kontnuują Bank Światowy i Międzynarodowy Fundusz Walutowy, które kontrolują kraje afrykańskie poprzez zadłużenie.

Chiny od dawna są obecne w Afryce, by eksploatować zasoby, uzależniać kraje poprzez spirale kredytowe. Czy są nowym kolonizatorem?

– W Afryce mówi się dużo, że musimy walczyć z hegemonią europejsko-amerykańską, ale musimy się mieć na baczności przed innymi hegemoniami, w żaden sposób nie lepszymi, chińską czy rosyjską.

Możliwe rozwiązania?

– Mamy do dyspozycji tylko jedną planetę, ale istnieją na niej pierwszy świat, drugi, trzeci... My wszyscy, zwłaszcza młodzi ludzie, musimy wywierać nacisk na polityków i duży biznes. Jednym z największych problemów jest to, że politycy rozumują tylko w perspektywie krótkoterminowej, myślą o najbliższych wyborach, a przecież zmiany klimatu to coś, w przeciwdziałanie czemu musimy inwestować w perspektywie długoterminowej. Młodzi ludzie muszą zdawać sobie sprawę, że ich wybory kształtują świat, w którym będzie im się żyło dobrze, albo taki, gdzie życie będzie nieznosne. Jedyne rozwiązanie to edukacja.

Obecne młode pokolenie stworzyło ruch Fridays for Future. Ich świadomość jest większa.

– Gdyby to wszystko było w rękach młodych ludzi, powiedziałbym, że jestem optymistą. Jednak światem rządzą politycy orientujący się na egoistyczny interes narodowy, są finansowani przez wielki przemysł, zwłaszcza naftowy, wielkich trucieleli, którzy robią wszystko, by zadowolić akcjonariuszy, ale nie społeczeństwa. Nie mówiąc już o myśleniu o najbiedniejszych, np. w Afganistanie.

A jednak mam nadzieję. Wiele czarnych ofiar apartheidu nie mogło liczyć na jego koniec. Gnębiły ich rząd, służby i wojsko, a oni mimo to nie przestawali się organizować, robili wszystko, co tylko mogli, by przyszłość była inna, choć nie potrafili jej sobie nawet wyobrazić. Nie wiedzieli nawet, czy uwięziony przez lata Nelson Mandela jeszcze w ogóle żył, ale nie przestawali organizować się i walczyć. I w końcu wywalczyli nieco lepszy świat. ●

tłum. Bartosz Hlebowicz

Thomas L. Friedman

Niektórzy ukraińscy oficjele tłumaczą większą operatywność walczących w Ukrainie rosyjskich oddziałów tym, że „polegli już wszyscy głupi Rosjanie”. Ten wątpliwy komplement oznacza, że po pierwszych popisach niekompetencji, kiedy zginęły ich tysiące, Rosjanie odkryli w końcu skuteczniejszy sposób prowadzenia tej wojny.

Ukraiński konflikt zdaje się przegradzać w niszczącą wojnę na wyczerpanie – Rosja jakby wycofała się i zasypuje z oddali rakietami i pociskami miasta wschodniej Ukrainy, obracając je wprawdzie w proch i pył, jednak by posunąć się tylko odrobinę naprzód – można więc pomyśleć, że najgorsze mamy już za sobą.

Nieprawda. Jestem przekonany, że wojna w Ukrainie wkracza w nową fazę, a przekonanie to opieram na faktach. Zginęło wielu rosyjskich żołnierzy i generałów, ale wierni NATO-wscy sojusznicy Ukrainy są już zmęczeni. Wojna spowodowała ogromny skok cen gazu ziemnego, benzyny i żywności w Europie i jeśli przeciągnie się do zimy, wiele europejskich rodzin będzie musiało wybierać między ogrzewaniem a jedzeniem.

Nową fazą wojny będzie wedle mnie coś, co nazywam „strategią zimową” Władimira Putina, w odróżnieniu od „letniej strategii” NATO.

Nie ma wątpliwości, że Putin będzie kontynuował natarcie w nadziei na gwałtowny wzrost cen energii i żywności w Europie, który prędzej czy później rozbije NATO-wski mur. Rozumuje zapewne następująco. Kiedy średnie temperatury w Europie spadną poniżej normy, kiedy zmniejszy się światowa podaż ropy i gazu, kiedy średnie ceny przekroczą dopuszczalne granice, a przerwy w dostawie prądu z powodu niedoborów energii staną się powszechne, jest spora szansa, że Europejcy członkowie NATO zaczną naciskać prezydenta Wołodymyra Zelenskiego, by zawarł z Rosją porozumienie – jakiegokolwiek porozumienie – które zakończy wojnę.

Putin mówi więc swoim wyczerpanym żołnierzom i generałom: „Dajcie mi dotrwać do Bożego Narodzenia. Zima będzie nasza”.

To nie jest strategia szaleńca. Jak pisał w zeszłym tygodniu Jim Tankersley z „The Times”, „Biały Dom obawia się, że nowa transza europejskich sankcji, mających ograniczyć do końca roku dostawy rosyjskiej ropy, może spowodować ponowny wzrost cen energii, co uderzy w ciężko już doświadczonych konsumentów, powodując głęboki regres gospodarczy USA i innych krajów. Taka sekwencja wydarzeń może zaostrzyć i tak już poważny, nękający dziś świat kryzys żywnościowy”.

Jak czytamy dalej, próby NATO i UE ograniczenia eksportu rosyj-

The New York Times:

Wojna wchodzi w nową, niebezpieczną fazę

Putin mówi swoim wyczerpanym żołnierzom i generałom: „Dajcie mi dotrwać do Bożego Narodzenia. Zima będzie nasza”

skiej ropy do Europy „mogą spowodować skok cen ropy do 200 dolarów lub więcej za baryłkę, co oznacza, że Amerykanie zapłacą 1,85 dolara za litr benzyny”. Benzyna w cenie 2,40-2,60 dolara za litr nie jest dziś niczym nadzwyczajnym w Europie, gdzie – jak podaje Bloomberg – ceny gazu ziemnego wzrosły „od początku zeszłego roku o mniej więcej 700 procent, spychając kontynent na skraj recesji”.

Tymczasem przywódcy NATO, USA i Ukrainy z pewnością powtarzają sobie: „Tak, zima nam nie sprzyja, ale lato i jesień mogą być nasze. Jeśli zdołamy zadać teraz poważne straty zmęczonej armii Putina, zgodzi się przynajmniej na zawieszenie broni”.

I także ta strategia nie jest szalona. Putin może liczyć na pewne zdobycze we wschodniej Ukrainie, ale słono za nie zapłaci. Wojskowi analitycy szacują straty Rosji w ciągu niespełna pięciu miesięcy na co najmniej 15 tys. zabitych – to oszalamiająca liczba – i zapewne drugie tyle rannych żołnierzy. Ponad tysiąc rosyjskich czołgów i systemów artyleryjskich zamieniło się w złom.

Słyszę w Waszyngtonie, że Putin ma teraz za mało żołnierzy, by spróbować przebić się ze wschodniej

Nie ma wątpliwości, że Putin będzie kontynuował natarcie w nadziei na gwałtowny wzrost cen energii i żywności w Europie, który prędzej czy później rozbije NATO-wską jedność

Ukrainy i zająć port w Odessie, odcinając tym samym Ukrainę od morza, co pozwoliłoby całkiem zdusić jej gospodarkę.

Wedle relacji Neila MacFarquhara, reportera „The Times”, chcąc utrzymać obecną dynamikę na wschodzie, Putin rozpaczliwie potrzebuje więcej sił, więc prowadzi „tajną mobilizację”, co pozwoli mu posłać więcej ludzi na front „bez ogłoszenia ryzykownego politycznie ogólnonarodowego poboru. Aby uzupełnić braki w siłach ludzkich, Kreml sięga po ubogie mniejszości etniczne, Ukraińców z separatystycznych republik, najemników i zmilitaryzowane oddziały Rosgwardii”, oferując ochotnikom pokazną zachętę finansową.

Putin nie chce ogłaszać poboru, żeby nie dać Rosjanom do zrozumienia, że tzw. specjalna operacja wojskowa w Ukrainie ma znacznie szerszy zasięg i nie toczy się bynajmniej po jego myśli.

Z kolei NATO ma najwyraźniej nadzieję, że latem i jesienią armia ukraińska wyposażona w nowe systemy M142 HIMARS, które USA przekazały Kijowowi, zada siłom rosyjskim

w Ukrainie znacznie większe straty w ludziach i sprzęcie. Jeśli tak, natarcie Putina może utknąć w martwym punkcie, a nawet załamać się, co może zmusić go do zgody na zawieszenie broni, wymianę dużej liczby jeńców, utworzenie korytarzy humanitarnych i ułatwienia dla ukraińskiego eksportu żywności. Wszystko to pozwoli opanować inflację i mieć nadzieję na osłabienie presji europejskich sojuszników Ukrainy na jakąkolwiek ugodę z Putinem.

Nic nie wskazuje na to, by Putin był gotów na ostateczne porozumienie pokojowe – ale może uda się zmusić go do zawieszenia broni, które ulżyłoby rynkom energii i żywności.

Ze wszystkich tych powodów uważam, że wojna w Ukrainie wejdzie wkrótce w najniebezpieczniejszą fazę od czasu lutowej inwazji – „zimowa strategia” Putina zetrze się z „letnią strategią” NATO.

Nic dziwnego, że wicepremier Ukrainy Iryna Wereszczuk wezwała mieszkańców opanowanych przez Rosjan południowych obwodów do szybkiej ewakuacji, by nie mogli służyć za żywe tarcze podczas planowanej ukraińskiej kontrofensywy. „Musicie szukać dróg ucieczki, bo nasze siły zbrojne ruszają odbić te tereny. Będą ciężkie walki” – ostrzegła.

Niestety, nie wiadomo, co zrobi Putin, kiedy jego siły znów utkną w martwym punkcie lub stracą przewagę. Może łatwiej przystanie na zawieszenie broni. Ale może też zdecyduje się na ogólnonarodową mobilizację, by powiększyć walczący kontyngent.

Jednego tylko jestem pewien. Wojna w Ukrainie nie skończy się – to znaczy nie skończy się naprawdę – dopóki Putin będzie rządził w Moskwie. Nie wzywam do obalenia go, to sprawa Rosjan. Chcę tylko zauważyć, że od samego początku była to wojna Putina. On osobiście ją wymyślił, zaplanował, kierował nią i ją usprawiedliwiał. Nie umie wyobrazić sobie Rosji jako wielkiego mocarstwa bez Ukrainy. Choć więc da się zmusić Putina do zawieszenia broni, wątpię, by było to więcej niż rozwiązanie tymczasowe.

Krótko mówiąc, daleko do końca tej wojny, tak daleko, że na horyzoncie nie widzę nic prócz niej. ●

tłum. Sergiusz Kowalski

Ten artykuł oryginalnie ukazał się w „The New York Times”; © 2021 The New York Times Company

PUTIN GRA GAZEM W ROSYJSKĄ RULETKĘ

**Zimą w pracy
w puchowej kurtce?**
To realne. Ale PiS nie ma
odwagi o tym mówić

Andrzej Kublik

Gazprom na prawie dwa tygodnie wyłączył z eksploatacji bałtycki gazociąg Nord Stream 1 z Rosji do Niemiec, bo chce zrobić przegląd instalacji przed szczytem zimowych obciążeń. To działanie rutynowe, jak okresowy przegląd samochodu, planowane od dawna. Obecna przerwa rosyjski koncern zapowiedział już we wrześniu zeszłego roku.

Jednak w tym roku ta rutyna stała się powodem do obaw, które wywołały stan napięcia w całej Europie – nie tylko w Niemczech, które są połączone tym gazociągiem bezpośrednio z Rosją. Bo nie ma pewności, czy po pracach serwisowych Nord Streamu 1 wznowi transport rosyjskiego gazu do Niemiec i innych państw UE.

– Skłamałbym, gdybym powiedział, że się tego nie obawiam – przyznał kanclerz Niemiec Olaf Scholz. I zaznaczył: – Nie ma sensu zakładać, co się stanie i kiedy.

A już pod koniec czerwca takich obaw nie krył wicekanclerz, minister gospodarki Niemiec Robert Habeck z Zielonych, ironicznie wskazując, że Rosja może znaleźć techniczny pretekst, aby unieruchomić bałtycki gazociąg.

GRUZY PO ENERGETYCZNYCH MOSTACH

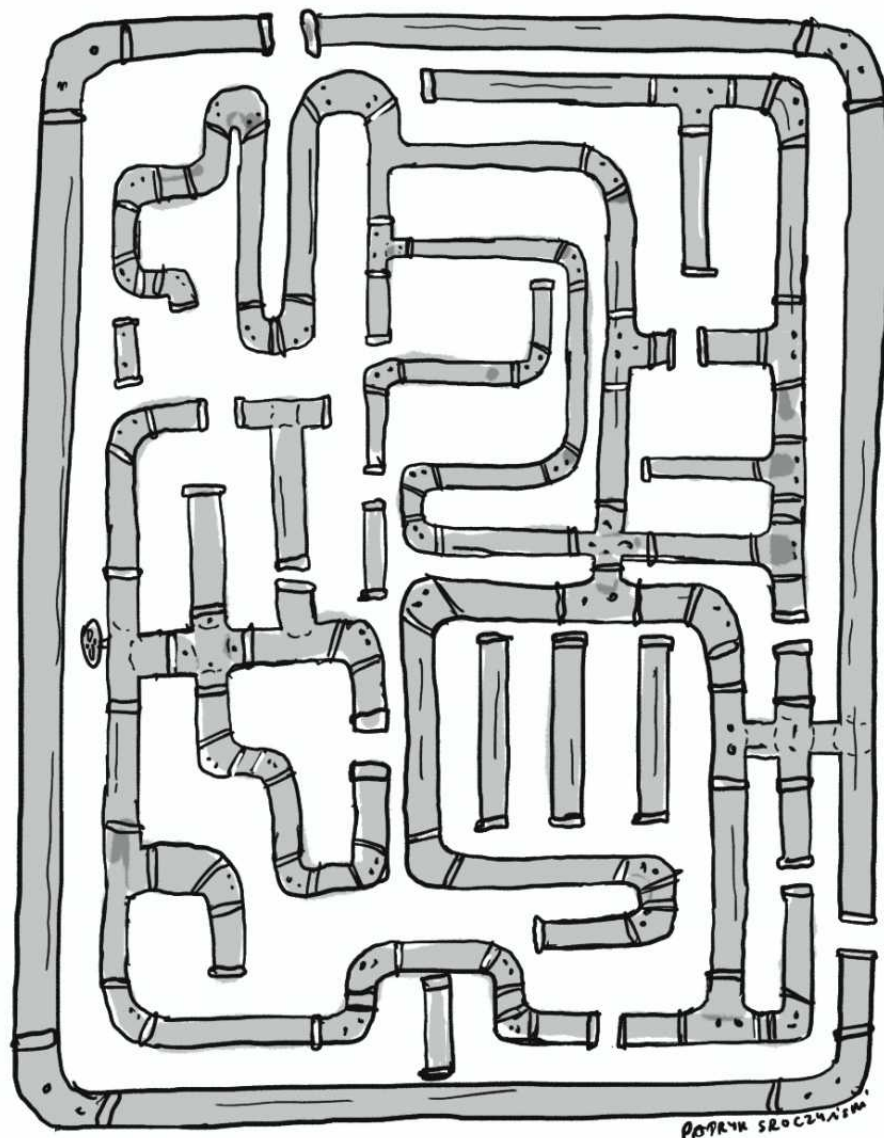
W zeszłym roku zatrzymanie Nord Streamu 1 na rutynowy przegląd nie budziło emocji. Przez ten czas Gazprom zwiększył dostawy gazu do Niemiec tranzytowym gazociągiem jamalskim przez terytorium Polski. W tym roku Moskwa wykluczyła taką możliwość, nakładając w maju sankcje na spółkę EuRoPol Gaz, właściciela polskiego odcinka gazociągu jamalskiego. Gazprom stwierdził wówczas, że nie może już korzystać z tranzytu przez Polskę.

Od początku tego roku Gazprom ogranicza też tranzyt gazu do Europy Zachodniej przez terytorium Ukrainy. Rosyjski koncern zapłacił za prawo do tranzytu w tym roku przez Ukrainę 40 mld m sześć. gazu, ale od kilku miesięcy wykorzystuje tę rezerwację w niespełna 40 proc.

Bez zakłóceń działa gazociąg Turk-Stream, który przez Morze Czarne transportuje rosyjski gaz na Balkany i do Europy Środkowej. Ale ta rura może maksymalnie obsłużyć tylko 10 proc. całego eksportu gazu z Rosji do Europy, a Rosjanie przestali już dostarczać nią gaz Bułgarii.

BEZ PRZYWILEJÓW DLA NIEMIEC

W takiej sytuacji głównym szlakiem eksportu gazu z Rosji do Unii Europejskiej



RYS. PATRYK SROCCZYŃSKI

Trzeba się
nastawić na
całkowite
odcięcie gazu
przez Rosję,
to najbardziej
prawdopodobna
możliwość.

**Już teraz
musimy
przewidywać
i szykować się
do bitwy**

był bałtycki Nord Stream 1. To podkreślało uprzywilejowany charakter tego połączenia.

Gdy w 2010 r. rozpoczynano budowę Nord Streamu 1, ówczesny prezydent Rosji Dmitrij Miedwediew mówił: – Po raz pierwszy rosyjski gaz będzie dostarczany bezpośrednio do Europy Zachodniej, z pominięciem terytoriów tranzytowych.

Milczącym założeniem inwestycji było to, że Rosja będzie korzystać z Nord Streamu 1 i utrzyma stabilne dostawy gazu do Europy Zachodniej za pośrednictwem tej rury nawet w razie kolejnej awantury na Wschodzie, jak wojna gazowa z Ukrainą w 2009 r. Wtedy w samym środku zimy Rosja na trzy tygodnie pozbawiła Zachód dostaw gazu. Coś takiego nie zdarzyło się nawet w czasach zimnej wojny między blokiem sowieckim a Zachodem. To miał być koronny argument na poparcie kosztownej budowy bałtyckiej rury z Rosji do Niemiec.

Teraz Rosja podważa ów fundament zaufania. W połowie czerwca Gazprom niespodziewanie ogłosił, że przykręca kurek na Nord Streamie 1, bo Kanada z powodu sankcji nie zwraca turbin do tłoczni bałtyckiego gazociągu, remontowanych tam przez niemiecki koncern Siemens. A kiedy wicekanclerz Robert Habeck publicznie uznał, że Rosjanie przykręcili kurek na Nord Streamie 1 z powodów politycznych, a nie technicznych – Gazprom jeszcze bardziej zdławił bałtycką rurę, ograniczając

nią dostawę gazu do Niemiec łącznie aż o 60 proc.

W konsekwencji bez gazu z Rosji została Francja, a Austria, Włochy i Czechy nie dostawały połowy surowca zamawianego od Gazpromu. A po zatrzymaniu Nord Streamu 1 z powodu przeglądu dostawy rosyjskiego gazu do Włoch jeszcze bardziej się skurczyły i teraz są o dwie trzecie mniejsze niż w połowie czerwca.

FIASKO KANADYJSKIEJ INTRYG

W przeddzień zatrzymania gazociągu Nord Stream 1 rząd Kanady ogłosił, że jednorazowo uchyli swoje sankcje wobec Gazpromu, aby zwrócić wyremontowaną turbinę do tłoczni, która pompuje gaz w Nord Stream 1. Kanadyjski minister zasobów naturalnych oświadczył, że jego rząd podjął taką decyzję, aby nie pozbawiać Europy dostępu do gazu w czasie, gdy zabiega ona o niezależnienie się od dostaw gazu i ropy naftowej z Rosji. „Z powodu braku niezbędnych dostaw gazu ziemnego gospodarka Niemiec będzie borykać się z bardzo dużymi trudnościami, a samym Niemcom grozi, że w czasie nadchodzącej zimy nie będą w stanie ogrzać swoich domów” – tłumaczył Wilkinson.

Decyzja Kanady nie spodobała się w Kijowie, który zabiegał w Ottawie, aby zatrzymała wyremontowane turbiny. Zdaniem Wołodymyra Zełenskiego Moskwa uzna decyzję rządu Kanady za przejaw słabości i pozbawi Europę gazu, gdy będzie on najbardziej potrzebny.

Zgoda – Rosja może odtrąbić zwycięstwo, skoro wymusiła na Kanadzie odstąpienie od sankcji wobec Gazpromu. Tyle że to pyrrusowe zwycięstwo. Decyzję Kanady poparły w publicznych oświadczeniach Departament Stanu USA, a następnie Komisja Europejska.

„Po zwrocie tej części wyeliminowano jedną z wymówek używanych przez Rosję do ograniczenia przesyłu gazu” – uznała KE.

To prawda, że nawet po zwrocie turbin Moskwa może wymyślić nowy powód unieruchomienia Nord Streamu 1, jak podejrzewa wicekanclerz Robert Habeck. Ale wtedy Moskwa nie będzie mogła obarczać za to winą Kanady i niemieckiego Siemens. A to ma znaczenie w propagandowej wojnie Rosji z Zachodem, towarzyszącej walkom na froncie rosyjsko-ukraińskim.

Mало też realne wydają się kalkulacje Kijowa, że w razie ograniczenia na trwałe przepustowości Nord Streamu 1 Gazprom zwiększyłby tranzyt gazu do UE przez terytorium Ukrainy. Gdyby Moskwa chciała to zrobić, to uczyniłaby tak zaraz po wyłączeniu bałtyckiej rury do prac serwisowych. Gazprom zaoszczędziłby, wykorzystując opłacone, lecz nieużywane przepustowości ukraińskich gazociągów. Jednak rosyjski koncern nie czyni tego, utrudniając w ten sposób Ukrainie gromadzenie zapasów gazu na zimę. Bo część gazu z tego zwiększonego tranzytu mogłaby pozostać w Ukrainie, sprzedana tamtejszym firmom przez koncerny z Europy Zachodniej.

Kwestią czasu byłoby pojawienie się inspirowanych przez Moskwę zarzutów wobec Kanadyjczyków, że skazali Niemców

na marznięcie zimą, bo ulegli presji Ukrainy. Ustępstwo rządu Kana-
dy usunęło takie możliwe ognisko na-
pięć we wspólnocie transatlantyckiej.

WOJNA JUŻ TRWA

Rosja prowadzi wojnę energetycz-
ną z Europą – coraz częściej otwarcie
mówią unijni politycy.

– Trzeba się nastawić na całkowite
odcięcie gazu przez Rosję, to najbar-
dziej prawdopodobna możliwość. Już
teraz musimy przewidywać i szyko-
wać się do bitwy – powiedział na po-
czątku tego tygodnia Bruno Le Maire,
francuski minister finansów i gospo-
darki.

Po napaści Rosji na Ukrainę unij-
ni politycy zaczęli nie tylko mówić
o uniezależnieniu Europy od nośni-
ków energii z Rosji, ale te deklara-
cje zaczęli też realizować. Od sierp-
nia w UE wejdzie w życie embargo na
węgiel z Rosji, od grudnia większość
państw Unii zrezygnuje też z rosyj-
skiej ropy naftowej. O embargo na gaz
z Rosji nikt na razie poważnie nie my-
ślał. Przez dekady Europa uzależnia-
ła się od Gazpromu i w zeszłym ro-
ku sprowadziła z Rosji ok. 150 mld
m sześć. błękitnego paliwa, co stano-
wiło ok. 40 proc. całego importu ga-
zu do UE. Bez wielkich problemów
nie da się z tego zrezygnować z dnia
na dzień.

To, czego nie chciała uczynić Unia,
może uczynić Rosja – obawiają się te-
raz w stolicach Europy. Tym bardziej
że byłoby to kolejne starcie w wojnie
energetycznej, którą Rosja rozpoczę-
ła przeciw Europie już przed rokiem.

W sierpniu zeszłego roku Gaz-
prom nagle i bez oficjalnego wy-
jaśnienia zaczął ograniczać tran-
zyt gazu rurą jamalską przez Pol-
skę, zredukował go też przez Ukra-
inę. A jednocześnie rosyjski kon-
cern zaczął opróżniać swoje magazy-
ny gazu w Austrii, Niemczech i Ho-
landii, zamiast gromadzić w nich za-
pasy surowca na zimę. A wtedy ce-
ny gazu w Europie zaczęły bić rekor-
dy wszech czasów, rozkręcając infla-
cję i spowalniając wychodzenie euro-
pejskich gospodarek z recesji po pan-
demii koronawirusa.

Szef Międzynarodowej Agencji
Energii Fatih Birol wskazywał, że Ro-
sja mogłaby uspokoić sytuację i zbić
ceny gazu, zwiększając dostawy te-
go surowca o 15 proc. – gdyby tylko
chciała. Ale nie chciała.

Nauczkę z tych doświadczeń UE
wyciągnęła dopiero po napaści Ro-
sji na Ukrainę. W marcu KE zapowie-
działa, że zobowiąże państwa Unii do
gromadzenia zapasów gazu, aby zapo-
biec skokowi cen surowca kolejnej zimy
i zapewnić stabilność jego dostaw.

Rozporządzenie UE w tej spra-
wie ostatecznie ogłoszono w czerw-
cu. Zobowiązuje ono państwa Unii,
aby do listopada napelniły swoje pod-
ziemne magazyny gazu w 80 proc.
(od przyszłego roku – w 90 proc.).
Wcześniej własne przepisy w magazy-
nowaniu gazu uchwałyli Niemcy, już
w tym roku nakazując napelnić je do
listopada w 90 proc.

– Im bliżej jesteśmy zimy, tym bar-
dziej rozumiemy intencje Rosjan. Są-
dzę, że te cięcia są nastawione na to,
by nie pozwolić Europie napelnić
magazynów gazu i zwiększyć presję
Rosji w zimowych miesiącach – po-
wiedział dziennikowi „The Financial
Times” Fatih Birol, komentując przy-
kręcenie w czerwcu przez Gazprom
kurka na Nord Streamie 2.

Niemiecki regulator Bundesnetz-
agentur w komunikatach bez ogró-
dek stwierdził, że czerwcowe ograni-
czenie dostaw gazu z Nord Streamu 1

uniemożliwi napelnienie do listopa-
da magazynów gazu zgodnie z wy-
mogami nowej ustawy.

Czyli z jednej strony celem Rosji
jest skompromitowanie planów unie-
zależnienia Europy od rosyjskich no-
śników energii. A jednocześnie pogłę-
bienie kryzysu energetycznego w UE.

PUTIN RUSZA Z POSAD BRYŁĘ ŚWIATA

Za tym kryje się dalej idący zamiar.
Putin przedstawił go dwa dni po przy-
kręceniu kurka na Nord Streamie 1,
występując na Forum Ekonomicz-
nym w Sankt Petersburgu.

Obwieszczając zmierzch dominacji
Zachodu w globalnej polityce i gospo-
darce, Putin zaczął straszyć obosiecz-
nymi skutkami sankcji nałożonych na
Rosję za agresję na Ukrainę.

„Bezpośrednim skutkiem działań
europejskich polityków i wydarzeń
bieżącego roku stanie się dalsze po-
głębienie nierówności w tych [euro-
pejskich] państwach, co z kolei jesz-
cze bardziej będzie dzielić ich społe-
czeństwa, a przy tym chodzi nie tyl-
ko o stan dobrobytu, ale także o war-
tości, którymi kierują się różne gru-
py tego społeczeństwa. Teraz te
sprzeczności dławi się, zamiata pod
dywan. Procedury demokratyczne,
wybory w tej Europie wyglądają jak
zasłona, przy władzy zmieniają się
partie polityczne podobne do sie-
bie jak bliźnięta. Ale istoty sprawy to
nie zmienia. Realne interesy obywa-
teli, narodowego biznesu są spycha-
ne coraz bardziej na dalszy plan, na
peryferia.

Takie oderwanie od rzeczywisto-
ści, od wymagań społeczeństwa nie-
uchronnie doprowadzi do wybuchu
populizmu i rozwoju skrajnych, ra-
dykalnych prądów, do poważnych
zmian społeczno-gospodarczych, do
degradacji, a w niedalekiej perspek-
tywie także zmiany elit” – perorował
Putin.

Straszył polityków Europy. Ale
także przedstawił manifest celów
Kremla.

PUTIN ZGRAŁ SIĘ DO KOŃCA

Pisząc o zatrzymaniu bałtyckiej ru-
ry na przegląd serwisowy, mój kolega
redakcyjny Hubert Orzechowski oce-
nił: „Niemcy pod ścianą po zamknię-
ciu gazociągu Nord Stream 1”. Czyli
Niemcy mają do wyboru: kapitulacja
lub egzekucja?

Natomiast publicysta Jakub Wiech
stwierdził, że „Niemcy wiją się pod
energetycznym butem Rosji”, wywo-
lując obraz niczym z propagandowe-
go sowieckiego plakatu, na którym but
czerwonoarmisty rozgniata Niemca.

Tymczasem wydaje się, że jest na
odwrot. Putin przypomina szule-
ra, któremu nie poszła karta w woj-
nie przeciw Ukrainie i Zachodowi,
i gaz to jeden z ostatnich asów, który
mu pozostał. Bo faktycznie to Niemcy
i UE postawiły pod ścianą rosyjskie
koncerny energetyczne – filar tamtej-
szej gospodarki.

Unijne embargo na węgiel już
w tym roku zmniejszy eksport te-
go surowca z Rosji co najmniej
o 30 proc., jak szacuje rząd Rosji.
A embargo na ropę naftową w UE
zetnię prawie o połowę jej eksport
z Rosji.

Także eksport gazu z Rosji do UE
skurczył się już o ponad 30 proc.
w pierwszym kwartale tego roku.
I nie wywołało to zapaści Europy,
która po prostu zaczęła sprowadzać
rekordowe ilości skroplonego gazu

LNG. Płacąc za ten surowiec nieraz
taniej niż za gaz z Rosji.

Z rąk Putinowi wymykają się też
Niemcy. Dwa dni po napaści Rosji
na Ukrainę kanclerz Olaf Scholz za-
powiedział inwestycje w dwa gazo-
porty, których budowę w Niemczech
rozważano niemal od pół wieku. Od
tego czasu w trzy miesiące Niemcy
uchwałyły specustawę, która eliminu-
jąc bariery administracyjne, ma przy-
śpieszyć budowę takich terminali
LNG. I w tym samym czasie rząd Nie-
miec wycarterował też cztery pły-
wające gazoporty FSRU, które będą
działać co najmniej do czasu wybu-
dowania lądowych gazoportów i już
podczas najbliższej zimy pozwolą
sprowadzać Niemcom skroplony gaz.

Niemiecki wicekanclerz Robert
Habeck, który jest także liderem Zie-
lonych, nie wahał się też złamać dog-
matów swojej partii. Zdecydował,
że trzeba ograniczyć produkcję prą-
du z gazu, aby zaoszczędzić to pali-
wo do ogrzewania zimą domów. I dla-
tego rząd Niemiec zdecydował się na
zwiększenie produkcji z węgla – prze-
ściowo, w założeniu na dwa lata.

Koniec Energiewende, niemieckiej
polityki eliminacji węgla w energe-
tyce na rzecz OZE? Nic z tego. Bo de-
cydując się chwilowo rozkręcić elek-
trownie na węgiel, Bundestag jedno-
cześnie uchwalił ustawę o przyspie-
szeniu budowy nowych elektrowni
wiatrowych. Zgodnie z tą ustawą od
2025 r. w Niemczech co rok mają po-
wstać elektrownie wiatrowe o mocy
10 GW. Tymczasem teraz moc elek-
trowni wiatrowych w Niemczech sza-
cuje się na ok. 56 GW. I aby wykonać
ten ambitny plan, nowe przepisy zo-
bowiązują niemieckie landy do prze-
znaczenia 2 proc. swojej powierzchni
na elektrownie wiatrowe.

WRÓŻENIE Z GAZOWYCH FUSÓW

Co zrobi Putin? Być może po przeglą-
dzie serwisowym gazociągiem Nord
Stream 1 gaz popłynie bez żadnych
przeszkód – zanim na Kremlu nie
zwiątrzą kolejnej okazji do wyciągnię-
cia straszaka wstrzymania dostaw.

Rosja może sprokurować kryzys
dostaw gazu za pośrednictwem Nord
Streamu 1 i próbować wymusić wtedy
uruchomienie bliźniaczego gazociągu
Nord Stream 2. Od końca 2021 r. jest
gotowy do eksploatacji, ale zarząd-
ca nie dostał unijnego certyfikatu. Po-
stępowanie w tej sprawie wstrzymał
rząd Niemiec dwa dni przed napaścią
Rosji na Ukrainę, gdy Rosja uznała
niezależność obszarów opanowanych
w Donbasie przez jej najemników.
A po decyzji rządu Niemiec sankcje na
szwajcarską spółkę Gazpromu, wła-
ściciela Nord Streamu 2, nałożył rów-
nież prezydent USA Joe Biden.

Putin może też spełnić obawy
unijnych polityków i wstrzymać do-
stawy gazu do Europy. Wtedy trze-
ba będzie racjonować gaz, być może
obniżyć temperaturę w domach zimą
do 19 st. C, co planują już we Wło-
szech, i zakręcać ciepłą wodę na noc
– jak planują niektórzy zarządcy do-
mów w Niemczech.

By zaoszczędzić gaz, samorząd
w Duesseldorfie przestał już podgrze-
wać wodę w publicznych basenach,
w Kolonii wyłączają nocne oświetle-
nie zabytków.

Do oszczędzania gazu nie zachę-
cają tylko politycy rządu PiS, nie
ostrzegają przed ryzykiem kryzysu,
który w razie wstrzymania dostaw
z Rosji nie ominie także Polski. Tym
bólśnieszsze może być przebudzenie
z letargu polityki ciepłej wody w kra-
nie, jeśli zimą jej zabraknie. ●

W PONIEDZIAŁEK W „WYBORCZEJ”



1 PORODY W NIEMCZECH.

Dlaczego Polki wolą
rodzić za granicą?

2 ŚWIĘCEŃ NIE BĘDZIE.

Drastycznie spada
liczba powołań
kapłańskich

NA FRONT

3 I Z POWROTEM.

Był dilerem, dziś
pomaga ukraińskim
żołnierzom

KOŚCIOŁY SIĘ SYPIĄ

Czy polskie katedry zmieniają się w restauracje? No coś z pustymi budynkami trzeba będzie zrobić



FOT. TOMASZ STANCIK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Z **PROF. TOMASZEM POLAKIEM**, FILOZOFEM I WSPÓŁTWÓRCĄ PRACOWNI PYTAŃ GRANICZNYCH NA UNIWERSYTECIE IM. ADAMA MICKIEWICZA W POZNANIU, ROZMAWIA **DAMIAN NOWICKI**.

W książce „System kościelny, czyli przewagi pana K.” wysunął pan tezę, że „gdyby system kościelny się zmienił, to musiałby upaść”.

– To, co nazywam systemem kościelnym, narodziło się w połowie pierwszego stulecia i jest rdzeniem wszystkich chrześcijańskich Kościołów. Różne sposoby przejawiania się tego rdzenia nazywam powłokami. Jest ich bardzo wiele, ale opierają się na tym, co stanowi rdzeń, czyli pewien konkretny sposób widzenia rzeczywistości oraz konieczność istnienia Kościoła. W historii wielokrotnie podejmowano próby reformy Kościoła, ale wszystkie dotyczyły powłok. Gdy tylko zmiany zaczynały zbliżać się do rdzenia, to natychmiast je ukrócano. Ci, którzy chcieli zbyt radykalnych reform, byli wypychani z kościelnej rzeczywistości, a status quo pozostawało niezmienione.

A co z „pęknięciem i załamaniem” autorytetu Kościoła katolickiego w Polsce, które zapowiadał pan jeszcze w 2008 roku? Od tamtego czasu byliśmy świadkami wielu skandali, kontrowersji,

publicznych debat, a wszystko dalej stoi i działa.

– Wiele rzeczy zapowiadałem i muszę się przyznać, że w kilku kwestiach się pomyliłem, aczkolwiek nie aż tak bardzo. Kryzys autorytetu Kościoła w Polsce już się zaczął, a dojście do władzy PiS paradoksalnie przyspieszyło ten proces. Moim zdaniem spowodowało to po stronie instytucji kościelnych brak refleksji i odrealnienie. Przede wszystkim biskupi i znaczna część księży tkwią w przekonaniu, że w każdych warunkach jakoś się wybronią. Tymczasem w maju biskup opolski ogłosił, że redukuje liczbę parafii, bo brak mu księży. Zaraz będą to robili inni – mają podobną sytuację. Chyba żadna diecezja w Polsce nie ma już zdolności zastępowania starszych księży, odchodzących na emeryturę czy umierających, młodymi. Do tego doszła degrengolada instytucjonalna, a zwłaszcza moralna, która nie dotyczy wyłącznie nadużyć seksualnych, ale wielu innych sfer, jak finanse, sposób powoływania duchownych czy traktowania wiernych. Ta bezrefleksyjność jest dla mnie wręcz bezmyślnością. Działania osób i instytucji kościelnych w Polsce są najwyraźniej zamknięte w oczywistym dla nich, ale rozmiągającym się z rzeczywistością społeczną i kulturową fantazmacie.

Ale czy paradoksalnie nie jest to idealny czas na bycie księdzem? Zakładając oczywiście czysto oportunistyczne założenia osoby, która myśli o stanie duchownym jako o ścieżce kariery.

– Moim zdaniem taka zachęta oportunistyczna jeszcze istnieje, ale w bardzo niewielkim stopniu, w każdym razie w stosun-

ku do tego, co było kiedyś. Gdy byłem w latach 80. i 90. rektorem seminarium, rzeczywiście spotkałem niejednego kleryka, który myślał o stanie duchownym jako pewnego rodzaju bezpiecznej przystani. Dzisiaj to już nie działa, a młodzi kapłani na własne oczy widzą, jaka przyszłość się maluje. Widzą, że skoro odpływ wiernych jest szybszy od dopływu księży, to będzie tylko trudniej.

Czy kiedy odejdą Nycz, Gądecki czy Jędraszewski, których nazwał pan „strażnikami minionej epoki”, to w polskim Kościele pojawią się miejsce i możliwość na realne zmiany?

– W obecnym modelu nominacji biskupich wszyscy wybrani w ostatnich latach, zarówno biskupi pomocniczy, jak i diecezjalni, prezentują postawy bardzo podobne do tego, co prezentowali ich starsi koledzy. Są oczywiście wyjątki, ale w tej chwili nie mają szans dojść do decydujących pozycji. Gdy wymrą starsze pokolenia, zaczną się największy kryzys – finansowanie Kościoła. Biskupi polscy – mimo że ich wielokrotnie do tego namawiano – do dzisiaj nie uregulowali tej kwestii. Wciąż opierają się przede wszystkim na dobrowolnych datkach, natomiast fundusz kościelny to kropla w morzu w stosunku do rzeczywistych kosztów. Najwięcej Kościół czerpie z symbiozy z instytucjami państwowymi – ze szkołą, systemem opieki zdrowotnej czy wojskiem – część duchownych otrzymuje całkiem pokaźne uposażenia. Diecezje z kolei otrzymują dotacje na utrzymanie wydziałów teologicznych. Dzisiaj to jest spore zaplecze, ale się nieubłaganie kurczy ze względu na malejącą liczbę chętnych. W młodszych pokoleniach jest coraz

mniejsze zainteresowanie religią i w konsekwencji teologią. To wszystko przekłada się np. na uczelniane czy szkolne algorytmy finansowania, ponieważ nikt nie zatrudni nauczycieli do nauczania pustych sal.

Według statystyk obecność i znaczenie Kościoła są większe w mniejszych miejscowościach i wsiach. Co musiałoby się wydarzyć, aby i tam zaszła erozja?

– Zmiana kulturowa w mniejszych miejscowościach i na wsiach już trwa, zwłaszcza w młodszych pokoleniach, tyle że wolniej i mniej widocznie niż w większych ośrodkach. Następuje tam osłabienie charakteru uczestnictwa w życiu Kościoła. Mówiąc wprost: ludzie, którzy spędzają pół nocy z soboty na niedzielę w klubach i dyskotekach, raczej się nie palą na poranne czy nawet popołudniowe msze. To również jest erozja, tylko nieco mniej spektakularna i mniej podbudowana świadomymi protestami wobec Kościoła. Taka powolna erozja w końcu też doprowadzi do upadku. Warto jednak zwrócić uwagę na inny aspekt, który dotyczy i wsi, i metropolii: radykalizująca się prawicowo młodzież, która przynajmniej formalnie odwołuje się do katolicyzmu. Tej grupy nie należy lekceważyć. Jej los jest ściśle związany z przyszłością polityczną, ponieważ przegrana obecnego obozu władzy i powrót bardziej liberalnego ugrupowania zadziałają na nią jak płachta na byka i jeszcze bardziej ją zradykalizują.

A czy przypadkiem nie będzie to dobry moment właśnie na jakieś reformy i pojawienie się polskiego reformatora? Czy będzie polski Luter?

– To utopia. Przede wszystkim dlatego, że nie ma kandydatów, którzy mogliby wyrazić i dobitnie sformułować taki program. Teoretycznie są ludzie, którzy rozumieją, co się dzieje, ale nie wygląda na to, by mogli mieć wpływ na przyszłość Kościoła. Zresztą problem jest już tak wielki, że nikt nie zdoła nad nim zapanować. Nawet ci, którzy próbują zakrzyczeć to, co nieuniknione. Po drugie, nie ma ku temu platformy. Środowiska w Polsce, które poważnie myślą o przyszłości Kościoła, takie jak „Więź” czy „Znak”, są elitarne. Mówią i piszą wiele słusznych rzeczy, ale nie wywołują żadnego wstrząsu czy rewolucji. Kiedy Kościół instytucjonalny w Polsce się rozspie, może ktoś znaleźć w sobie odwagę do zmiany paradygmatu, ale wtedy nie będzie już komu tego poprzec.

Dlaczego laikat katolicki ze środowisk „Więzi” i inni nie mają odwagi protestować głośniej?
– Nie chcę być niesprawiedliwy. Oni naprawdę myślą o przyszłości i myślą „głośno” w ramach swoich możliwości. Problemy są dwa. Po pierwsze, wciąż myślą o tym, co jeszcze dałoby się uratować. To rozumiem, ale prowadzi to donikąd, bo dla ewentualnych propozycji ratunku nie ma w Polsce zrozumienia. Po drugie, niestety są lekceważeni i niedoceniani – zarówno ze strony „Kościoła oficjalnego”, jak i tzw. zwykłych wiernych. Niesłusznie, ale skutkiem jest ich bezsilność.

Śluchając polskich duchownych, można pomyśleć, że stałym elementem medialnego repertuaru jest straszenie: homoseksualizm, rozwody, uchodźcy, LGBT i ogólnie degrengolada Zachodu, która demoralizuje polską młodzież. Czym jeszcze, pana zdaniem, polscy kościelni mogą straszyć i jak długo potrw scenariusz obłąconej twierdzy?
– Polscy duchowni, szczególnie wysocy rangą, stają się coraz bardziej bezsilni i moim zdaniem dobrze zdają sobie z tego sprawę. Nie wierzę, aby ktoś tak inteligentny i zorientowany w polityce jak arcybiskup Jędraszewski naprawdę wierzył, że wróci świat z jego przeszłości. Moim zdaniem dobrze wie, że sprawa jest przegrana, ale mówi to, co mówi, ponieważ tego wymaga narracja, w której się okopał.

Czy to oznacza, że polskim Kościołem sterują tak naprawdę cynicy, którzy krzyczą najgłośniej o tym, w co sami nie wierzą?
– Cynicy są w Kościele niewątpliwie i realnie żyją w zupełnie innym świecie niż ten, który deklarują. Uważam jednak, że większość tkwi w kościelnym fantazmacie, ponieważ nie potrafią sobie wyobrazić życia poza nim. Nie dociera do nich, że warunki do podtrzymywania tego stanu rzeczy właśnie się kończą i pewnego dnia zderzą się z rzeczywistością. Już dawno pewien mój kolega ksiądz powiedział, że obecne pokolenie biskupów ma jeszcze zapewniony byt materialny, a ludzi i zasobów starczy im, aby utrzymać swój dotychczasowy komfort. Następne pokolenie nie będzie już miało takich wpływów i możliwości, ale ponieważ nie znaleźli żadnego nowego pomysłu, jak sobie z tym radzić, polegają.

Niespełna dwa lata temu przeczytałem wywiad z Tomaszem Terlikowskim, gdzie stwierdził, że jako katolicy „myśmy już przegrali”. To, pana zdaniem, jeszcze cynizm, jakiegoś rodzaju oportunizm czy jednak radykalna ewolucja poglądów?
– Terlikowskiego znam od dawna i rzeczywiście przeszedł sporą ewolucję. Sądzę, że wierzy w to, co napisał w swojej książce „Koniec Kościoła, jaki znamy”. To także rodzaj rozliczenia z jego wcześniejszymi poglądami, choć oczywiście w wielu sprawach pozostaje kościelnym konserwatystą. Jego byli zwolennicy krytykują go za te zmiany i próbują zrobić z niego heretyka, ale to Terlikowski w większości przypadków ma rację. Jednak także on nie ma w gruncie rzeczy pomysłu na to, co dalej.

Czy jego przypadek dowodzi zatem, że realna zmiana jest możliwa, czy to jednak instynkt samozachowawczy?
– Zmiana jest możliwa. Terlikowski zawsze był zdecydowaną i wyrazistą osobowością, także w fazie silnie konserwatywno-religijnej. A ponieważ jest „medialny” i chyba nie wyobraża sobie życia poza mediami, taki jest skutek. Należy jednak podkreślić, że bardzo mało jest takich postaci w środowiskach myślących katolików.

A więc proces sekularyzacji trwa, przyspiesza i nie da się go odwołać, a jednocześnie rdzeń jest niezmienniany, to jaka będzie dalsza trajektoria Kościoła? Czy kryzys wiernych, powołań oraz finansów w końcu zmusi polskie duchowieństwo do reform, czy jednak obrano kierunek na autodestrukcję?
– Moim zdaniem to droga do autodestrukcji, a przykładem jest to, co się dzieje w Niemczech, gdzie trwa debata nad bardzo radykalnym projektem reform. Przewodniczący tamtego procesu synodalnego chcą m.in. demontować klerykalizm kościelny, wprowadzić otwarcie na homoseksualizm czy różne formy wspólnego życia, niekoniecznie małżeńskiego, ale także na nowo ustawić kwestie zarządzania instytucjami. Konserwatywni krytycy z kolei twierdzą, że to doprowadzi do upadku Kościoła, ponieważ zabraknie jego substancji. Uważam, że ci ostatni częściowo mają rację, ponieważ proponowane zmiany są bardzo blisko naruszenia rdzenia, a Kościół, który miałby się z tego procesu narodzić, będzie po prostu nieco bardziej religijny, ale przede wszystkim strukturą biurokratyczną. Sytuacja jest naprawdę beznadziejna. Wysiłki reformatorskie dalej będą się pojawiały, ale w istocie nic z tego nie wyjdzie.

Przegrana obozu władzy i powrót liberalizmu zradykalizują prawicową młodzież

Jak ludzie poradzą sobie z dziurą mentalną i egzystencjalną po Kościele? Przecież nie wszyscy wierzący katolicy będą to mogli zastąpić np. farmakologią i samorozwojem.
– To nie jest prawdziwa alternatywa. Po pierwsze, nie sądzę, żeby pojawiła się silnie odczuwana „dziura mentalna i egzystencjalna po Kościele”. Tradycyjne kościelne formy religijności stopniowo się rozspięją, ale ludzie wrażliwi i myślący, a jest ich wcale nie mało, są zdolni do wielu różnych form nowej duchowości, natomiast ludzie mniej myślący do wielu form „parareligijnych”. Jedne i drugie już się pojawiły. Trudno powiedzieć, jaka będzie przyszłość, ale na pewno niepozabawiona jakiegokolwiek duchowości.

A więc w przyszłości jednocześnie nie będzie komu chodzić do kościoła ani komu w nim głosić. Co w takim razie z wizją pustych katedr? Polska czeka to, co Zachód, gdzie zdesakralizowane kościoły staną się np. basenami?
– Albo restauracjami. U nas, jak sądzę, takie procesy również będą, gdy w końcu zabraknie i wiernych, i księży, a ktoś z kurii stwierdzi, że coś z tymi budynkami trzeba zrobić. Na razie mamy w tej kwestii do czynienia z silnym oporem emocjonalnym ze strony instytucji kościelnych. Jest i będzie także znacznie większy niż w Irlandii czy Niemczech opór społeczny, bo „kościół to przecież kościół”. Uważam, że Polskę czeka raczej wariant irlandzki, ponieważ tak jak tam w Polsce mamy do czynienia z bardzo głębo-

ko zakorzenionym społecznie katolicyzmem traktowanym jako część tożsamości narodowej. Polska dość długo opierała się procesom sekularyzacyjnym i laicyzacyjnym, a te zmiany miały formułę bardziej „podgryzania” substancji. Okazało się, że jednak nie ma podglebia, którym szczylicili się nasi duchowni, i wszystko zaczyna siadać. W Irlandii ten proces był stosunkowo szybki: jedno czy dwa dziesięciolecia. U nas, myślę, będzie podobnie.
Rozpad Kościoła w Polsce odbędzie się przez zubożenie, zarówno ze strony wiernych, jak i po części duchowieństwa. Rozspie się rozbudowana publiczna obecność Kościoła i jego zdolność odgrywania ról społecznych. Po prostu nie będzie chętnych, aby od Kościoła czerpać różnego rodzaju usługi czy pomoc. Na tym polega właśnie degrengolada, która przepelnia całą kościelną strukturę: od dołu po jej szczyty.
A co z modelami świeckimi, które funkcjonują np. w Skandynawii czy Japonii. Czy za kilka dekad można by spróbować to implementować w Polsce, czy jesteśmy tak głęboko zespoleni kulturowo i tożsamościowo, że jakaś forma katolicyzmu będzie musiała istnieć?
– Wydaje mi się, że nie dojdzie do takiej sytuacji. Struktury, które funkcjonują dzisiaj, zmieniają się w swego rodzaju zombi, skurczą się do poziomu, w którym nie będzie dosyć ani wiernych, ani duchownych. Z kolei jako społeczeństwo niewątpliwie jesteśmy nadal spleądani z katolicyzmem. Kiedy to w końcu upadnie, to w to miejsce nie wejdzie taki model jak na Zachodzie, gdzie są ugruntowane tradycje społecznej demokracji, etosu zorganizowanego życia społecznego. W Polsce, ale także w innych miejscach świata, może to się skończyć pewnym rodzajem anomii,

Wielka sobota z małym Rudnickim

Teoria bezwzględności Einsteina

Janusz Rudnicki

Bywał człowiekiem podłym. O Milewę mi chodzi, pierwszą jego żonę. Zdolna niebywale, jedyna kobieta, która wtedy studiuje fizykę. Zachodzi w ciążę, są za młodzi, rodzi potajemnie. Namawia ją, żeby oddała córkę do adopcji, co czyni. Biorą ślub, znowu zachodzi w ciążę, rodzi syna, potem drugiego, ten upośledzony.
Pomaga mu w pracy nad teorią względności, jej udział sam potwierdza w liście: jaki będę dumny i szczęśliwy, kiedy nasza wspólna praca dobiegnie końca. Kiedy dobiega, i kiedy staje się coraz bardziej znany, końca dobiega także ich związek. Nasz Albert zrywa się z małżeńskiego palika. Zakochuje się w kuzynce, ta zostanie potem jego drugą żoną, ale jeszcze nie, jeszcze Milewy na Allegro nie wystawia. We wspaniałomyślności swojej stawia jej warunki, na jakich ewentualnie zgodziłby się pozostać jej mężem. Ze względu na dzieci, nie na nią. Skrzętnie naskrobany piórem pakt diabła z niewolnicą, przykład paradny męskiego szowinizmu, jeśli miałoby tu paść jedno tylko słowo, proszę bardzo: skurwysyn.
Oto jakże mało znana u nas teoria bezwzględności Einsteina. W zarysie.
„Starasz się o to, żeby moje ubrania i bielizna utrzymywane były w należytym porządku. Żebym otrzymywał trzy posiłki dziennie dostarczane należycie do mojego pokoju. Żeby moja sypialnia i gabinet zawsze utrzymane były w należytym porządku, a w szczególności o to, żeby moje biurko było wyłącznie do mojej dyspozycji.
Rezygnujesz z jakichkolwiek relacji osobistych ze mną, z wyjątkiem takich sytuacji towarzyskich, w których zaistnieje konieczność wyższa. W szczególności rezygnujesz z tego, że przebywam z tobą w domu. Wychodzę z tobą lub z tobą podróżuję.
Zobowiązujesz się solennie, obcując ze mną, przestrzegać, co następuje: Nie masz prawa oczekiwać ode mnie żadnych czułości ani czynić mi żadnych wyrzutów. Jeśli zwrócisz się do mnie, masz natychmiast przerwać, jeśli tylko tego zażadam.
Masz natychmiast, nie protestując, opuścić moją sypialnię lub gabinet, jeśli tylko tego zażadam”.
Czyżby miała ta rozwydrzona suka czelność nie dotrzymać jednego z warunków? Tak czy inaczej, już po dziesięciu dniach opuszcza ją. Niech sobie wraca, szmata jedna, do Zurychu, on sobie zostanie w Berlinie. Niech sobie wegetuje tam ta wywłoka sama z dziećmi, dostanie jakieś tam procenty z jego Nagrody Nobla, to może pokryć koszty leczenia syna, po co jej więcej? Niech dwa wylewy dośtanie ta raszpla i niech nie opuszcza łóżka, po co, i tak miała szczęście, że mogła być przy dyszlu jego CV. Grobu po niej nie ma? Likwidacji uległ? A kto miał płacić za tę chabętę opłaty eksploatacyjne? I po co grób? I tak była nikim, więc w nic obracać się nie musiała. ●



Nasz prezydent nie do końca nie rozumie, że Ukraina jest wspólna, należy pospołu do władzy i opozycji.

Z **MYKOŁĄ KNIAŻYCKIM**, UKRAIŃSKIM POŚŁEM, ROZMAWIA **PAWEŁ SMOLEŃSKI**

Był pan przed wojną w opozycji wobec prezydenta Zelenskiego. Stawialiście mu oraz jego otoczeniu poważne zarzuty: populizm i otaczanie się ludźmi wątpliwej kondyty, w tym kremlofilami. Dzisiaj Zelenski jest twarzą ukraińskiego oporu, a więc walki o europejskie wartości.

– Trzeba pamiętać, że z Rosją walczy nie tylko prezydent Zelenski, a nawet nie tylko armia, ale całe społeczeństwo. Prezydent doskonale rozumie, że dzisiaj musi podobać się całemu narodowi, i umie to robić, bo jest zawodowym showmanem, a i pokazuje wolę walki. Wie także, że Ukraińcy walczą z Rosją niezależnie od postaw polityków.

Przed wojną jego umiejętności aktorskie i zdolność do wciągania widzów w świat filmowej fikcji mogły się nie podobać. Dzisiaj z wielkim sukcesem wykorzystuje to do podtrzymywania ducha narodu oraz do zdobywania światowego poparcia dla Ukrainy. Nie sądzę, by ktokolwiek był temu przeciw. Gdy wybuchła wojna, został w Kijowie, co doceniają Ukraińcy i wszyscy, którzy nam sprzyjają. Ale w Kijowie został również Petro Poroszenko, przeciwnik Zelenskiego, oskarżany przez niego o różne niegodziwości. Zostali inni poważni politycy, z obozu władzy i opozycjoniści. Wola walki z Rosją nie jest w Ukrainie niczym wyjątkowym.

Nie czynię Zelenskiemu zarzutów, że jako człowiek telewizji umie pokazywać ukraińskie racje, zwłaszcza na zewnątrz. Co było wadą, może być zaletą. Mam jednak wrażenie, że do końca nie rozumie, że Ukraina jest wspólna, należy pospołu do władzy i opozycji.

Co to znaczy?

– Niedawno odbyła się konferencja w Lugano na temat przyszłości i odbudowy Ukrainy. Przemawiał na niej przez wideo prezydent, lecz nie dopuścił do głosu ludzi, którzy są ukraińskimi patriotami, lecz niekoniecznie się z nim zgadzają. A tu nie szło o wojnę z Rosją, ale o to, co po wojnie, jak mamy się urządzać, jak odbudować kraj.

Do Szwajcarii chcieli pojechać demokratycznie wybrani merowie, np. Czernihowa i Mikołajowa, przed wojną w kontrze do Zelenskiego. Nie przekroczyli granicy, bo nie

wypuściła ich policja, która podlega prezydenckiej administracji. Podobnie postąpiono z Poroszenką, gdy chciał pojechać na parlamentarne zgromadzenie państw NATO. Nie było ku temu podstaw prawnych, a wyłącznie widzimisię kogoś, kto podlega Zelenskiemu i, być może, w biegu czytał jego myśli albo podporządkował się poleceniu kogoś z góry.

Cała polityczna Ukraina, władza i opozycja, musi zmienić stosunek do polityki. Ludzie, którzy teraz walczą, nie będą umieli zaakceptować przekupstwa państwa

Żeby była jasność – wiadomo, że w obu przypadkach popełniono pomyłkę, a Poroszenko w końcu pojechał na rozmowy. Co nie wyklucza, że najbliższe otoczenie prezydenta uważa, że opozycji, zupełnie po rusku, należy psuć szyki. Zelenski nie lubi Poroszenki, więc mamy – myślą czynownicy – placet najwyższej władzy, żeby mu dokuczać.

Opozycja wspiera Zelenskiego albo bardziej precyzyjnie – wspiera prezydenta Ukrainy, powagę urzędu i jego znaczenie dla kra-

ju. Ale zdaje nam się, że zwłaszcza teraz Zelenski powinien szukać dialogu z opozycją, zwłaszcza z jej wyborcami liczącymi w miliony głosów.

Czy Zelenski dojrzeje do takiej mądrości?

– Mądrość będzie w wielkiej cenie, gdy Unia przedstawi Ukrainie szczegółowe wymagania dotyczące kandydowania. Mówimy w końcu o regulach europejskiego prawa w sprawach podstawowych wartości, które stanowią o podstawach Unii. U nas tymczasem, powołując się na szczególną sytuację, wypchnięto z powszechnego obiegu trzy niezależne kanały telewizyjne i dzięki temu rząd gra zasadniczą rolę w mediach.

Mówi pan jak adwokat własnej sprawy.

– Przy telewizyjne kanały zniknęły ukazem prezydenckim z platform naziemnych. Tłumaczenie jest tak dziecięco infantylne, że nie warto go wspominać. Przecież problem nie tkwi w wiarygodności przekazu ani w wymogach informacyjnych czasów wojny, lecz w potrzebie monopolu i prezentowania jedynie słusznej racji.

Akurat nasza Espresso TV, przymuszona tą decyzją, rozwinęła stronę internetową, jest w kablówkach, więc zasięg się nie zmniejszył. Lecz idzie o nadrzędne zasady: żaden prezydent i jego biuro, w żadnych okolicznościach nie może szykanować mediów, które nie chcą się poddać kontroli, tak jak nie może zabronić liderom opozycji wyjeżdżać z kraju w ukraińskich sprawach. Partie mogą się spierać, liderzy nie lubić, debata z przeciwnymi racjami jest istotą polity-

FOT. HANDOUT/AFP/EAST NEWS



ki. Lecz ponad wszystkim jest prawo, któremu podlegają prezydent, szef opozycji i każdy obywatel.

Jestem, jak wielu Ukraińców, bardzo rozczarowany, że Boris Johnson, nasz wielki sojusznik, przestanie być premierem Zjednoczonego Królestwa. Był pierwszym liderem Zachodu, który przyjechał do Kijowa. Ale rozumiemy, że skoro złapano go na złamaniu reguł, to musi odejść. Takie same reguły muszą obowiązywać w Ukrainie.

Myślę przewrotnie, że Johnson umocnił związki Zełenskiego z Zachodem. Nasz prezydent mógł się z nim lepiej rozumieć niż z innymi, gdyż – zgódźmy się – obaj są populistami. Ale też Johnson pokazał, że demokracja ma zasady, a za kłamstwo się płaci.

Jakim politykiem jest Zełenski?

– Skomplikowanym, jak wszystko, co dzieje się dzisiaj w Ukrainie, prócz powszechnej woli zwycięstwa, bo ta jest akurat bardzo prosta. To populistą, w jakimś sensie polityk posowiecki, ale też – paradoksalnie – europejski. Więcej – jest daleko mniejszym populistą i większym Europejczykiem niż kłakierzy Putina w rodzaju Marine Le Pen czy Gerharda Schrödera. Nie mówiąc już o Orbánie.

Ukraina została oficjalnie zaproszona do kandydowania do Unii Europejskiej. To jak zaproszenie na bal, które wam się bez najmniejszej wątpliwości należy. Ale do balu trzeba się przygotować.
– Dla nas to oznacza jedno: definitywnie przestajemy być posowiecką, rosyjską ko-

lonią, czego doświadczaaliśmy zdecydowanie za długo. Przestajemy być państwem buforowym między Zachodem a Rosją. Jesteśmy Europejczykami. Oznacza to pracę na rzecz demokracji, wolności słowa, swobód obywatelskich, tych wartości, które są wspólne dla europejskiej cywilizacji, a dzisiaj, jak i wcześniej, czynnie bronione przez Ukraińców.

Nie wychodziło to kiedyś najlepiej, skoro Ukrainą rządziły układy, korupcja, oligarchia, co upodabniało nas do porządków właściwych Rosji. Lecz zawsze byli między nami ludzie, którzy nie chcieli być rosyjską przybudówką. Podczas Majdanów okazywało się, że to większość. Dzisiaj większość bezapelacyjna.

Myślę, że dzisiejsze uczucia i nadzieje Ukraińców są takie same jak Polaków, gdy wstępowaliście do NATO i UE. Przeżywaliście wówczas to samo co my dzisiaj.

Gdy Polska wchodziła do UE, nie było pośród nas jedności. Głos większości narodu, czyli zwolenników Unii, starała się zakrzyczeć nacjonalistyczna prawica oraz populiści, którzy poculi, że ktoś będzie patrzeć im na ręce. Dzisiaj ci sami ludzie starają się rozluźnić związki Polski z Unią, upatrując w Europie, Berlinie, Brukseli takich samych wrogów jak Kreml. Głoszą to nawet politycy partii rządzącej.

– Gdy patrzę na polskie społeczeństwo, dostrzegam dwa narody. Pierwszy to demokraci, liberałowie, zdający sobie sprawę, że wrócili do Europy, co przez dziesięciolecie wydawało się nieosiągalne. Drugi – to narodowcy, populiści. Tak dzisiaj się złożyło, że oba wasze narody trzymają z Ukrainą przeciwko rosyjskiemu imperializmowi. To spoiwo, które, mimo wszystkich różnic, dzisiaj was jednoczy.

Ukraina miała o jeden naród więcej. Pierwszy – ludzi, którzy brali udział w Majdanach, chwycili za broń już w 2014 roku w Donbasie, szanujących ukraińską kulturę, język i naszą wielobarwność, Greków, Żydów, Polaków, Tatarów i wielu innych narodów dawniejszego kremlowskiego imperium. To wszystko zawsze sytuowało ich po stronie Europy, jako wyznających poglądy demokratyczne, antymoskalskie, więc narodowe, lecz nie nacjonalistyczne.

Drugi naród to mentalni Ruscy, głoszący za prorosyjskimi partiami, przesiąknięci sowiecką ideologią i wiarą w „russkij mir”. Byli wyborcami opozycyjnego ugrupowania Za Życiem i podobnych tworów, dzisiaj w Ukrainie zdelegalizowanych. Słusznie, bo żaden kraj, zwłaszcza w stanie wojny, nie toleruje zdrajców i piątej kolumny.

Trzeci naród to magma, kierująca się hasłem „a jaka różnica?”. Nie miało dla nich znaczenia, w jakim języku mówią, czy mieszkają w Europie, czy w Rosji. Liczyło się, żeby przeżyć i zarobić parę groszy.

Tak z grubsza wyglądała polityczna mapa Ukrainy. Nie mieliśmy, wbrew kremlowskiej propagandzie, zbyt wielu skrajnych nacjonalistów, nie byli wybierani do parlamentu. Możliwe było tęskniących za Sowietami, ale też z upływem czasu niekoniecznie. Ukraińcy, nawet w złych czasach, byli demokratycznym narodem.

Więcej – gdy na horyzoncie pojawiły się nasze marzenia o Unii, jeszcze bez żadnych deklaracji Zachodu, demokraci i magma nie jako się zjednoczyli. Demokraci z powodu zasad i szans na ich realizację. Magma, bo w sposób naturalny uznali, że w Unii żyje się lepiej niż w Rosji, no więc jednak jest jakaś różnica. Nie odmieniło to ich spojrzenia na korupcję, oligarchię i codzienne cwaniactwo omijające prawo. Uwierzyli, że to akurat członkostwu w Unii nie powinno przeszkadzać. Z całkowicie różnych powodów obie grupy uznały, że Ukraińcy powinni być niezależni od Moskwy, w sojuszu z NATO i UE.

Przeciw Unii byli tylko mentalni Ruscy. Tu spotkali się z marginesem izolacjonistów i ultraprawicy, która oficjalnie nie lubiła Rosji, choć mogła być na kremlowskiej liście płac.

W tej sytuacji musiał zabrać głos Putin. Zrobił to w 2014 roku, tuż po Majdanie Godności, kradnąc Krym i część Donbasu, rozpętując regularną, lecz niedo-

strzeżaną przez Zachód wojnę na wschodzie Ukrainy.

– Nie idealizuję Ukraińców, dlatego powiem, że tylko dwie trzecie mentalnych Rusków radykalnie zmieniło zdanie na temat Moskwy. W tej jednej trzeciej najeźdźcy szukają zdrajców i kolaborantów i zbyt często im się udaje ich znaleźć.

Ale większość zobaczyła na własne oczy, jakie zasady rządzi „russkim mirem”, więc uciekli przed wojną na zachód, co zaleca cywilom nasza administracja, a wielu chwyciło za broń i biją się za niepodległość. Jest wielka różnica między posowiecką nostalgią i utopijnymi wyobrażeniami na temat Rosji a doświadczeniem jej w praktyce. Dramatycznej przemiany doznali nie tylko zwykli ludzie, ale też ważni politycy. Deputowanym z Charkowa jest Mychajło Dobkin, przed wojną zwolennik przymierza z Kreml, aktywista prorosyjskich frakcji w parlamencie. Gdy w 2014 r. trwał kijowski Majdan, a protesty rozlewały się po całej Ukrainie, Dobkin organizował w swoim mieście wsparcie dla moskiewskiego agenta Wiktora Janukowycza, stał za Berkutem, specjalnymi oddziałami janukowczowskiej policji, i działał tak, by w Charkowie stało się to samo co w Doniecku i Ługańsku. Wydawał się człowiekiem nie do przekonania, tymczasem co nie udało się Ukraińcom, bardzo zgrabnie załatwił Putin.

Dobkin pewnie zbyttnio się nie spodoba Polakom, bo występuje dzisiaj pod czarno-czerwonymi barwami Ukraińskiej Powstańczej Armii. Lecz warto zastanowić się nad jego przypadkiem. Przecież w Charko-



Do Szwajcarii na konferencję o odbudowie Ukrainy chcieli pojechać merowie Czernihowa i Mikołajewa. Nie przekroczyli granicy, bo nie wypuściła ich policja. Podobnie postąpiono z Poroszenką, gdy jechał na zgromadzenie państw NATO

wie nigdy nie było ukraińsko-polskich napięć, ani przed II wojną, ani podczas niej, ani później. Dobkin z flagą UPA to żadna antypolskość, tylko demonstracja antyrosyjskości.

Albo mer Krzywego Rogu Jurij Wilkuł, jeszcze niedawno członek prorosyjskiego ugrupowania Za Życiem. Wilkuł sprzeciwiał się językowi ukraińskiemu, uważał, że rosyjski nam wystarczy. Gdy wybuchła wojna, magistrat Krzywego Rogu i jego szef organizują obronę, a w rosyjskojęzycznym mieście masowe kursy języka ukraińskiego, bo – jak oznajmił mer, niedawno mentalny Rusek – wszyscy Ukraińcy muszą znać ukraiński.

Dobkin i Wilkuł to dość powszechne przykłady ludzi, którzy chowali się w bardzo konkretnej, posowieckiej rzeczywistości, oglądali Russia Today, więc sławili zalety „russkiego mira”. Mielśmy wielu dziennikarzy pracujących dla mediów Wiktora Medwedczuka, ruskiego kolaboranta, kumpla i powinowatego Putina, którego moskiewski dyktator w końcu olał jak wszystkich niepotrzebnych mu sojuszników. Telewizyjne kanały Medwedczuka, który dzisiaj siedzi pod kluczem, pracowały za moskiewskie pieniądze i prezentowały zalety kremlowskich porządków. Miały utrzymać nas w przekonaniu, że jesteśmy Małorosją. Do wojny ci dziennikarze prosili, by Putin wziął pod skrzydła Ukrainę, a dzisiaj wzywają „idi nachuj”.

Kiedy Sowietci zaanektowali w 1939 r. zachodnią Ukrainę, wówczas w polskich granicach, wielu członków Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy, mieszkańców Lwowa

czy Stanisławowa, uważało, że spełniły się ich największe marzenia, wreszcie są częścią wielkiej ojczyzny proletariatu. Ale szybko doświadczyli na własnej skórze, czym jest państwo Stalina, pojechali do łagrów albo poszli pod ścianę. Nagle do ludzi naprawdę ideowych i gotowych do poświęceń, którzy w sanacyjnej Polsce byli gotowi siedzieć za przekonania, dotarła prawda. Najbardziej pouczające są lekcje, których nauki odczuwa się na własnej skórze.

Lata temu moi znajomi z Ameryki Południowej odkochali się w Sowietach, gdy liznęli porządków panujących w PRL. Niestety, papież Franciszek tego nie doświadczył, więc nie umie się odkochać w Rosji.

– Przypadek Ukrainy jest bardziej skomplikowany niż Franciszka. Rosja zapowiadała, że rozgoni nas w trzy dni. Nic z tego nie wyszło. Niektórzy mający w pamięci 2014 rok, darmowe oddanie Krymu czy części Donbasu zobaczyli, że to już nie ta sama Ukraina. W swym przedwojennym pesymizmie mieli wielkich sojuszników; tak samo uważało NATO, USA, Europa. Okazało się, że zdrajców jak na lekarstwo, armia skutecznie walczy, państwo się trzyma. Absolutnie cudowna pomyłka Zachodu i ukraińskich niedowiarzków.

Kiedy Ukraina nie tylko przetrwa, ale i zwycięży, co będzie wam najbardziej potrzebne, od czego zaczniecie odbudowę?

– Wcześniej potrzebujemy broni, broni i broni. O to winien martwić się Zachód, w swoim własnym interesie, a nie o naszą wolę zwycięstwa. Gdyby broń z Zachodu nadeszła wcześniej, już po rosyjskiej agresji na Krym i Donbas, dzisiejszej wojny by nie było. Prezydent przypomina o tym światu i ma stu-procentową rację.

Ale i tak, jak wszyscy Ukraińcy, chcę podziękować za dostawy z USA i Wielkiej Brytanii, za polskie kraby, karabinki, broń przeciwlotniczą. To wielka sprawa, podobnie jak wasza jedność w sprawie pomocy i solidarność z moim krajem.

Musimy też, już od dzisiaj, przyglądać się narodom i krajom, które przed nami budowały demokratyczne państwo. Podoba mi się przykład Izraela, całego narodu i jego ojców założycieli, którzy umieli prowadzić wielką politykę, walczyć, ale też pracować razem z ludźmi, nie szukali zaszczytów i dostatków. Jeśli Ukraina po raz kolejny da się omamić oligarchom, przyzwoli na korupcję, to nawet gdy wygramy wojnę, będziemy częścią „russkiego mira”, stracimy międzynarodową sympatię i znów wejdziemy na ścieżkę, która Putina albo jego następcę zachęci do nowej agresji.

Cała polityczna Ukraina, władza i opozycja, musi zmienić stosunek do polityki, nauczyć się jej od nowa. Ludziom, którzy teraz walczą, nie są potrzebne korupcja, oligarchowie, nie będą umieli zaakceptować przekupnego państwa.

No i już dziś potrzebujemy pieniędzy na odbudowę, która rozpocznie się w pełnej skali po zwycięstwie, ale musi zacząć się teraz. Prosimy o jak największe wsparcie dla naszej gospodarki. Jeżdżę po kraju od Lwowa i Kijowa po daleki wschód i oglądam zniszczenia jak z filmu o apokalipsie. Wielu Ukraińców wyjechało już przed wojną. Wielu wróciło, bo ktoś musi wojować. Ale też ktoś musi pracować i Europa może w tym pomóc. ●

Mykoła Kniażycki

• ur. w 1968 r., dziennikarz, poseł ze Lwowa Rady Najwyższej Ukrainy, przewodniczący komisji parlamentarnej ds. stowarzyszenia Ukrainy z UE. Był m.in. prezesem telewizji STB i UT-1. Współtwórca kanału TVi, a następnie liberalnej telewizji Espresso, która po Majdanie 2014 roku stała się jedną z najważniejszych ukraińskich stacji.

Adam Michnik poleca

KOMU WOLNO WIĘCEJ

W Polsce wszyscy są realistami. A w każdym siedzi awanturnik i arogant

Marek Beylin

Realizm polityczny to postawa tyleż pożądana, co podejrzana. Nikt bowiem, kto diagnozuje rzeczywistość lub w niej działa, nie uważa się za fantastę. Zwłaszcza w czasach trudnych, gdy przyszłość staje się niepewna i groźna, rośnie popyt na realistów – osoby, które trafnie rozpoznają ducha czasu.

Toteż dziś, gdy w sąsiedztwie hula wojna Putina, a u nas panoszy się pisowski putinizm, gdy grozi nam zapaść gospodarcza, a całemu światu katastrofa klimatyczna, i nikt nie potrafi stwierdzić, jaka będzie przyszłość, każdy i każda, kto ma opinię o sprawach publicznych, uważa się za realiste/realistkę. A ponieważ takich opinii jest pełno, Polskę wypełnia hałas skłóconych realizmów.

Wszak realistami nazywają siebie stronnicy Putina, bo wierzą w wieczny prymat jego doraźnej siły. Ba, widzą w sile i dominacji najważniejszy instrument polityki, ponieważ, jak sądzą, tylko tak da się stworzyć trwały ład. Traktują więc tych, którzy wspierają Ukrainę w jej walce, jak niebezpiecznych awanturników.

My zaś, stronnicy niepodległej Ukrainy i przeciwnicy tak Putina, jak europejskich putinizmów, jesteśmy przekonani, i z powodów etycznych, i w imię naszego realizmu, że należy powściągnąć agresywną siłę Kremla. Nie tylko po to, żeby ocalić niepodległość Ukrainy, lecz również, by europejski pokój wiązał się z demokratycznym rozwojem.

Nasz realizm podpowiada też, że za taką demokratyczną stabilizację warto zapłacić nawet słoną cenę przejściowej gospodarczej zawieruchy. Ale widzimy także, jak szybko ten nasz realizm staje się w Europie mniejszościowy.

Im dłużej potrwa wojna, tym głośniejsze europejskie społeczeństwa będą domagać się pokoju i końca wyrzeczeń, nawet jeśli ów pokój miałby oznaczać zwycięstwo Putina. I bez złudzeń: jeszcze trochę drożyzny i trochę recesji, a te nastroje ogarną Polskę. Na to właśnie liczą Putin i jego stronnicy; w tym sensie są realistami.

...

Podobnie z Jarosławem Kaczyńskim. Jego zwolennicy uważają go za największego realistę swoich czasów. Wszak od lat trzyma władzę, posługując się siłą. Tworzy też udatnie własną elitę uprzywilejowanych. Dowodzi więc swoim ludziom i wyborcom, że siłowy reżim oparty na bezprawiu i korupcji, na przemyśle kłamstw i nagoniek, na dyskryminacji i nacjonalizmie, ma przyszłość, bo zapewnia władzę równie skutecznie jak miękka, rozlazła demokracja.

A przeciwnicy Kaczyńskiego, jak ja, obok etycznego buntu przeciw takiej władzy, wskazują, że prowadzi on Polskę do



• 1 maja 1982, Warszawa, plac Zamkowy. Manifestacja przeciwko stanowi wojennemu FOT. MARK CARROT/FOTONOVA

rychłej katastrofy politycznej, gospodarczej i społecznej.

Tyle że dziś nie wiemy, który z tych realizmów weźmie górę. Bo można sobie wyobrazić, że piekło Putina i półpiekło Kaczyńskiego rozprzestrzeni się w naszej cywilizacji. I choć wielka część demokratów wzruszy ramionami – wszak wierzymy w siłę demokracji – zależy to jednak od okoliczności, jakich jeszcze nie znamy. Co uprzytomnia, że w każdym, kto mieni się realistą, więc przydaje sobie trafny wgląd w przyszłość, siedzi kawał awanturnika i aroganta.

A piszę tak nie po to, by dezawuować polityczny realizm. Co zresztą byłoby zamiarem daremnym, bo poczucie, że jest się realistą i ma się innym coś do zaproponowania, napędza życie publiczne i polityczne. Nie dezawuuuję więc, tylko zwracam uwagę, że w naszym świecie, rozrywającym i atomizowanym lękami, zagrożeniami oraz masową produkcją fałszów, coraz trudniej odróżnić realizm od majaczeń. I, co gorsza, coraz trudniej orzec, że mroczne majaki to tylko polityczna fantastyka.

Ale nawet jeśli nie możemy nic orzec w sprawie przyszłości, jesteśmy w stanie rozsądzać, który z owych politycznych realizmów lepiej służy teraźniejszemu życiu. Rozsądzać, pamiętając, że redukcja polityki do władzy i dominacji zaprzecza jej sensowi i celom.

Bo celem polityki nie jest władza niektórych, tylko takie urządzenie świata, by czynić życie lepszym dla wszystkich. Tyle mó-

wi przynajmniej wgląd w dzieje i podstawy demokracji oraz w to, czego oczekują demokratyczne społeczeństwa. My zaś, choć żyjemy w demokracji skonfiskowanej i znieprawionej, wciąż jesteśmy w większości z nią związani przez wyznawane wartości, aspiracje, emocjonalne przywiązania.

W tym sensie u podstaw każdego realizmu leży wybór etyczny, mimo że część realistów odżegnuje się od etyki. Obstawiasz jakieś wartości – lepsze życie dla wszystkich bądź tylko dla uprzywilejowanych mających siłę – i albo wygrasz, albo przegrasz. Właśnie ten etyczny wybór – wobec niewiadomej przyszłości – daje nam najważniejszą miarę naszych realizmów.

Z tego punktu widzenia są więc realizmy, które korzą się przed bożkiem siły, i takie, zgodnie z którymi na samej sile nie dobrego ani trwałego nie da się zbudować. Mamy szansę przetrwać, i w demokracjach, i w zmaganiach z katastrofą klimatyczną, jeśli wyłoni się wspólna sprawczość obejmująca jak najwięcej z nas. Gdy, innymi słowy, polityka stanie się dziełem zbiorowej troski, a nie ekskluzywnej dominacji i twardych hierarchii.

...

Oczywiście to diagnoza stronnicza. Wychowałem się bowiem na realizmach tyleż wizyjnych, co obywatelskich. Na realizmach KOR-u i Jerzego Giedroycia. Zresztą w tamtych czasach nikomu nie przychodziło do głowy, że te koncepcje mają coś wspólnego z realizmem politycznym. Wy-

dawały się przede wszystkim wariackim zakładem o przyszłość, a realizmu nabrały, gdy upadł komunizm.

Z KOR-u wyniosłem przekonanie, że demokracja pilnie i zawsze potrzebuje niepokornych obywateli. Zresztą samo pojęcie obywatela/obywatelki mieści w sobie niepokorę, bo zakłada zdolność do autonomicznego rozstrzygnięcia, jakich polityk wymaga wspólne dobro, i definiowania takiego dobra. Bo tylko ci świadomi, właśnie niepokorni, są w stanie demokracji pilnować oraz naprawiać jej niesprawności, również w buntach.

Nauczyłem się też, żeby w ciężkich czasach nie ugiąć się ani przed siłą, ani przed rozpaczą, tylko próbować robić coś dobrego, z nadzieją na przyszłość. No i uświadomiłem sobie, jak bardzo podstawowym instrumentem zmiany rzeczywistości jest społeczna samoorganizacja – wszak tym były właśnie KOR i potem „Solidarność”.

Od Giedroycia zaś zaczerpnąłem jego wizję polityki wschodniej: nie będzie niepodległej Polski bez niepodległych Ukrainy, Litwy i Białorusi. Uwodziły mnie też niespożyte, również szalone wówczas, energia i misja „Kultury”, by wypatrywać oznak zmiany czy luzowania systemu. Komunizm nie musi trwać – ta wiara kierowała Giedroyciem od lat 50.

Na antypodach takich postaw są realisci czyniący boga z siły i stosujący tę wiarę w praktyce. Należą do nich, by nie szukać daleko, Putin i Kaczyński. A szef PiS-u nie wyłonił się z próżni, bo jego religia domi-

nacji i pogardy dla słabszych ma w Polsce bogate wzory i tradycje. Dmowski i endecja, Piłsudski i sanacja, komuniści i PRL – ten zasób różnych form przemocy i dyskryminacji objął sporą część XX wieku i zakorzenił się w naszych mentalnościach.

Mamy więc wokół wielu małych Romanków, mikro-Piłsudskich czy mini-Stalinków bądź wice-Gierków, którzy tępo przejmują tamte wzory. Ale są też w tym nurcie osoby poważne, wśród nich prof. Bronisław Łagowski, znany historyk idei, od dekad jeden z najbliższych kontynuatorów tego dziedzictwa.

...

Niedawno Łagowski wypowiedział się o agresji Putina i Ukrainie, bulwersując sporo osób. Polska bezmyślnie i nazbyt pośpiesznie zaangażowała się w pomoc Ukrainie – orzekł („Rzeczpospolita”, „Plus Minus”, 30 kwietnia). Bo fałszywe jest przeswiadczenie, że polskim „interese jest niepodległość Ukrainy”. W dodatku Putin ma racjonalne powody, by najechać Ukrainę, za co odpowiedzialność ponosi również nasza polityka. Bo „Polska nie powinna była ułatwiać objęcia władzy elementom skrajnie prawicowym, nacjonalistycznym w Ukrainie. A przemiana wewnętrzna Ukrainy spowodowana była silnymi, właściwie decydującymi, działaniami tych ugrupowań nacjonalistycznych, które były bardzo bojowe i szukające pretekstu do wojny”. Czyli Putin prowadzi wojnę obronną przeciw ukraińskiemu nacjonalizmowi.

W dodatku reagował na ukraińskie zagrożenie nazbyt opieszale. Prezydent Rosji bowiem nie wziął pod uwagę, „jak głęboko sięgnęły wpływy banderowców. Uważał, że ta ideologia jest powierzchownym stanem umysłów mniejszości Ukraińców. I gdy ta mniejszość zostanie odsunięta od władzy, to większość odetchnie z ulgą. Tymczasem Ukraińcy zaczęli uważać się za naród wybrany. I dlatego domagają się od Zachodu rozmaitych świadczeń – moralnych, politycznych i materialnych”.

Nie sądzę, żeby Łagowski ślepo kopiował rosyjską propagandę; raczej autonomicznie doszedł do tych samych ocen. Bo zgodnie z realizmem siły Łagowskiego imperium ma prawo interweniować na terytorium niby byłym, ale wciąż jakoś swoim. Wszak strefy wpływów opierające się na przymusie to niezbywalny filar geopolitycznego ładu. Toteż jeśli zaatakowani bronią się przed wojenną interwencją, ład jest zagrożony.

■

Możnym wolno więcej – uważa Bronisław Łagowski. I nie wolno ich wydawać na pastwę „okropnych mediów” i „okropnego motłochu”

...

Przyznam, że nie zdziwiła mnie ta propetynowska i antyukraińska jazda Łagowskiego. Czytałem bowiem w tym czasie zbiór jego publicystyki z lat 1997-2010, wydany niedawno w dwóch tomach („Duch i bezduszość III Rzeczypospolitej”, „Symbole pożarły rzeczywistość”, Universitas, 2021). To lektura arcyciekawa, ponieważ Łagowski nieraz trafnie i boleśnie atakuje polską współczesność, nasze mity i rozmaite tromtadracje. Tyle że tę jego błyskotliwość spowija mrok amoralizmu.

Broni np. akcji „Wisła”, czyli brutalnych przesiedleń ludności ukraińskiej z Polski południowo-wschodniej w latach 1947-50, jako uzasadnionej walki z banderowcami. Ba, wywodzi, że te masowe deportacje ochroniły też deportowanych przed

przemocą ukraińskich „band nacjonalistów”. Co pokazuje, że również realizm siły potrzebuje własnej hipokryzji.

Broni też rosyjskiej strefy wpływów na wschodzie Europy, w tym w Ukrainie, atakując rozmaite demokratyczne lobby w Europie i USA – „neokominternowskie”, jak je nazywa za skrajną amerykańską pravicą – za awanturnicze antagonizowanie Rosji. „Neokominternowcy” bowiem doprowadzili do zmiany amerykańskiej polityki, która zaczęła wspierać prawa Ukraińców do suwerenności i demokracji.

W tym duchu krytykuje Łagowski to, że Polska i Europa biorą w obronę chińskich dysydentów. Po co zadzierać z potęgą, z którą ma się ważne interesy? I kogo obchodzą dysydenci?

Jest w tych wywodach Łagowski służą siły, chcącym nade wszystko zakonserwować status quo i przemocowe relacje w świecie. Podobnie rozumuje w sprawach naszego polskiego podwórka. Oburza go choćby sprawa abp. Juliusza Paetza, osławionego molestowaniem kleryków. Tyle że piętnuje nie arcybiskupa, lecz tych, którzy ujawnili jego postępowanie. Jakaż podła intryga kryje się za „tym niesamowitym wyolbrzymianiem niewinnych karesów”? – pyta Łagowski.

Nasz realista ma więc za nic ofiary molestowania; drwi nawet z ich przeżyć. Bo ważniejsze jest to, że ujawniając aferę, naruszono panujący hierarchiczny ład – to największy występpek. Wszak możliwym wolno więcej, nie wolno natomiast wydawać ich na pastwę „okropnych mediów” i „okropnego motłochu” – jak w innym tekście nazywa Łagowski masowe media i czytelników.

W tym światopoglądzie demokracja to „ustrój linczowania”, społeczeństwo to nie obywatele i obywatelki, lecz masa bliska motłochowi. Demokratyczna rzeczywistość jawi się więc Łagowskiemu jako ponure kłębownisko nieracjonalnych reakcji i decyzji, emocji oraz nieprzewidywalnych zjawisk. I zapewne owa nieprzewidywalność najbardziej godzi w chłodny umysł realisty. Nazywa więc całą III RP „anarchią opresyjną”.

Nie dziwi mnie więc, że Łagowski woli ład, nawet zły i niesprawiedliwy dla wielu, byleby był jasny i przewidywalny dla niektórych. Dlatego aprobował PRL.

W takim ładzie podmiotowość i sprawczość to przywileje elit, reszta społeczeństwa czy też „motłochu” powinna siedzieć cicho, bo nie ma kompetencji, by zabierać głos. Jeśli więc tej większości pozwala się jako tako żyć, niech odcepi się od ważnych spraw, które powinni rozstrzygać między sobą silni i odpowiednio wyposażeni umysłowo. W tej idei powszechnego poddaństwa Łagowski spotyka się z Putinem i Kaczyńskim. Z faszobolszewizmem i nacjonalistycznym populizmem.

...

Warto więc czytać Łagowskiego po to, żeby pojąć, jakie niebezpieczeństwa i ideologiczne uwiązania niesie tradycyjny realizm polityczny. Zwłaszcza że w niemal każdym z nas, wśród demokratów i demokratek, tkwi coś z tego realizmu – nie da się łatwo wyzbyć tak silnych tradycji pojmowania polityki jako dominacji silniejszych nad słabszymi. W tym sensie teksty Łagowskiego są po trochu lustrem, w którym przegląda się również moje nieczyste sumienie demokraty.

Ta lektura uświadamia także, jak bardzo potrzebujemy innego realizmu: wychylonego w przyszłość realizmu solidarnościowego. Takiego, który stawia na lepszy świat dla zwykłych ludzi, nie tylko elit, i do tych starań chce włączyć po partnersku jak najszersze społeczne gremia. By w naszych społeczeństwach przybyło udziałowców i udziałowczyń władzy, a ubyło tych, którzy uważają się za jej monopolistycznych dysponentów.

Bez takiego współudziału, podpowiada mi mój realizm, bez debat i wzajemnych kompromisów trudne, lecz konieczne zmiany naszych demokracji mają małe szanse powodzenia. ●

Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1.

Serwisu Wyborcza.pl
na sobotę i niedzielę

2.

Fragmentu książki
„Robak” Jakuba Wiśniewskiego



Pełna niepokoju, wytrącająca ze strefy komfortu historia człowieka uzależnionego od pornografii. Odważna i gorzka krytyka toksycznej seksualności, a zarazem próba odpowiedzi na pytania, jakie są źródła nienawiści mężczyzn do kobiet i skąd się biorą incele. Jakub Wiśniewski snuje mroczną opowieść, w której krok po kroku sprowadza nas do najniższych kręgów piekła męskich pragnień. Nie oszczędza nam wizyt w najciemniejszych zakątkach internetu, konfrontuje nas z najdzikszymi perwersjami seksualnymi.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki „Robak” Jakuba Wiśniewskiego
oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

RJW22WW

Aby skorzystać z kodu:

- ① Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- ② Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- ③ Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- ④ Aktywuj dostęp w ten weekend
- ⑤ Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9-17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY34176931



weekendówka
10

Porażki

Autorem wielu haseł jest **Marcin Wesolek**

FOT. PIOTR SKÓRNICKI

PORAŻKA PRZEZ DUŻE „P”

Piszecie Państwo, że w ubiegłym tygodniu bardzo miło Wam się rozwiązywało Weekendówkę, hasła nie sprawiały żadnego kłopotu, pani Jolanto – oczywiście hasło brzmiało „Hydrozagadka”.

Cieszę się Państwa triumfami, ale dziś porozmawiamy sobie o... porażkach. Oczywiście tam, gdzie są pokonani, muszą być i zwycięzcy, ale my spojrzymy przez pryzmat tych przegranych, jako że rocznica przypada dziś wyjątkowa.

16 lipca 1950 roku 200 tysięcy ludzi zgromadzonych na słynnej Maracanie w Rio de Janeiro i reszta Brazylii przy radiodbiornikach oczekiwało na kolejny spektakl z udziałem swoich ulubieńców. Oto piłkarze gospodarzy zwycięstwem z Urugwajem mieli przypieczętować tytuł mistrza świata. Ostatecznie mogli też zremisować, bo i to dawało im triumf, ale czemu mieliby podzielić się punktami, skoro wcześniej zmiotli w grupie finałowej 7:1 Szwecję i 6:1 Hiszpanię, podczas gdy Urugwajczycy z Hiszpanami ledwo zremisowali, a Szwedów ledwo ograli.

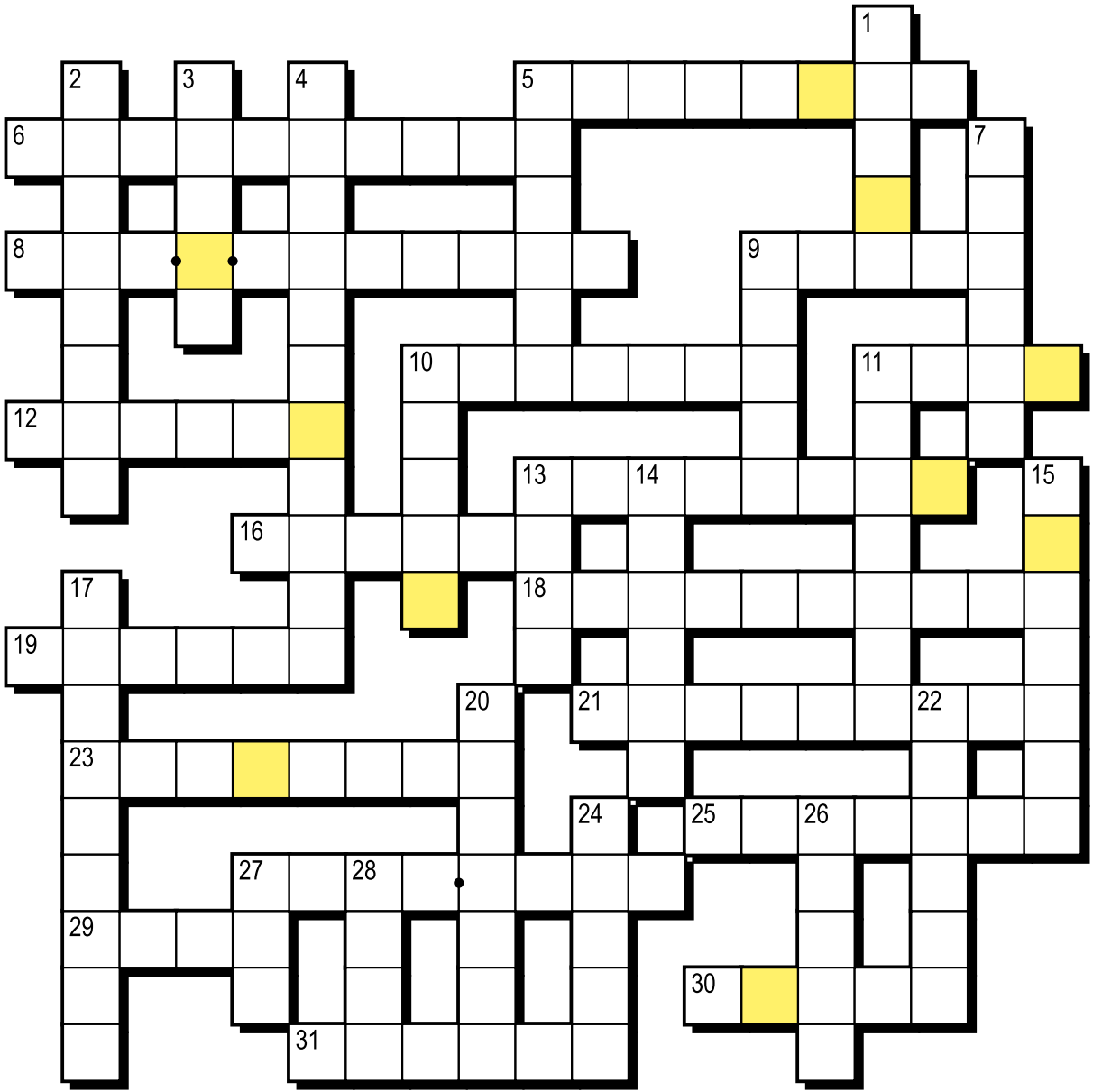
Dlatego gospodarze byli pewni zwycięstwa. Przygotowali dla swoich 22 złote medale, ułożyli specjalną pieśń „Brasil Os Vencedores” (Brazylia – Zwycięzcy), a gazeta „O Mundo” przed meczem wypuściła numer specjalny ze zdjęciem kadry na pierwszej stronie i tytułem: „To są mistrzowie świata”.

Urugwajczycy byli wściekli. Ich kapitan Obdulio Varela wyłożył egzemplarzami gazety podłogę w łazience, zachęcając kolegów, by oddawali na nie moc. A potem Urugwajczycy wyszli na murawę Maracany i sprawili jedną z największych sensacji w historii piłki nożnej, pokonując murowanych faworytów 2:1.

Powiedzieć, że cały kraj był w szoku, to jak nic nie powiedzieć. Dwóch kibiców jeszcze na stadionie odebrało sobie życie, a potem przez cały kraj przetoczyła się fala samobójstw.

Do pomocy w ułożeniu haseł zaprosiliśmy więc fachowca sportowego. Zmierzycie się Państwo zatem z kilkoma zagadkami Marcina Wesółki, szefa redakcji sportowej „Gazety Wyborczej”. A wszystkim, którzy porażki zaznali, przypominamy, że, jak mawiał Stefan (Tadeusz Huk) w „Poranku kojota”: „każda klęska jest nawozem sukcesu”. W końcu transmisji z tamtego meczu słuchał pewien 10-latek, który obiecał ojcu, że zdobędzie dla niego puchar. Ten smyk to był Pele. ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 9 z 9.07: **HYDROZAGADKA**

Hasła **Marcina Wesółki** oznaczono inicjałami (**MW**). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie – tytuł filmu.

Poziamo:

- 5)** miejsce klęski wojsk zakonu krzyżackiego w 1410 r.
- 6)** całkowita porażka biznesmena
- 8)** piosenka Budki Suflera zaczynająca się słowami: „Znowu w życiu mi nie wyszło...”
- 9)** imię premier RP kojarzonej ze „zwycięstwem” 27:1 podczas głosowania w Parlamencie Europejskim nad przedłużeniem kadencji Donalda Tuska jako szefa Rady Europejskiej (2017 r.)
- 10)** najśłynniejszy „niezatapialny” transatlantyk

- 11)** porażki – to gorycz
- 12)** medalista olimpijski z Seulu w boksie, swoje najśłynniejsze walki o mistrzostwo świata przegrał, uderzając poniżej pasa (MW)
- 13)** kartagiński wódz pokonany pod Zamą przez wojska Scypiona Afrykańskiego (202 r. p.n.e.)
- 16)** rywale Polski w przegranym „meczu na wodzie” o finał mundialu w 1974 r. (MW)
- 18)** gospodarze mundialu, na którym Polska przegrała z Anglią i Brazylią (MW)
- 19)** uważany za porażkę Unii Europejskiej
- 21)** konkurs piosenki, w którym nie poszło m.in. Magdalenie Tul i Rafałowi Brzozowskiemu
- 23)** gdy debiutant niespodziewanie pokonuje mistrza

- 25)** murowany – nie zawsze wygrywa
- 27)** w 1996 r. przegrał 2:4 starcie z Garrim Kasparowem
- 29)** wróżba, znak (czasem zapowiedź triumfu, czasem klęski)
- 30)** w 1948 r. pokonała Polskę 8:0, co pozostaje największą przegraną w historii naszej piłkarskiej reprezentacji
- 31)** „Nic się nie stało, ..., nic się nie stało” (narodowy zaśpiew porażkowy)
- Pionowo:**
- 1)** potocznie: fiasko, klops, wtopa
- 2)** miejsce bitwy – ostatecznej klęski Napoleona
- 3)** raczej nie ucieszy się ze Złotej Maliny...
- 4)** dzieło – porażka artysty

- 5)** o dziwo został pokonany przez Dawida
- 7)** kompromitacja
- 9)** potocznie: wielka przegrana, baty
- 10)** przegrany w ostatnich wyborach prezydenckich w USA (2020 r.)
- 11)** „... na Shawshank”, film, który mimo siedmiu nominacji nie otrzymał żadnej statuetki Oscara
- 13)** zaśpiewany przez Edytę Górniak podczas mundialu w Korei (porażka?)
- 14)** porażka pięściarza
- 15)** brak szczęścia, pech
- 17)** Lance, uznawany za największego oszusta w historii zawodowego kolarstwa (MW)

- 20)** Moacir, bramkarz Brazylii w pamiętnym meczu z Urugwajem na mundialu w 1950 r. (MW)
- 22)** ... sojuszników wobec Polski, tak mówiono o ustaleniach konferencji jałtańskiej z 1945 r.
- 24)** pokonani pod Wiedniem w 1683 r.
- 26)** „... jest zawsze przegrana”
- 27)** można stoczyć się na samo ...
- 28)** piłkarski turniej, którego sensacyjnym zwycięzcą została Grecja, pokonując w finale Portugalie (2004 r.)

Byłe do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store

POBIERZ Z Google Play